

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

**CZEKAŁEM
W KLATCE
PRZEZ CAŁĄ NOC.**
Opowieść finansisty
nękanego przez PiS
►4



WYSOKIE OBCASY
**Monika Horna-
-Cieślak.** Co planuje
rzeczniczka praw
dziecka



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

ANNE
APPLEBAUM
**Kto i po co
wymyślił
TikToka**

Rozmowa Bartosza T. Wielińskiego ► 14

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**O wyższości
LEGO** nad
smartfonem
►38

Trump
zadba o nasze
dzieci
►20

1989
Naród przenosi
się z kolejki na
bazar ►45

Dzieciństwo króla
Różga na dzień
dobry, kij na
dobranoc i ►43

**Auschwitz?
O mein Gott**
Niemcy odkrywają,
co zrobili ►40

Agnieszka
Kublik

Prowizorka śmierdząca śmiercią

W piwnicy słynnej poznańskiej kamienicy, w której pod koniec sierpnia wybuchł pożar, leżały tysiące akumulatorów. Na parterze działała firma je naprawiająca. Zginęło dwóch strażaków, kilkunastu zostało rannych, ucierpiało też trzech cywilów. Wielu straciło wszystko. Swoją pracę naprawiali tam... strażacy, bo było najtaniej. I nigdy żadnemu nie przyszło do głowy, by sprawdzić, gdzie ich kontrahent przechowuje akumulatory. W żadnym z nich nie obudziła się zawodowa ciekawość, czy jest bezpiecznie. A wystarczyłoby jedno pytanie. Ile jeszcze jest podobnych miejsc?

W lipcu do szpitala w Zielonej Górze trafiło trzymiesięczne niemowlę z urazami mózgu. Lekarze dostrzegli zmiany niedokrwienne, co znaczy, że może być opóźnione w rozwoju. Biegły uznał, że niemowlęciem potrząsano od co najmniej kilku tygodni. Nikt nie słyszał szlochu malucha? Nikt nie zwrócił uwagi na zaczerwienienia w kącikach oczu, które świadczyły o przemocy?

W maju w Głogowie zmarło niemowlę. 11-tygodniowy chłopczyk trafił do szpitala z ciężkimi obrażeniami głowy i klatki piersiowej. Rodzice znęcali się i nad jego dwuletnim braciszkiem. Od urodzenia był bity pięściami, wyzywany. Ikt nie dostrzegł dramatu tych dzieci? Nikt się za nimi nie ujął? Sąsiedzi, znajomi, rodzina? Żyli na bezludnej wyspie?

W styczniu 2019 r. w escape roomie w Koszalinie zginęło pięć

15-letnich dziewcząt. Bo ktoś chciał zarobić, a ktoś przymknął na to oko. W małym pomieszczeniu, około 7 mkw, instalacje były prowizoryczne, piecyki grzewcze blisko materiałów palnych, choćby świec. Obok butla gazowa, która się rozszczelniła, czuć było gazem. Żadnych dróg ewakuacyjnych, a jedyne okno od wewnątrz było zabite deskami, od zewnątrz okratowane. Dorosłego, który miał pilnować dzieciaków – nie przeszedł żadnego szkolenia – nie było na miejscu. Gdy wybuchł ogień, pracownik escape roomu nie tłumil ognia, nie użył gaśnicy.

Prowizorka śmierdząca śmiercią. Nikt nie pomyślał, że to może być śmiertelne zagrożenie. Nikt nie sprawdził, skąd ten gaz?

Oswajamy się z tym. Z głupotą. Z brakiem wrażliwości. Z bylejąkością. Obojętniejszy na takie sytuacje. Jesteśmy odwrażliwieni. Na innych. Na odpowiedzialność. Na konsekwencje. „Nie bądź obojętny” – to apel Mariana Turskiego, by zawsze postępować przyzwoicie.

– Gdybym miał wybrać spośród tych wszystkich doświadczeń, nauk i wszystkich słów, które je opisują, jedno lub dwa – wybrałbym następujące: Empatia. Współczucie. Te dwie rzeczy są najważniejsze w życiu – mówi Turski, były więzień Auschwitz, ocalały z łódzkiego getta i marszów śmierci.

Czy to już zagłada empatii? ●

Andrzej rysuje



Budapeszt

Mówią „smartfon”, myślą „demokracja”



FOT. REUTERS/MARTON MONUS

Uczniowie i nauczyciele maszerują w obronie dyrektora liceum zwolnionego za to, że zblokował rządowy zakaz telefonów w szkole. Zakazują ich też Francja, Finlandia, Grecja, Hiszpania i Portugalia, dlaczego buntują się akurat Węgry? Protestujący tłumaczą, że nie negują istoty zakazu, chodzi im o autorytarne metody Orbana.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

BY56FT1

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 7-8.09.2024 r.

The Hu

Dotarli dalej niż Czyngis Chan

Panowie Batjargal, Galsanjamts, Naranbaatar i Tsendbaatar byli studentami Państwowego Konserwatorium Muzyki i Tańca, uczyli się grać na tradycyjnych instrumentach i zgłębiali tajniki śpiewu alikwotowego. Pan Dashdondog, kompozytor i producent, docenił ich talent, proponując angaż w projekcie muzycznym, łączącym ludowe tradycje Mongolii z heavy metalem z dalekiego świata. Był to pomysł dziwny i śmiały, ale jak się okazało – znakomity.

Zespół otrzymał nazwę The Hu. Po mongolsku to ponoć „osoba”, choć fonetyczna zbieżność z The Who, nazwą jednego z najważniejszych zespołów w historii rocka, nie może być przypadkiem. Swoje istnienie oznajmili światu teledyskami „Yuve Yuve Yu” i „Wolf Totem”, wrzuconymi na YouTube w 2018 r. Zachwycały bajkowymi krajobrazami (step, góry, jeziora...), a przede wszystkim intrygową – brzmieniem egzotycznych instrumentów oraz gardłowym śpiewem w niezrozumiałym ję-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zyku. Wirusowo rozeszły się po sieci, torując grupie drogę na listę „Billboardu” oraz na zachodnie sceny. I już kilka miesięcy później anonimowi niedawno muzycy wypinali pierś do Orderu Czyngis-chana, najwyższego odznaczenia państwowego.

Od tamtej pory zjeżdżili pół świata, m.in. w towarzystwie Iron Maiden, współpracowali z Alice In Chains czy System of A Down, ich muzyka trafiła do gier z uniwersum „Gwiezdnych wojen”. Już nie są ciekawostką, lecz gwiazdą. I stoją przed trudnym wyzwaniem – nie po raz pierwszy w historii może się okazać, że utrzymanie panowania nad rozległym imperium jest trudniejsze od podbojów.

• The Hu wystąpią 10 września w Gdańsku i 12 września w Gliwicach.

Cytat tygodnia

*Dzisiaj w Europie
potrzeba męstwa,
aby coś takiego
powiedzieć, ale
Węgry są zadowolone
ze współpracy
energetycznej z Rosją.
To sprawa matematyki,
a nie ideologii*



PÉTER SZIJJÁRTÓ

szef MSZ Węgier, po spotkaniu z kierownictwem Gazpromu

Szkola półprywatna

20
PROC.

o tyle wzrosły ceny korepetycji. Średnia stawka za godzinę to 65 zł, ale przedmioty najtrudniejsze – matematyka, fizyka, chemia – oraz egzaminacyjne, np. polski – dobijają do 120 zł. A bez „korków” przed egzaminem ósmoklasisty i maturą ani rusz. Nie dlatego, że, jak chcą facebookowi komentatorzy, „te zetki i alfy to lenie z TikToka”. Nauczyciele w szkole nie nadążają z programem, wielu od przedmiotów ścisłych uciekło do prywatnych placówek, a pułapki w arkuszach egzaminacyjnych wymagają treningu.



FOT. WU HONG/PAPPEA

PKW ostrzega innych

Kaczyński wiedział, co mu grozi

Czy pozbawianie pieniędzy największej partii opozycyjnej to zemsta polityczna i próba utraty konkurenta?

Wielowiejska



Państwowa Komisja Wyborcza odrzuciła sprawozdanie komitetu wyborczego PiS. Zapanowało wzmożenie, po jednej stronie oburzenie, po drugiej ekscytacja. Ale ta decyzja wcale nie jest precedensem. Dwa lata temu PKW z podobnych powodów nie przyjęła sprawozdania Polski 2050, a neo-sędziowie potwierdzili słuszność tej decyzji. To wtedy zbudowano prawne fundamenty do ostatniego postanowienia PKW w sprawie PiS.

Za kilka tygodni PKW będzie znowu decydować – tym razem o sprawozdaniu partii. I jeśli je odrzuci, to obie decyzje spowodują, że PiS dostanie tylko jednorazowy zredukowany zwrot z kampanii wyborczej, około 28 mln zł, z czego 3,6 mln – to suma uchybień wskazanych przez PKW – będzie musiał i tak zwrócić. Jednocześnie partia Kaczyńskiego przez trzy lata – do następnych wyborów – nie dostanie subwencji partyjnej, która wynosiłaby ponad 20 mln zł rocznie. Taki scenariusz jest prawdopodobny, bo jeśli komitet PiS naruszył prawo, to partia PiS także to zrobiła. I PKW nie ma wyjścia, jak tylko odrzucić sprawozdanie partyjne.

To niewątpliwie potężny cios finansowy. PiS i jego akolici sugerowali, że pozbawianie pieniędzy największej partii opozycyjnej nosi znamiona zemsty politycznej i jest próbą utraty konkurenta. Taki argument podnosił także szef PKW Sylwester Marciniak na posiedzeniu Komisji.

Nie tylko zwolennicy PiS mogą podobnie odczytywać decyzję. Dlatego warto spokojnie przeanalizować, jakie argumenty za nią stały. I wykazać niewiarygodne zakłamanie członków PKW, wskazanych przez Jarosława Kaczyńskiego. A przede wszystkim warto, aby wszyscy zrozumieli, jakie są reguły gry, jeśli chodzi o finansowanie wyborów i partii. Bo decyzja w sprawie PiS powinna też być ostrzeżeniem dla innych ugrupowań.

W PKW zasiada dziewięć osób, pięć z nich wskazała Koalicja 15 Października, dwóch PiS, jest jeszcze sędzia Trybunału Julii Przyłębskiej Wojciech Sych oraz szef PKW – sędzia sądu administracyjnego Sylwester Marciniak.

To, że Sejm wskazuje większość członków PKW, uchwalili niegdyś PiS. Na własną zgubę – wcześniej w Komisji zasiadali sędziowie, ale Kaczyński chciał mieć pełną kontrolę nad tą instytucją, więc zmienił prawo. Prezes PiS zakładał, że wygra wybory i nadal będzie kontrolował PKW. Stało się inaczej. Obóz PiS był w szoku, że jego działania doprowadziły do takiego układu. Z powodu tego szoku prezydent Andrzej Duda długo zwlekał

z ostatecznym powołaniem członków PKW, ale w końcu to zrobił, bo nie miał innego wyjścia.

Za odrzuceniem sprawozdania PiS było pięciu członków, przeciw trzech, a przewodniczący wstrzymał się od głosu. Pojawiły się głosy, że każdy głosował zgodnie z interesami partii, która go wskazała. To nieprawda.

Przed głosowaniem nad sprawozdaniem komitetu Koalicji Obywatelskiej PKW analizowała, czy organizacja Campusu Polska Przyszłości nie była częścią kampanii KO. Tak twierdził PiS. Dlaczego większość PKW nie uznała tego argumentu? Bo:

- Campus jest imprezą cykliczną;
- organizatorzy zakazali agencji wyborczej. Oprócz instrukcji, rozdanej uczestnikom, prowadzący debaty skrupulatnie ucinali takie próby – wiem, bo tam byłam;
- występy polityków z różnych partii nie miały charakteru wiecu wyborczego, a uczestnicy zadawali im niewygodne pytania.

Istotą problemu jest to, że PKW nie może każdej imprezy, na której pojawi się polityk w kampanii wyborczej, określać mianem wydatku komitetu wyborczego. Bo wtedy wpadlibyśmy w paranoję i polityk w zasadzie nie mógłby nigdzie się pokazać.

W uzasadnieniu decyzji w sprawie PiS członkowie PKW wskazali sześć uchybień, a więc sytuacji, w których mieliśmy do czynienia z imprezą lub działaniem bezprawnym: chodzi o przyjmowanie przez komitet wyborczy wartości niepieniężnych, które są zakazane w Kodeksie wyborczym. Przy czym PKW była bardzo ostrożna i uwzględniła jedynie najbardziej wątpliwe przypadki, a wszelkie wątpliwości interpretowała na korzyść PiS.

Dlatego właśnie nie wzięła pod uwagę pikników 800+, choć część z nich odbywała się w kampanii między 8 sierpnia a 15 października. Miały ewidentnie wyborczy charakter, jednak nie było tam np. bezpośrednich wezwań do głosowania na PiS. PKW uwzględniła tylko dwa z kilkudziesięciu pikników wojskowych, bo tam Kaczyński wzywał do głosowania na swoją partię. Koszt tych konkretnych pikników był w dokumentach MON.

PKW nie wzięła też pod uwagę wydatków z Funduszu Sprawiedliwości, który służył do promocji kandydatów Suwerennej Polski Zbigniewa Ziobry. A mogłaby uwzględnić chociaż część z nich, ponieważ w samym resorcie sprawiedliwości powstała analiza ekspertów, którzy wskazywali, który wydatek z FS przyczynił się do zwiększenia liczby głosów na ludzi Ziobry. Co prawda eksperci stwierdzili, że rozdawanie wozów strażackich niewiele daje, ale ekspertyza jest dowodem na to, jaki był powód sięgania po pieniądze z Funduszu.

Argumentów, że to wydatek kampanijny, dostarczył też sam Kaczyński, który w liście przy okazji wyborów w 2019 r. nakazywał Ziobrze zaprzestania tych działań związanych z FS. Prezes uznał, że grozi to odebra-

niem przez PKW pieniędzy z budżetu. Mimo to PKW Fundusz Sprawiedliwości pominęła.

Innymi słowy, pięciu członków PKW zachowało się konsekwentnie, niezależnie od tego, o jaką partię chodziło. Skoro odrzucili tezę, że uchybieniem był Campus, to odrzucili też pikniki 800+. Było głosowanie w tej konkretnej sprawie.

Natomiast wskazani przez PiS członkowie PKW byli stronniczy. Bo Campus chcieli uznać za uchybienie, ale już wojskowego pikniku, na którym prezes Kaczyński wzywał do głosowania na PiS – nie.

Większość PKW odrzuciła też w głosowaniu propozycję jednego z jej członków, Ryszarda Kalisza, aby także promocja PiS w TVP Info została uznana za wydatek kampanijny. Bo materiały telewizji rządowej praktycznie nie różniły się od spotów wyborczych. Tu jednak wątpliwości zostały zinterpretowane na korzyść PiS.

Gdyby naprawdę surowo potraktować zasady Kodeksu wyborczego, to partia Kaczyńskiego nie powinna dostać ani grosza z dotacji będącej zwrotem za kampanię wyborczą. A dostanie 28 z pierwotnych 38 mln zł. Sumy, które PiS wypompuwał na rzecz partii w tym czasie, na pewno były większe niż ta ostateczna dotacja.

Jeżeli teraz Izba Kontroli Nadzwyczajnej SN zdecyduje inaczej, niż w przypadku Polski 2050, to ostatecznie się skompromituje

Zakłamanie części PKW widać wyraźnie na przykładzie historii Polski 2050. W 2022 r. Komisja odrzuciła jej sprawozdanie, ponieważ uznała, że na początku istnienia partia nie wykazywała wydatków. W tym przypadku PKW na czele z sędzią Marciniakiem nie ograniczyła się do badania słupków i liczb, lecz wykazała aktywnością, interpretując i wyciągając wnioski. Stwierdziła, że coś jest nie halo, bo niby dlaczego Polska 2050 w rubryce „wydatki partii” wpisała zero, a tymczasem Hołownia i jego ludzie prowadzili partyjną działalność, którą można było obserwować w mediach.

Komisja zwróciła się więc do PL2050 z pytaniami, jak zakwalifikować te działania i kto je finansował. Polska 2050 odpowiedziała, że to nie partia organizowała tę działalność, tylko Stowarzyszenie Polska 2050 oraz Instytut Strategii 2050. PKW na to stwierdziła, że mamy do czynienia z ukrytym, niedozwolonym finansowaniem partii.

„Partia Polska 2050 Szymona Hołowni w okresie sprawozdawczym działania takie [partyjne] podejmowała. Polegały one na przyjmowaniu korzyści majątkowych od Stowarzyszenia Polska 2050 oraz od Instytutu

Strategii 2050 w postaci promowania działalności Partii, które niewątpliwie mają swoją wartość”.

Tak PKW orzekła pod wodzą sędziego Marciniaka. I dalej: „Zaakceptowanie sytuacji, w której partia polityczna wykazując w sprawozdaniu, że w danym okresie nie pozyskała i nie wydatkowała żadnych środków, a jednocześnie prowadzone były na jej rzecz działania promocyjne, propagujące jej nazwę, jej członków, program czy założenia przez inne podmioty, chociażby takie jak fundacje czy stowarzyszenia oznaczałoby, że w gruncie rzeczy Partia może bez ograniczeń pozyskiwać środki od różnego rodzaju podmiotów, polegające nie tylko na promocji jej działalności”.

A teraz zestawmy owo uzasadnienie ze stanowiskiem Krajowego Biura Wyborczego w sprawie PiS. Organ pomocniczy PKW (obsadzony za czasów PiS), aby uchronić partię Kaczyńskiego przed konsekwencjami, stwierdził, że „działania podmiotów innych niż komitety wyborcze nie podlegają kontroli ani ocenie PKW”. Tymczasem w przypadku Hołowni niewiele wcześniej PKW uznała, że jak najbardziej będzie się przyglądała działaniom innych organizacji, nie tylko tej, której sprawozdanie bada.

Przyczyny odrzucenia sprawozdania PiS i PL2050 są podobne. To przyjęcie niepieniężnych korzyści od innych podmiotów, których nie ujęto w oficjalnym sprawozdaniu finansowym.

Ale to nie koniec. Bo Polska 2050 odwołała się do Sądu Najwyższego. Sprawa powędrowała do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, a więc tej, którą PiS sobie powołał, by w razie kłopotów ratowała go z opresji. Gdy ludzie Hołowni wysłali odwołanie, status Izby jeszcze nie został ostatecznie podważony przez TSUE. Tak więc Izba zaczęła przeświecłać decyzję PKW i odwołanie Polski 2050. Zgadnijcie, co orzekła? Że PKW ma rację.

„Negując bowiem jawność finansowania polityki, czyli wyłączając »bezpiecznik« demokratycznego państwa prawnego, wyłącza się samo demokratyczne państwo prawne”. W dalszej części uzasadnienia sędziowie wskazują, że działanie wspomnianych organizacji, stowarzyszenia i instytutu, polegają po prostu na promowaniu partii. „Czynnikami wzmacniającym wzajemne zależności i przekładającym się na odbiór wskazanych podmiotów w związku z działaniami wspólnie podejmowanymi, były ponadto szerokie związki personalne zachodzące pomiędzy nimi”.

Politycy PiS, którzy znali ten wyrok, doskonale więc wiedzieli, czym grozi wykorzystywanie innych instytucji do wypromowania się w kampanii. I jeżeli ta sama Izba Kontroli Nadzwyczajnej teraz uzna odwołanie PiS, to ostatecznie się skompromituje. Bo zaprzeczy dokładnie temu, co orzekła w przypadku Polski 2050 Szymona Hołowni. ●

Dominika Wielowiejska

POLITYKA I SPOŁECZEŃSTWO



Przemysław Krych to, założyciel funduszu Griffin Real Estate, największego gracza na polskim rynku nieruchomości komercyjnych. Wierna Zbigniewowi Ziobrze katowicka prokuratura oskarżyła go o „wręczanie łapówek” senatorowi Stanisławowi Kogutowi. Miały nią być darowizny dla Fundacji Pomocy Osobom Niepełnosprawnym w Stróżach.

Pod takim zarzutem w grudniu 2017 r. Krych został osadzony w areszcie wydobywczym na pół roku. Po wyjściu z aresztu były rzecznik PiS Adam Hofman złożył Krychowi ofertę „spotkania ze Zbyszkciem (Ziobrą) i z Patrycją (Kotecką)” w celu „wyjaśnienia nieporozumienia”.

29 lipca 2024 r. za działalność charytatywną, w tym za owe „łapówki” – a więc darowizny dla fundacji senatora Koguta – Krych otrzymał od prezydenta Andrzeja Dudy Złoty Krzyż Zasługi. To już czwarte odznaczenie państwowe przyznane oskarżonemu przedsiębiorcy.

Od siedmiu lat ciąga na nim zarzuty korupcyjne.

Z PRZEMYSŁAWEM KRYCHEM,
FINANSISTĄ I INWESTOREM
ROZMAWIA JAROSŁAW KURSKI

JAROSŁAW KURSKI: Poprosiłem pana o rozmowę, bo chcę, by pan ze szczegółami opowiedział o swoich doświadczeniach z pisowskim wymiarem sprawiedliwości. Słyszymy dziś o torturach wobec Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego, o męczeństwie księdza Michała Olszewskiego zatrzymanego w związku z dotacjami ze słynnego Funduszu Sprawiedliwości. Tymczasem w sprawach ludzi biznesu, których nachodziły służby z propozycjami korupcyjnymi, którym prokuratura Ziobry stawiała fałszywe zarzuty, których

wtrącano do aresztu wydobywczego – zapanowała cisza. Chciałbym tę ciszę przerwać.

PRZEMYSŁAW KRYCH: W mojej sprawie nic się nie dzieje. Prokuratura katowicka nigdy nie była zainteresowana rzetelnym zbadaniem tej sprawy, a sąd nie przystąpił jeszcze do jej merytorycznego rozpoznania. Siódmy rok żyję w stanie zawieszenia.

Lech Kaczyński powiedział, że „jak ktoś ma pieniądze, to znaczy: skądś je ma”. To oznacza mniej więcej tyle, że wszyscy ludzie biznesu są szemrani, a jak jakiegoś zamkną, to dobrze mu tak. Nie należy go żałować. Polacy są, ogólnie mówiąc, zawistni. „Na biednego nie trafiło” itd. W Polsce z porażek nie trzeba się tłumaczyć. Trzeba tłumaczyć się z sukcesu. No więc niech się pan wytłumaczy ze swego majątku.

– Do biznesu trafiłem przez przypadek. Już na studiach zacząłem pracę jako asystent stażysta na Wydziale Prawa na Uniwersytecie w Poznaniu. Planowałem, że pracując na uczelni, zrobię aplikację sądową, a następnie radcowską. Tymczasem dostałem propozycję pracy w banku. Przyszedł człowiek na wydział i powiedział, że szuka młodych adeptów prawa znających języki i chętnych do pracy. Nie tak wyobrażałem sobie przyszłość.

Czyli to nie pan poszedł do biznesu. To biznes przyszedł po pana.

– Początek lat 90. to był wyjątkowy moment. Jedyny chyba taki w naszej historii. Ktokolwiek miał otwartą głowę, coś umiał, znał języki, miał w sobie ogień – otwierały się przed nim ogromne możliwości.

Dziś jest nieporównanie trudniej. Nie ma tak błyskawicznych karier, no, chyba że z politycznego nadania. Żadna z nich się w prawdziwym biznesie nie weryfikuje.

Doświadczenia wyniesione z poprzedniego systemu były wtedy niewiele warte. A czasem były wręcz obciążeniem. Wszystkiego musieliśmy się uczyć na żywym organizmie.

Tak trafił pan do bankowości, w której przepracował siedem lat.

– Zaczynałem od dyrektora departamentu wiarygodności trudnych w Banku Handlowym. Miałem 27 lat i portfolio około 3 mld dol. W 1993 r. to były ogromne pieniądze. Prawie jedna trzecia całego portfela kredytów banku to były kredyty problematyczne. Dostałem miotłę i zacząłem sprzątać.

Uczyłem się banku od strony problemów, które stworzyli inni. Doskonała szkoła. Darmowa, bo na cudzych błędach. Potem zostałem szefem części inwestycyjnej banku. Wcześniej uchwalono ustawę o restrukturyzacji przedsiębiorstw i banków. Banki mogły obejmować akcje i udziały przedsiębiorstw, konwertując dług na kapitał, i w ten sposób pewną liczbę niewypłacalnych firm przejęliśmy i uratowaliśmy od bankructwa.

I tu nauczył się pan całego procesu inwestycyjnego.

– Tak, gdy udało się tym przedsiębiorstwom przywrócić rentowność i odsprzedać je z zyskiem, to zarząd banku powierzył mi misję utworzenia zespołu, który miał dobrze inwestować kapitał banku. Mówimy o drugiej połowie lat 90. Przeprowadziliśmy wtedy wiele prywatyzacji m.in.: Goplany, Winiar, Bizona... To wymagało zbudowania kompetencji i było najciekawsze.

Na szczęście w banku był światły – szczególnie jak na tamte czasy – zarząd z Cezarym Stypulkowskim jako prezesem. To był najlepszy kurs MBA, jaki mogłem sobie wymarzyć – lepszy niż na amerykańskich uniwersytetach.

Dziwny z pana człowiek. Jest inny bankowiec – Mateusz Morawiecki. On uważa się raczej za ofiarę III RP. A pan taki zadowolony.

– Absolutnie jestem beneficjentem transformacji politycznej i gospodarczej Polski. W latach 90. nie przekładało się to jeszcze na moją osobistą sytuację finan-

CBA ARESZTUJE, DUDA DEKORUJE

Za oknem aresztu ktoś odtwarza
korespondencję z WhatsAppa między mną
a moją żoną, moimi córkami.
Schudłem do 58 kg.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

sową, bo byłem pracownikiem na pensji, ale w sensie wiedzy – byłem ogromnym beneficjentem.

Gdzie Polska jest dzisiaj, a gdzie była w 1989 roku? A gdzie mogłaby być, gdyby nie ostatnie osiem lat?

Oczywiście było sporo błędów, ale w sensie gospodarczym w całej historii Polski nie było lepszego okresu.

Jeżeli w 1989 średnia pensja wynosiła 20 dol., a dziś wynosi 2 tys. euro, to oznacza mniej więcej stukrotny wzrost! Powtórzę: stukrotny wzrost zamożności.

– A startowaliśmy z takiego samego poziomu zarobków jak na Ukrainie. Na początku XXI wieku dużo jeździłem do Czech i na Węgry. Tam miano do nas pobłażliwy stosunek. Uważano, że Polska jest zacofana. Dziś nikt tak nie uważa.

Jak się kradnie pierwszy milion?

– Proszę mnie zapytać, jak dojść do milionów, nie kradnąc pierwszego miliona.

Widzę, że chce pan sobie ułatwić zadanie.

– W 1999 roku odszedłem z Banku Handlowego. Przepracowałem dwa lata jako dyrektor zarządzający Emerging Europe Private Equity Funds w ramach Franklin Templeton Investments. To duża amerykańska firma, która na przełomie wieku była największym inwestorem na rynkach wschodzących.

Miałem w życiu szczęście do ludzi. Były dwie osoby, które mnie biznesowo ukształtowały. Pierwsza to wspomniany Cezary Stypulkowski, który w 1993 roku przyjął mnie do pracy w Banku Handlowym. Druga osoba to Dave H. Williams.

Dave był przez 30 lat prezesem jednej z największych firmy zarządzających funduszami powierniczymi – po angielsku mutual funds. Dziś ta firma – po połączeniu z jednym z konkurentów – nazywa się AllianceBernstein i w zarządzaniu ma obecnie 650 mld dol. Dave przez 30 lat był tam prezesem. W 2001 ro-

Przemysław Krych

• rocznik 1966, inwestor, filantrop, działacz opozycji antykomunistycznej. Pochodzi z Gorzowa Wlkp. Ukończył prawo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Karierę menedżerską rozpoczął w Banku Handlowym w Warszawie (dziś Citi Handlowy).

W 2001 r. założył firmę inwestycyjną Cornerstone Partners (dzisiaj Cornerstone Investment Management - CIM), w której portfelu znajdowały się takie firmy jak LuxMed, Spravia (dawniej Budimex Nieruchomości) czy Avinga (globalny dostawca rozwiązań IT). Pięć lat później założył fundusz Griffin Real Estate, który stał się największym inwestorem na polskim rynku nieruchomości komercyjnych.

Wspierał i wspiera liczne inicjatywy dobroczynne, obywatelskie i artystyczne, m.in. Fundację Pomocy Osobom Niepełnosprawnym, Open Dialog, Media Liberation Fund, Fundację Edukacyjną im. Jana Karłowicza, program dziennikarstwa śledczego Fundacji Gazety Wyborczej, czy Griffin Art Space.

Obecnie skupia się na inwestycjach w ramach CIM, w którego posiadaniu jest m.in. LuxVet (największa sieć klinik weterynaryjnych w Polsce i Rumunii), Ecowipes (europejski lider w produkcji biodegradowalnych chusteczek i płatków kosmetycznych) i ProFund (firma z sektora usług finansowych prowadząca działalność w Polsce, Niemczech, Luksemburgu, Austrii i w Czechach). Cornerstone uczestniczył w budowaniu dwóch globalnych liderów w swoich branżach - Okechamp, największej na świecie firmy zajmującej się całym procesem produkcji pieczarek oraz Elemental - przedsiębiorstwa recyklingu metali z grupy platynowców.

ku odszedł na emeryturę. Swoje pieniądze powierzył dwóm osobom. Pierwsza to jego współpracownik z Alliance, który wtedy tworzył fundusz w Indiach. A drugą osobą byłem ja.

Dave słusznie przewidywał, że w związku z wejściem Polski do UE Polska szybko stanie się beneficjentem otwartego rynku. Miał już podobne doświadczenia z Hiszpanii, gdzie w 1985 roku powołał fundusz inwestujący. Wiedział, że gospodarka polska będzie wielkim beneficjentem konwersji z rynkiem unijnym. Szukał człowieka i platformy, żeby zainwestować.

Postawił na pana.

– Jemu zawdzięczam działalność na własny rachunek. Dave powierzył mi kapitał początkowy, którego nie miałem. To jego pieniądze zainwestowałem z sukcesem.

Zaczynaliśmy skromnie. Z 4 mln dol., za które kupiłem LuxMed – obecnie największy prywatny podmiot na polskim rynku opieki zdrowotnej. Po kilku latach wykupiłem Dave'a z interesu. Dziś to bardzo starszy pan. W zeszłym roku świętowaliśmy jego 90-lecie.

I to opowiedzieć, jak nie ukraść pierwszego miliona.

Daleko pan zapłynął, ale jaki był pana port macierzysty?

– Urodziłem się i wychowałem w Gorzowie Wielkopolskim. Rodzina ojca przyjechała tu z Poznania w 1945 roku. Cała jego rodzina to bambrzy, potomkowie osadników z Bambergu. Pod koniec XVIII wieku zaraza przetrzebiła Wielkopolskę. Arcybiskup Poznań umówił się z biskupem Bambergu i sprowadził wówczas pierwszą falę osadników.

Chce pan powiedzieć, że już wtedy poznański Kościół wysługiwał się Niemcom?

– No ktoś te kościelne areale musiał uprawiać (*śmiech*). Mój bezpośredni przodek był oficerem wielkiej armii Napoleona. Po przegranej kampanii 1812 roku został w Wielkopolsce wśród swoich żołnierzy z Bambergu. Mam to udokumentowane. To byli zamożni chłopcy, uprawiali ziemię pod Swarzędz w Zalasewie. Pamiętam, jeździłem tam jako dziecko z rodzicami. Mieli pod 100 hektarów i szczęśliwie uniknęli po wojnie rozkułacenienia.

Dziadek miał być księdzem, studiował nawet w Universitas Gregorianum w Rzymie, ale jako poddanego cesarza niemieckiego powołano go do armii. Walczył pod Verdun. Później zdezerterował i dołączył do powstania wielkopolskiego. Byłem wychowywany w etosie jedyne-go wygranego polskiego powstania. Dziadek nie znosił fanfaronady i kultu przegranych powstań.

Po wojnie polsko-bolszewickiej skończył prawo i filozofię, a w 1938 został sędzią Sądu Apelacyjnego w Poznaniu. Wtedy skazał jednego z komunistów za jakiegoś zajścia podczas manifestacji 1 maja. Tak się złożyło, że ów komunistę został po wojnie wojewodą poznańskim, więc trzeba było zejść mu z oczu. Tak dziadek trafił do Gorzowa i został pierwszym po wojnie prezesem sądu okręgowego. W 1948 roku – po konsolidacji władzy przez stalinistów – usunięto go z sądownictwa.

W Gorzowie jak w tyglu mieszały się losy bieżących, repatriantów, ludzi z lasu, konspiratorów, ocalałych Żydów, Ukraińców czy byłych łagierników. Powojenna Polska w pigułce.

– Tak. Ze strony mamy jestem spod Grodna. Dziadkowie mieli tam majątek Worotyjszcze. W 1944 roku sowioci zabili dziadka na schodach jego dworu, babcię zesłali na Kołymę, a mamę i jej siostrę umieścili w domu dziecka.

Nie będę opowiadał całej historii, dość, że ojciec z bambrów, a matka z kresowej żydowskiej rodziny, a poznali się w Gorzowie. I oto jestem.

Mieszkaliście w poniemieckiej kamienicy?

– W poniemieckim bliźniaku, w którym zakwaterowano w sumie cztery rodziny. Był wspólny ogród, a w pokojach nawet parkiet, ale długo panowała tu atmosfera tymczasowości. Doświadczenie mojej rodziny też było takie, że zawsze przed kimś lub przed czymś uciekali.

Dziadek przed swoim nemezis z PPR. Mama, jej siostra i ich ciotki, które je z domu dziecka wykradły, przed zdekonspirowaniem jako uciekinierki z sowieckiego raju. Dopiero w moim pokoleniu Gorzów stał się naszą ojczyzną.

Dlaczego poszedł pan na prawo?

– Pradziadek był sędzią pokoju, dziadek sędzią, wujek też w zawodzie prawniczym – rodzinna tradycja.

Ale żeby zaraz nagroda dla najlepszego studenta, egzaminy na summa cum laude... Słowem, prymus.

– W liceum byłem przeciętnym uczniem, miałem sporo zajęć poza szkołą, ale studia mnie po prostu interesowały. To pomaga.

W karnawale „Solidarności” wstąpił pan do tzw. prawdziwego harcerstwa, do Kręgów Instruktorskich im. Andrzeja Małkowskiego. Byliście więc w tym samym ruchu harcerskim KIHAM. Te młodzieżowe oddolne ruchy odnowy zasługują na swoją historię.

– Przyjaźnie z tego okresu utrzymuję do dziś. Te z obozów harcerskich w Puszczy Noteckiej. Tam się zaczęła moja opozycyjna przygoda i zaowocowała wydawaniem i kolportowaniem „Szańca” i „Feniksa”. Były też wyjazdy po książki i podziemną prasę do Warszawy i Krakowa, spotkania w ramach oświaty niezależnej.

To nam otworzyło nowe możliwości, których nie było w Gorzowie. Harcerstwo mnie ukształtowało i w jakimś sensie wychowało. Na pewno otworzyło mi też te perspektywy intelektualne przez dostęp do bezdebitowej prasy i wydawnictw.

Opozycja w Gorzowie w stanie wojennym to byliśmy my – młodzież licealna, Ruch Młodzieży Niezależnej. Starsze pokolenie „S” albo złamano, albo zamknięto, albo wyjechało. Po raz pierwszy zostałem zatrzymany przez SB, gdy miałem 15 lat – 3 maja 1983 roku, podczas manifestacji.

No tak, ale harcerstwo to służba, poświęcenie, altruizm, a pan został człowiekiem biznesu, i to drapieżnego biznesu, bo kapitałowego.

– Już wspominałem, że to był przypadek. Poza tym uważam, że jak ktoś ma pieniądze, to powinien się dzielić. Płacenie podatków, nawet wysokich, to trochę za mało.

Od lat wspomagam rozmaite organizacje pozarządowe i charytatywne. I lubię to robić, bo wtedy mam wpływ na to, jakie inicjatywy wspieram.

I właśnie to prokuratorom od Ziobry wydało się podejrzane. Ot tak rozdawać pieniądze, i to jeszcze komu? Senatorowi Kogutowi? Proszę opowiedzieć, jak to było, po kolei.

– Historia zaczyna się na dwa miesiące przed moim aresztowaniem (*zagląda do kalendarza*). Aresztowano mnie 19 grudnia 2017 roku, a 27 października 2017 pojawia się u nas w biurze niejaki Krzysztof Porowski – śląski biznesmen o wątpliwej reputacji. Wcześniej znałem go przelotnie. Widywałem czasem przy oficjalnych okazjach, np. na otwarciu centrum handlowego w Katowicach.

Porowski przyszedł do naszego biura spotkać się z moim współpracownikiem, ja zostałem na to spotkanie doproszony. Oświadcza, że interesują się nami służby, ale jeśli zapłacimy 1,5 mln euro, które on wyliczył jako procent aktywów, którymi zarządzamy, to problemy znikną.

Twierdzi, że jest umocowany przez kogoś, kogo określił trzema koordynatami. Po pierwsze, to były prokurator z Katowic. Po drugie, to były wysoki funkcjonariusz ABW. Po trzecie, to aktualny wiceszef CBA.

Na całej kuli ziemskiej jest jedna osoba, która spełnia łącznie te trzy kryteria, ale z tego, co wiem, prokuratura w Katowicach do dzisiaj nie ustaliła, kto to jest.

A kim jest ta osoba?

– Ustalenie tego pozostawiam prokuraturze, to nie jest takie skomplikowane. Jeśli Porowski nie konfabulował, to ten człowiek był także doradcą prokuratora krajowego za czasów Ziobry i wykładowcą w Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury.

Co pan odpowiedział Porowskiemu na jego ofertę?

– Że to jakaś pomyłka, że jesteście amerykańskim kapitałem. Wyszedłem z tego spo-



• **Przemysław pochodzi z rodziny o prawniczych tradycjach. Dziadek Teofil Krych (drugi z lewej) był przed wojną sędzią Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, a po wojnie prezesem Sądu Okręgowego w Gorzowie Wlk. Z sądownictwa wyrzucony w czasach stalinowskich**

Porowski przyszedł do naszego biura i oświadczył, że interesują się nami służby, ale jeśli zapłacimy 1,5 mln euro, które on wyliczył jako procent aktywów, którymi zarządzamy, to problemy znikną

tkania, ale mój współpracownik tam zostaje. Umówili się na kontynuację (*znów zagląda do kalendarza*) na 31 października. Po krótkiej rozmowie decydujemy: „Nie będzie żadnej kontynuacji, żadnych rozmów”. Sporządzam notatkę dla moich inwestorów. Na szczęście!

Mówiąc szczerze, to mnie uratowało, bo gdybym nie poinformował ich o tym, że była taka propozycja korupcyjna, to pewnie po moim aresztowaniu moi inwestorzy by spakowali. I byłbym już bankrutem.

I rzeczywiście więcej z Porowskim się pan nie spotykał?

– Ja nie, ale kilka dni po moim aresztowaniu, czyli 27 grudnia 2017 roku, on znowu pojawia się u mojego współpracownika. I mówi, że Krycha można wyciągnąć z aresztu i że propozycja jest nadal aktualna – za te same pieniądze.

To dopiero promocyjna...

Kiedy się pan o tym dowiedział?

– Po wyjściu z aresztu.

A co pana współpracownik powiedział Porowskiemu?

– Według jego relacji, że nie ma o czym rozmawiać, że wszystko jest w rękach prawników. Wiem, że Porowski odwiedzał nie tylko mnie. Z podobnymi propozycjami był jeszcze u innych znanych przedsiębiorców, którzy zachowali się na trzy różne sposoby. Jeden – tak jak ja – miał podobne kłopoty. Inny spakował manatki i wyjechał z Polski do Stanów. A trzeciego żadne przykrości nie spotkały, a nawet wręcz przeciwnie.

Bardzo to enigmatyczne.

– Te fakty dla prokuratury są również na wyciągnięcie ręki. Nie lubię być gołosłowny, ale to są rzeczy, które – mam nadzieję – będę mógł w obiektywnym postępowaniu przedstawić. Chcę wykazać, że to był modus operandi, że Porowski był przez kogoś wpływowego zadaniowany i – co więcej – był sprawczy.

Z jednej strony mógł kogoś wtrącić do aresztu. A z drugiej – mógł też kogoś z aresztu wyciągnąć, a nawet zapewnić lukratywne kontrakty z państwem.

Każda uczciwość – jak mawia przysłowie – prędzej czy później musi zostać ukarana. Jest październik 2017 roku, odprawia pan tego Porowskiego i co się dalej dzieje?

– Zaczynają docierać dziwne sygnały. Jedna z pracownic, która właśnie odchodziła z firmy, została zaczepiona przez agentów CBA i ostentacyjnie wypytwana o to, co się u nas dzieje. Okazuje się, że agenci świetnie wiedzą, kto jest kto i ile zarabia. Opowiadają jej, że sprawdzają firmę od spodu. Wszystkie pozwolenia na budowę i tak dalej... Pomyślałem sobie naiwnie: „Cóż, będziemy najlepiej sprawdzoną firmą na świecie, nie mamy nic do ukrycia”.

Niebawem dociera inny sygnał. Próbuje zrekrutować informatyka do pracy. Obdzwaniamy krótką listę kandydatów. Okazuje się, że jeden z nich jest na umowie-zleceniu w CBA i z góry oświadcza: „Ja do was nie przyjdę, bo jesteście trefni. Wami się »firma« interesuje”. Muszę zakładać, że to wszystko były kontrolowane przecieki.

Chodziło o wywarcie presji.

– W końcu o szóstej rano ładują się do mieszkania przy ulicy Książęcej w Warszawie. Wałą do drzwi. Otwieram w szlafroku. Stoi trzech facetów. Za nimi strażak z piłą tarczową na ewentualność, gdybym drzwi nie otwierał.

Pytam, o co chodzi. Oni na to, że „hotel Cracovia i kino Kijów”. Nic z tego nie rozumiem. Robią przeszukanie. Najpierw w mieszkaniu, potem w piwnicy. Grzebią w samochodzie, ostatecznie go zajmują. Zabierają mnie do szpitala na Solcu. Tam mam jakieś badania. Pakują wreszcie do samochodu i wiozą do prokuratury. Niech pan zgadnie gdzie? Do Katowic, matecznika Porowskiego i jego mocodawcy.

Co zabawne – w samochodzie śmierzdzi śledziami. Pytam, żeby rozładować napięcie: „A co to za impreza była?”. Oni na to, że balowali wczoraj z „panem ministrem”. I że się trochę oleju z sałatki śledziowej rozlało, gdy dowozili catering. „Z którym ministrem? – pytam. – Z Kamińskim? Z Wąsikiem? Z Bejdą?”. Tajemnica słuźbowa.

W Katowicach prokurator Leszek Sroka oświadcza, że jestem podejrzany o skorumpowanie senatora Stanisława Koguta. Materiał dowodowy ma pochodzić z podsłuchów.

Zarzut polegał na tym, że miał pan wręczyć korzyść majątkową w zamian za niewpisanie na listę zabytków hotelu Cracovia i kina Kijów.

– To oczywisty nonsens. Po pierwsze, połowa tej rzekomej korzyści majątkowej [za umorzenie postępowania dotyczącego wpisania do rejestru zabytków] miała zostać przeze mnie wręczona już po wpisaniu tych obiektów do rejestru, czyli wtedy, kiedy jedyny cel mojej „korupcji” nie został osiągnięty.

Po drugie, wobec moich amerykańskich inwestorów podpisałem zobowiązanie przestrzegania standardów działalności Foreign Corrupt Practices Act (FCPA), co oznacza tyle, że jeśli reprezentuje się amerykański biznes i dopuszcza korupcji nawet za granicą, to idzie się do więzienia w Stanach Zjednoczonych.

Po trzecie, zgodnie z umową z amerykańskimi inwestorami mam obowiązek inwestować razem z nimi własne pieniądze. Umowa stanowi, że gdybym dopuścił się jakiegokolwiek korupcji, to oni mają prawo mnie wykupić za połowę wartości moich inwestycji. Straciłbym więc nie tylko zysk z inwestycji, ale też połowę kapitału – czyli połowę tego, czego się dorobi-

lem. Musiałbym być szalony, by podejmować takie ryzyko.

Rozumiem, że to argumentacja natury racjonalnej, dla prokuratorów Ziobry. – To taka argumentacja, żeby oni zrozumieli. Na poziomie merkantylnym, nie moralnym. Nie mam żadnego interesu, żeby robić to, co mi się zarzuca. Argumentacja ziobrowskiej prokuratury w zderzeniu z faktami jest nielogiczna.

A co panu do hotelu Cracovia i kina Kijów?

– Ten projekt nabyliśmy w ramach portfela Echo Investment, które jest spółką giełdową. Wraz z amerykańskimi inwestorami odkupiliśmy Echo od Michała Solowa. Hotel Cracovia i kino Kijów w relacji do całego portfela aktywów znajdowały się poniżej progu istotności. W czasie due diligence [ocena kondycji spółki przed zakupem] tych obiektów nawet nie badaliśmy, bo z punktu widzenia zwrotu na inwestycji były one bez znaczenia. Rada Miasta Krakowa uchwaliła taki plan zagospodarowania przestrzennego, że nie można było tego miejsca przeznaczyć na centrum handlowe. A tylko takie przeznaczenie tego terenu zarabiałoby pieniądze.

Prokurator uznał, że darowizna celowa dla Fundacji Pomocy Osobom Niepełnosprawnym w Stróżach to łapówka. Tym razem to była darowizna Echo Investment na budowę ośrodka dla dzieci autystycznych. Pieniądze zostały przekazane i wykorzystane zgodnie z przeznaczeniem.

Ja tę fundację wspierałem od 10 lat. Co roku, systematycznie i niekoniumkturalnie. I przez te wszystkie lata nikt nie miał do tego zastrzeżeń. Aż do wizyty Porowskiego.

No, może liczył pan na przychyłość senatora z PiS?

– Z tych 10 lat wspierania fundacji przez osiem PiS był w opozycji. Na co zatem mogłem liczyć? Już nie mówiąc, że wysłanie senatora Koguta z jakąkolwiek korupcyjną misją byłoby samobójcze. To był prostoliniżny człowiek, maszynista kolejowy, on nawet nie rozumiał, czym my się zajmujemy. I nie miał żadnego wpływu na podejmowane w tej sprawie decyzje.

Zresztą osoby decyzyjne zeznały, że nikt na nich żadnych nacisków nie wywierał, a z relacji pracowników Echo nie wynikało, jakoby konserwator wojewódzki chciał chronić te obiekty za pomocą wpisu do rejestru zabytków. Mówili raczej o dyskusji na temat zachowania pewnych elementów architektonicznych jak podjazd, schody wejściowe czy mozaika w holu.

A skąd taka zażyłość z senatorem Kogutem? Jak pan go poznał?

– Przypadkiem. O zażyłości nie może być mowy. Został mi przedstawiony przez dwie różne osoby mniej więcej w tym samym czasie. Najpierw przedstawił mi go mój kolega ze studiów Maciej Srebro, który uczestniczył w wyjeździe organizowanym przez marszałka Senatu Bogdana Borusewicza do Kuwejtu. Ja tam akurat byłem, bo mieliśmy wielu inwestorów z krajów Zatoki Perskiej. Przedstawiono mi go w lobby hotelowym.

Po raz drugi – też w lobby hotelu, w Sheratonie w Warszawie. Przedstawił mi go przy okazji innego spotkania Robert Draba z kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Od tego czasu Kogut zaczął mnie odwiedzać, opowiadać o swojej fundacji. Uległem jego prośbom i pierwsze pieniądze, jakie dałem fundacji, było to chyba w 2006 roku, pamiętam, że z przeznaczeniem na ławy na stadionie dla niepełnosprawnych. To było 160 tys. zł z prywatnej kieszeni.

Jak pójdzie hyr po mieście, że wystarczy pana ponękać i pan ulega, to się pan nie opędzi od fundacji w potrzebie.

– Niech się pan o mnie nie boi.

Kogut nie był zorientowany na osobisty zysk. Przez te 10 lat widziałem go zawsze w tej samej jesionce, tej samej czapce, wy-

świeconym garniturze i w czerwonej skodzie fabia.

Miał w życiu jedną misję: chciał być zawodowym aniołem. Robił to, jak umiał. On stworzył wielkie przedsiębiorstwo. W tej fundacji pracowało ze 300 osób – rehabilitantów, lekarzy, pielęgniarzy. Oczywiście politycznie to dyskontował, ale robił coś dobrego przy okazji.

To nie był człowiek z mojej bajki, ale mógł być jedynym uczciwym członkiem PiS. Przy jakiejś okazji mi powiedział: „Przemek, jak mnie z PiS-u wyrzucą, to wystartuję jako niezależny i też mnie wybiorą”. Nie przewidział, że najpierw jego i jego rodzinę zniszczą.

Na czym polegał głośny konflikt Koguta z Ziobrą i posłem Arkadiuszem Mularczykiem?

– Nie wiem, ale Kogut mówił, żeby wystrzegać się farbowanych lisów i wilków w owczej skórze. Odnosił to do Ziobry i jego środowiska. On był bardzo schorowanym człowiekiem. Zwolniono go z aresztu, do którego został wsadzony po tym, jak stracił mandat senatora, ale te przeżycia musiały zaważyć na jego kondycji.

Oczekiwałem na posiedzenie aresztowe w klatce w podziemiach sądu. Przez całą noc. Funkcjonariusze CBA siedli naprzeciwko, kiwali się na krzesłach i snuli opowieści: „Kur..., dla takich chwil warto pracować w służbach”

Gdy zachorował na COVID, to umarł. Kaczyński był wtedy z siebie bardzo zadowolony. Mówił: „My karzemy naszych ludzi. My karzemy tak ostro, że nawet w jednym wypadku to kosztowało tego człowieka życie. Nie będę tutaj wymieniał nazwiska, ale tak było”.

Przerażające. A pan dlaczego się stał celem?

– Wygląda na to, że dostałem odpryskiem w tej wojnie. No a poza tym byłem dobrym kandydatem na dojną krowę.

A co się dalej stało z hotelem Cracovia i kinem Kijów?

– Oba te obiekty kupiło Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Od siedmiu lat na budowie nic się nie dzieje, żadnych prac adaptacyjnych.

Idea była taka, że miała to być filia z ekspozycją sztuki nowoczesnej Muzeum Narodowego w Krakowie, ale hotel Cracovia został wybudowany z prefabrykowanej płyty. Technicznie nie jest możliwe urządzenie w nim dużych sal wystawowych.

Doświadczenie życiowe podpowiada mi, że wpisanie tych obiektów na listę zabytków podyktowane było chęcią przymuszenia Echo Investment do sprzedania tych obiektów ministerstwu.

Jeszcze przed aresztowaniem zostałem zaproszony na spotkanie z wicepremierem Piotrem Glińskim. Było tam jeszcze kilku urzędników i przedstawi-

cieli Muzeum Narodowego w Krakowie. Gliński powiedział, że pani premier Szydło jako były pracownik Muzeum objęła osobistym patronatem tę kwestię i przeznaczyła z rezerwy budżetowej 28 mln zł na nabycie tych obiektów dla Muzeum Narodowego i że bardzo jej zależy, byśmy się zgodzili na sprzedaż. Zgodziliśmy się.

Wpisanie na listę zabytków ma ten skutek, że nie można rozebrać tych budynków. To czysta niegospodarność i niedopełnienie obowiązków, bo nabyciu nie towarzyszyła żadna analiza, żadna ekspertyza architektoniczna, żadne badanie techniczne. Zarzuty więc raczej powinni dostać Beata Szydło i Piotr Gliński.

Tak oto prokurator Leszek Sroka występuje dla pana o sankcję karną trzech mieści.

– Oczekiwałem na posiedzenie aresztowe w klatce w podziemiach sądu. Przez całą noc. Ciekawe doświadczenie.

Funkcjonariusze CBA siedli naprzeciwko, kiwali się na krzesłach i snuli opowieści. „Kur..., dla takich chwil warto pracować w służbach”.

Jeden z nich przysunął się do mnie i mówił: „No, no, nieźle tam działaliście w tym podziemiu w Poznaniu”. „My się znamy?” – zapytałem. „Nie, ale mi przydzielono sprawdzenie pana działalności z lat 80. No, no, podziwiam pana”.

Sąd Rejonowy Katowice-Wschód podtrzymał wniosek prokuratury.

– Katowice-Wschód, jak powiedział mi adwokat, to sąd, który na ogół przychyła się do wniosków aresztowych. Na posiedzeniu usłyszałem od sędzi, że tylko stroję się w piórka filantropa. Sędzia nawet nie zadała sobie trudu przeczytania akt. Posiedzenie aresztowe zostało wyznaczone praktycznie natychmiast po tym, jak akta sprawy – kilkadziesiąt tomów – przyjechały z prokuratury. Wraz z jednym z moich obrońców mieliśmy kilkanaście minut na ich przewertowanie.

A co w tym czasie robiła pani sędzia? Pojechała do McDonald’s. To z kolei widział inny z moich obrońców, mój kierowca i nasz PR-owiec, który z nim siedział w samochodzie przed budynkiem sądu.

Jak policzyłem, na działalność charytatywną i społecznie użyteczną z majątku własnego oraz firm ze mną powiązanych do tamtego momentu trafiło około 12 mln zł. Mamy więc oficjalną wykładnię polskiego wymiaru sprawiedliwości. Darowizny na poziomie 12 mln zł to jedynie strojenie się w piórka filantropa.

Do tamtego czasu wspierałem jeszcze trzy inne fundacje: Ewangelickie Towarzy-

stwo Oświatowe, Fundację Jana Karskiego i Fundację Griffin Art Space – pomagającą polskim artystom. Na fundację Koguta w sumie przeznaczyliśmy nieco ponad 2 mln zł. Nie było to więc ani jedyne, ani nawet największe wsparcie udzielone na cele społecznie użyteczne.

Przewieźli pana do Sosnowca.

– W areszcie dostałem pojedynczą celę. Podobno dla własnego bezpieczeństwa. Nie wielka, mogłem jednocześnie dotknąć obu przeciwległych ścian. Jak się położyłem, to dotykałem muszli klozetowej. Cela monitorowana przez 24/7. A więc kamera, także na podczerwień.

Zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Każdego wieczora o godzinie 19.30 w celi powyżej otwiera się okno i rozpoczyna głośna rozmowa. Mężczyzny u góry z kobietą po drugiej stronie muru. Te dialogi toczyły się przez cały okres mojego pobytu w areszcie, czyli przez 6 miesięcy.

Dzień w dzień?

– Dzień w dzień

Ten sam dialog?

– Różne dialogi.

Odtwarzali na przykład korespondencję z WhatsAppa między mną a moją żoną. Albo z moimi córkami. Moje rozmowy z prawnikami, które odbywałem podczas widzenia. Mężczyzna modulował głos w taki sposób, by mnie naśladować. Kobieta za murem raz była moją żoną, raz jedną lub drugą z moich córek.

To brzmi nieprawdopodobnie. Muszę zapytać, czy pan aby nie konfabuluje?

– Mówilem o tym moim prawnikom podczas naszych widzeń w areszcie i zareagowali tak samo. Nie wierzyli. Wskutek ich interwencji skierowano mnie na badania psychiatryczne. Biegli powołani przez prokuraturę nie stwierdzili u mnie żadnych zaburzeń. Mam to na piśmie.

Podobnie oddziaływano na mnie na spa-cerniaku. Dwaj rzekomi osadzeni o ksywkach „Siwy” i „Grubcio” rozmawiali ze sobą tak, bym wszystko słyszał. Widać było, że to facyci ze służb. Mieli na nadgarstkach bransoletki, na szyi łańcuchy, a przecież każdemu aresztantowi te przedmioty są zabierane do depozytu.

O mnie mówili w trzeciej osobie. Jeden powiada: „Dobrze by dla niego było, gdyby coś powiedział na Gronkiewicz-Waltz, na Adamowicza (to było jeszcze przed jego śmiercią), na Dutkiewicza, na Jaśkowiaka”. Drugi na to: „On musi coś wiedzieć. To małe środowisko ci ludzie od nieruchomości. Nawet jeśli sam nie dawał łapówek, to wie, kto dawał. No niech coś powie. Jak powie, to wyjdzie”...

Kiedy indziej komentowali przebieg mojego widzenia z prawnikami. „To im się nie uda, to marna taktyka procesowa. A ten jego adwokat z Warszawy to beznadziejny jest. O, ten drugi, z Krakowa – to jest prawdziwy adwokat”.

Straszono mnie niejakim Pawelkiem. „Pawełek potrafi się włamać do każdego komputera. Nikt nie dojdzie jak. Mają jego iPada. Załadują mu takie pedofilskie fotki, że się nie pozbiera. Wszyscy się od niego odwrócą. Jego młodszą córkę – a, dodam, była wówczas nieletnia – zawiozą na diagnostykę, po której się okaże, że była ofiarą jego praktyk pedofilskich”.

Odmówilem więc wychodzenia na spa-cerniak. Po kilku tygodniach pozwolili mi wychodzić indywidualnie.

Chwilami to było już humorystyczne. Kiedy szedłem do lekarza na mierzenie ciśnienia lub do łazni, towarzyszył mi często ten sam funkcjonariusz. Ale widzę, że co rusz ma inne dystynkcje: albo młodszy chorąży, albo kapral, który nagle staje się sierżantem. Mówię do niego: „Ciągłe pana awansują albo degradują. Już za panem nie nadążam”.

I gdy wychodzę z łazni, to widzę, że on ma już wywinięte pagony i jest szeregowym.

Gdy jechałem na te badania psychiatryczne, to konwojentka z CBA, wskazując na jakiś budynek, mówi do kierowcy: „O, to tutaj pracuje nasz Pawelek”.

Pawelek jest więc wszędzie. O Pawelku mówią klawisze, mówią na spacerniku, mówią konwojenci. Twierdzi pan, że konfabuluje, ale ja nie mam aż tak wybujałej wyobraźni. Na co dzień zajmuję się liczbami, a nie literaturą.

Z pewnością jest pan spostrzegawczy.

– Byłem harcerzem. Obaj byliśmy harcerzami.

Patryk Jaki załamywał publicznie ręce nad jedną z tymczasowo aresztowanych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości, która – jego zdaniem – jest traktowana jak terrorystka, bo założono jej kajdanki zespolone na ręce i nogi. Jaki uważa, że przypomina to zachowania mafii, „która chce wymusić zeznania”. Pusty śmiech. Otóż przez 6 miesięcy – a Jaki był wtedy wiceministrem sprawiedliwości, któremu podlegały więzienia – za każdym razem, gdy byłem doprowadzany przez policję na przesłuchanie, zakładano mi kajdanki zespolone pomimo sprzeciwu moich obrońców.

Mam własne wspomnienia z aresztu przy Kurkowej w Gdańsku z 1983 roku, ale przyznam, że oprócz agentury w celi to takich metod za komuny nie było. To typowy areszt wydobywczy. W zamian za wolność miał się pan stać sojusznikiem PiS i szyc buty niewinnym ludziom.

– Gdy wychodziłem, podszedł do mnie młody funkcjonariusz. Nie mieli na mundurach nazwisk, tylko numery służbowe, i ja zapamiętałem ten numer. Powiedział: „Panie Przemku, gdyby to od nas zależało, to my nigdy tych z CBA byśmy tutaj nie wpuścili”.

Jak pan wszystko znosił?

– Słabo. Schudłem do 58 kg. I różne myśli krążyły mi po głowie. Człowiek przestaje wierzyć własnym zmysłom. Zastanawia się, czy rzeczywiście nie jest chory psychicznie.

Nie mogłem się nadziwić, że polskie państwo angażuje tak nieprawdopodobne środki, żeby zniszczyć jednego człowieka. Po co? Ode mnie chcieli tylko 1,5 mln euro. Przecież z Lasów Państwowych czy z Funduszu Sprawiedliwości nakradli niepomrotnie więcej. Kompletny nonsens.

Były momenty, w których czuł pan, że pięknie?

– To była kafkowska sytuacja. Musiałbym się przyznać do tego, co oni uważają za moją winę, a o czym ja nie mam bladego pojęcia. Nic też nie wiem w rzekomej sprawie rzekomego korumpowania prezydentów największych polskich miast. Przecież nie o prawdę chodziło, ale o postawienie ich w stan oskarżenia, żeby ich gonić jak króliczka przed wyborami samorządowymi w 2018 roku.

Podobnie postąpiono z marszałkiem Tomaszem Grodzkim czy senatorem Stanisławem Gawłowskim. Postępowania w dętych sprawach trwają latami. To jest państwowe bezprawie przyodziane w prokuratorską togę.

Wychodzi pan z aresztu po tych sześciu miesiącach i co się dalej dzieje?

– Boisz się wyjść, skonfrontować ze światem za murem. Nie wiesz, co ludzie o tobie myślą, co powiedzą, jak się będą zachowywać. A więc strach. Niech mi pan wierzy, łatwiej się idzie do aresztu, niż z niego wychodzi. To moja obserwacja. Trauma zostaje.

W moim przypadku traumy ponakładały się na siebie. Moja obrończyni dopiero po moim wyjściu z aresztu uświadomiła mi, że na widzeniach z nią najwięcej mówiłem o śmierci mojego dwuletniego syna. Ta trauma – którą latami „leczyłem” pracołolizmem – w areszcie mnie



FOT. ARCHIWUM PRZEWIĄNE

zdominowała. Dopiero teraz, po wyjściu z za krat, przepracowuję traumę z aresztu śledczego w Sosnowcu.

W więzieniu zakrzywia się postrzeganie świata realnego. W 1983 roku wypuszczali mnie na wolność. Wchodzi klawisz do celi i mówi: „Kurski, pakuj się, wychodzisz”. Jednocześnie wręcza mi długo wyczekiwaną paczkę. Paczka w celi to było święto, ale z paczką nie można było wyjść z aresztu. Odbieram tę paczkę, siadam na pryczy, czule ją obejmuję i mówię, że nigdzie nie wychodzę. Skończyło się na tym, że paczkę rozdrapali klawisze, bo nie można też było jej zostawić kolegom z celi. Jak później o tym myślałem, to był to pierwszy przejaw syndromu więźnia, syndrom frommowskiej ucieczki od wolności.

– Ta konfrontacja z rzeczywistością jest trudna.

Nikt nie wnika, czy to Krych ukradł rower, czy Krychowi ukradli rower. Mówią: „Krych zamieszany jest w kradzież roweru. Skoro go tyle trzymali, to musi być coś na rzeczy”. Takie komentarze słyszę do dzisiaj. Dzieci miały rozmaite przykrości. Rówieśnicy się od nich odwracali, bo ktoś coś w domu powiedział. Szła ze mną czarna legenda. To było najtrudniejsze. Nikt nie lubi, gdy jego dzieciom dzieje się krzywda.

Mierzymy się z ludźmi głęboko zdemonializowanymi. Pisowskie kadry to ludzie bez zasad.

Za to moi amerykańscy partnerzy zachowali się fantastycznie. Nie, żeby w moją niewinność uwierzyli na słowo. Oni zatrudnili cztery niezależne kancelarie. Trzy międzynarodowe i jedną polską.

Cztery?!

– Tak, przeprowadzili cztery niezależne śledztwa w mojej sprawie. Wszystkie potwierdziły moją niewinność. O żadnej korupcji nie mogło być mowy. Jeszcze w areszcie dostałem list od moich inwstorów. Mam go do dzisiaj. Pisali, że moja gwiazda świeci tak samo jasno jak na początku naszej współpracy, że czekają na mnie. To oczywiście było dla mnie ważne i dodało mi sił.

Wychodzi pan. Czy Porowski znów się odzywa?

– Tym razem nie Porowski. Dzwoni mój przyjaciel, który się znał z Adamem Hofmanem, byłym rzecznikiem PiS, i powiada, że ów chce się ze mną spotkać. Idzie-

my więc we trójkę na spacer po warszawskich Łazienkach. Chcę mieć świadka tej rozmowy.

Rozmawialiśmy z półtorej godziny. Hofman mnie wypytuje o areszt, jak przebiegał, co się działo. A potem wygłasza następujące dictum, że to wszystko „jakieś nieporozumienie i że oni pana wzięli za kieszonkowego oligarchę, a pan jest przecież amerykański kapitał”.

I teraz cytat: „Oni się jebnęli”. I propozycja: „Może by się pan spotkał ze Zbyszkim i z Patrycją, to sobie wszystko wyjaśnicie”. Hofman deklaruje, że zorganizuje kolację. Ja mu na to, że to nie wchodzi w grę, że nie spotykam się z politykami poza biznesowym protokołem.

Drugie dictum Hofmana było takie: „Dostał pan rykoszetem, bo Ziobro chciał Małopolskę dla Mularczyka, a Kogut stał temu na przeszkodzie i trzeba było się go pozbyć”.

Nie wiem, co to znaczy, ale domyślam się, że chodzi o wewnętrzną walkę w regionie. Powtarzam tylko to, co usłyszałem.

A co pan zrobił w sprawie Porowskiego?

– Po udzielonym przeze mnie wywiadzie, w którym opisałem sytuację z Porowskim, prokuratura katowicka wszczęła postępowanie, ale – jak rozumiem – skierowane przeciwko mnie, zamiast postępowania w sprawie powoływania się na wpływ w służbach specjalnych i próby wymuszenia korzyści majątkowej.

A to ci dopiero! A o co?

– O kierowanie bezpodstawnych oskarżeń wobec osób trzecich. I takie śledztwo rozpoczęła pani prokurator Agnieszka Wicha, rzeczniczka prokuratury regionalnej. Przez dwa lata, póki PiS rządziło, nie działo się nic poza czynnościami pozorowanymi. Dopiero dwa miesiące temu rozpoczęło śledztwo, tym razem właściwe, o powoływanie się przez Porowskiego na wpływ w służbach specjalnych. Z mojego doniesienia.

Prokuratura w Katowicach odmówiła mojemu pełnomocnikowi uczestniczenia w istotnych czynnościach w postępowaniu przeciw Porowskiemu. Rzekomo dla dobra śledztwa, które jest ważniejsze niż mój interes jako pokrzywdzonego.

Przesłuchano już Hofmana i samego Porowskiego?

– Nic o tym nie wiem, ale znalezienie powiązań między Porowskim a osobami ze

ścisłego kierownictwa CBA z czasów PiS nie będzie żadnym problemem. Wystarczy przeprzebać internet.

Stawiam tezę, że Porowski był tylko posłańcem swoich mocodawców. Ufam, że niezależna prokuratura to potwierdzi, ale z pewnością inna niż katowicka, w której interesie to nie leży.

Dodam tylko, że funkcjonariusze prowadzący działania przeciwko mnie są uwikłani w tragiczną śmierć Barbary Bli-dy w 2007 roku. Bezkarność demoralizuje i rozzuchwala.

Opuścił pan areszt w czerwcu 2018 roku. Rozumiem, że cały czas rozmawiam z oskarżonym Przemysławem Krychem. Mamy rok 2024.

– Prokuratura parę lat temu skierowała akt oskarżenia do sądu w Nowym Sączu. Ten uznał się za niewłaściwy i przerzucił gorący kartofel do sądu Katowice-Zachód, który przekazał sprawę do sądu Katowice-Wschód. Ten z kolei wystąpił do Sądu Okręgowego w Katowicach o przeniesienie sprawy do sądu w Krakowie. Wniosek został uwzględniony i sprawa trafiła do czwartego w kolejności sądu rejonowego. A sąd w Krakowie jeszcze właściwych czynności procesowych nie rozpoczął.

Formalnie więc niewiele się dzieje, ale nieformalnie prokurator złożył mi – za pośrednictwem jednego z moich obrońców – propozycję, żebym się przyznał do stawianych mi zarzutów w zamian za znacznie złagodzoną karę. Mam się przyznać, a w zamian nie trafię do więzienia. Jak na to, że rzekomo dawałem milionowe łapówki, że groziło mi 12 lat – to bardzo wielkoduszne. Oczywiście do niczego się nie zamierzam przyznawać. Jestem niewinny. Gdybym się ugiął, zaprzeczyłbym samemu sobie.

A zatem: czy po 15 października, gdy Zjednoczona Prawica przegrała wybory, coś w pana sprawie drgnęło?

– Nic. Są tylko słowa, słowa i słowa.

Jest w panu żal?

– Nie jestem jedyny w gronie ludzi biznesu, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji. A ludzie biznesu to niejedyna grupa społeczna lub zawodowa, którą spotkały represje. Jest nas razem spora gromadka – tych, którzy czekają na uczciwe potraktowanie.

Adam Bodnar po objęciu stanowiska zapowiedział szeroki audyt politycznie motywowanych postępowań. W ich wykazie, przygotowanym przez organizację pozarządową, znalazło się między innymi moje śledztwo. Wspominano również o nim w deklaracji Zgromadzenia Parlamentarnej Rady Europy.

Tymczasem minęło pół roku – efektów brak. Za to ziobraćcy w prokuraturze mają się świetnie.

W sumie do dzisiaj przekazałem około 20 mln zł na działalność charytatywną i społecznie użyteczną, bo od mojego wyjścia z aresztu dałem kolejnych 8, w tym na Fundusz Dziennikarstwa Śledczego Fundacji „Gazety Wyborczej”, co przyczyniło się do wykrycia wielu pisowskich afer.

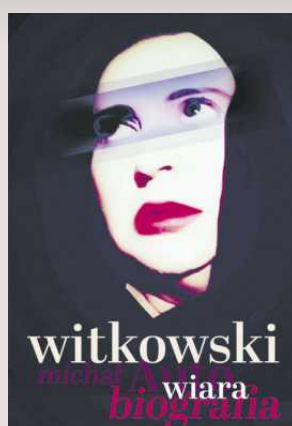
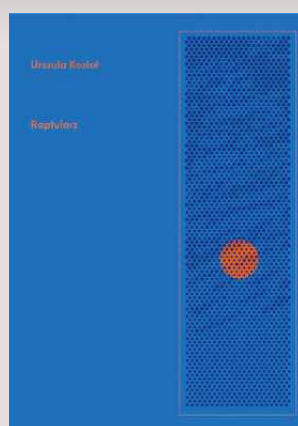
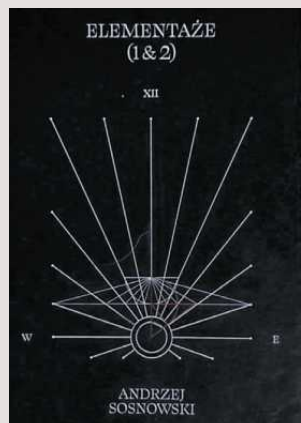
Nieskromnie powiem, że sprowadziłem do Polski 10 mld euro w formie inwestycji kapitałowych. To więcej niż rządowe agencje, które są do tego powołane. A państwo polskie w nagrodę zamyka mnie w areszcie, a potem udaje, że nic się nie stało. Trudno być zadowolonym.

No niech pan tak nie narzeka. 29 lipca 2024 prezydent Duda odznaczył pana Złotym Krzyżem Zasługi za działalność charytatywną. W uzasadnieniu wymienia beneficjenta pańskiej „łapówki” – fundację pomocy niepełnosprawnym senatora Stanisława Koguta.

– To, czy przyjmę to odznaczenie, to inna kwestia, ale jak pan widzi, za tę samą „łapówkę” można w Polsce iść siedzieć i jednocześnie dostać odznaczenie. ●



PLEBISCYT Nike Czytelników



Zagłosuj na:

wyborcza.pl/nike

Na Wasze głosy i recenzje
czekamy do **26 września**

Do zdobycia voucher na wycieczkę
o wartości **5 tys. zł**

REKLAMA

MECENAS
STRATEGICZNY:



MECENAS:



SKURCZONA SZKOŁA

Brakuje nauczycieli, ale będzie brakować uczniów.

Karolina Słowik

Stanisław Kuropatwa, burmistrz małopolskich Ciężkowic, ma zgryz. Słyszy, co mówią mieszkańcy: że mała szkoła blisko domu to skarb. Szczególnie dla siedmio-, ośmiolatków, dla których pobudka o 5 czy 6 rano, gonitwa na szkolny autobus i spędzanie czasu poza domem do późnych godzin to żadna alternatywa.

Ale co ma zrobić burmistrz z trzema szkołami: w Jastrzębi, Bruśniku i Kaśnej Dolnej, gdzie w ośmiu klasach jest średnio po sześcioro dzieci? Za co ma odremontować drogę, skoro na utrzymanie tych szkół brakuje mu 11 milionów złotych? A trzeba dodać, że już zaciągnął kredyt na pięć milionów, żeby starczyło na nauczycielskie pensje.

Zastanawiają się też gminni nauczyciele: jak prowadzić zajęcia, gdy np. czwórka ich uczniów i uczennic się rozchoruje? Gnać z realizacją podstawy programowej z dwójką pozostałych? Co zrobić, kiedy reszta wróci? Przerabiać materiał od nowa? Zadawać do domu?

Dzieci też lekko nie mają. Gdy część klasy leży z grypą, trzeba się pilnować: mieć zadania odrobione, tematy lekcji powtórzone. Nie da się już schować za plecami kolegi, jeśli się czegoś nie wie, bo kolega jest przecież jeden.

Mieć pięcioro czy sześcioro kolegów i koleżanek w klasie to i tak dobry wynik jak na małą wiejską szkołę. Bo co powiedzieć o oddziałach dwuosobowych? Albo nawet jednoosobowych? O takiej klasie pisała niedawno Aleksandra Pezda w „Newsweeku”: do szkoły podstawowej w Rębielec Szlacheckich pod Kłobuckiem przyszedł poprzedniego września jeden pierwszoklasista.

Skoro się zgłosił, dyrektor musiał utworzyć dla niego klasę, bo – zgodnie z przepisami – jeśli do szkoły zgłosi się choć jeden uczeń z jej obwodu, musi zostać przyjęty. A gdy pierwszoklasista z Rębielec Szlacheckich leżał z katarem w domu, jego nauczycielka musiała wynajdywać sobie inne zajęcia, żeby wyrobić etat.

Stać nas na to?

Media karmią się takimi ekstremalnymi przypadkami. Ale czy to rzeczywiście tylko incydenty? Większość klas w polskich szkołach podstawowych liczy od 18 do 25 osób. Tych, które liczą ponad 18 osób jest 64 proc., ale takich, które mają mniej niż dziesięć, jest 10 proc. To dane firmy Vulcan, która oferuje szkołom dzienniki elektroniczne. Dla porównania: w 2006 r. gimnazja miały średnio 25-osobowe oddziały. W 2018 r. – 22-osobowe.

– Trzeba pamiętać, że koszt utrzymania oddziału czteroosobowego jest niemal taki sam jak 20-osobowego – mówił „Wyborczej” Jan Zięba, kierownik działu doradztwa w firmie Vulcan, który zajmuje się przeprowadzaniem audytów finansów i organizacji oświaty w samorządach. – Jeżeli mamy 40 kandydatów do liceum w całym powiecie, to trzeba utworzyć dwie klasy po 20 osób. To jest drogo, ale nic nie można z tym zrobić. Im mniejsze powiaty, tym trudniejsza sytuacja finansowa.

To temat, który szczególnie drażni Krzysztofa Iwaniuka, wójta gminy Terepol i wiceprzewodniczącego Związku Gmin Wiejskich. – Rozmawiamy o tym od 25 lat – zżyma się, gdy pytam o kilkusobowe klasy. I zastanawia się, ile można się prosić o wprowadzenie minimalnej liczby osób w klasie. – Absurd. W Polsce mamy połowę szkół

wiejskich, które liczą poniżej 100 uczniów. Stać nas na takie rzeczy? – pyta, chociaż dobrze wie, kogo na to nie stać. – 57 proc. gmin nie ma nadwyżki operacyjnej, czyli ma wyższe wydatki niż dochody. Nie ma tam nowych dróg, inwestycje są wycofywane, nawet nie stać ich na składanie unijnych wniosków grantowych, bo skąd mają wziąć na wkład własny, skoro wszystko idzie na utrzymanie szkół z jedno-, dwu-, trzynosobowymi klasami – denerwuje się.

Iwaniuk podkreśla, że chodzi o gminy oddalone od wielkich ośrodków miejskich: – Jest taka gmina, gdzie w co trzeciej wsi urodziło się jedno dziecko. Sami starzy ludzie. Młodzi wyjechali. W ciągu roku w kościele było piętnaście pogrzebów i jedne chrzciny. Proboszcz sam zrezygnował, bo powiedział, że z tego nie żyje.

Takich odległych gmin w Polsce jest – według wyliczeń Iwaniuka – ok. 30 proc. A takich drogich i małych szkół, które tego typu gminy chcą likwidować lub przekształcać w coś innego jest 246 (77 do likwidacji, 169 do przekształcenia). Tyle wniosków trafiło do kuratorów oświaty w tej sprawie od 1 września 2023 r. do 31 maja 2024 r.

Ministerstwo edukacji przyznaje, że rząd Donalda Tuska widzi „potężne zmiany demograficzne. Barbara Nowacka nie chce, aby szkoły w małych gminach były zamykane. Bo często są cennym centrum życia lokalnego. To tam mogą odbywać się liczne spotkania czy wydarzenia kulturalne – mówiła, zapowiadając „kolejny etap” ratowania tych placówek – oprócz przedszkoli, w małych wiejskich szkołach mają powstawać żłobki.

Na razie jest pilotaż: w gminach, gdzie nie ma żadnego żłobka, powstanie 85 takich przyszłokolnych placówek. Ministerstwo przeznaczy z budżetu nawet do 300 tys. zł na przystosowanie sali w każdej placówce przeznaczonej na stworzenie tam instytucji dziennego opiekuna. I przekaze samorządom po 8 tys. zł miesięcznie na prowadzenie tej placówki. – To dla małej szkoły często szansa na przetrwanie – przyznała Nowacka. A patrząc na demografię, kolejne lata mają być tylko chudsze.

Ostatni taki rocznik

W czerwcu padł rekord. Jak podaje Główny Urząd Statystyczny, urodziło się zaledwie 19 tys. dzieci. Biorąc pod uwagę miesięczną liczbę urodzeń, to najgorszy miesiąc, od kiedy GUS zbiera dane. Dla porównania w maju odnotowaliśmy 21 tys. urodzeń. Ten spadek widać też w rocznych statystykach. W 2023 r. urodziło się ok. 272 tys. dzieci. Rok wcześniej – 305 tys., w 2021 r. – 331 tys.

„W przedszkolach widmo posuchy demograficznej puka do drzwi już teraz” – ostrzegał na swoim blogu Dealerzy Wiedzy Robert Górniak, nauczyciel angielskiego i wicedyrektor w niepublicznej szkole w Sosnowcu. Powołując się na dane z ministerstwa edukacji Górniak wylicza, że każdy kolejny rok to około 100 tys. przedszkolaków mniej. W klasach 1-3 jeszcze przez następne trzy lata większych zmian nie będzie. Potem z nauczania wczesnoszkolnego ma ubyć nawet jedna czwarta uczniów (z 1,2 mln do 0,9 mln).

– Dane można sobie zobaczyć chociażby na stronie Głównego Urzędu Statystycznego – potwierdza Grzegorz Pochopień, ekspert od finansowania oświaty, który sześć lat pracował w ministerstwie finansów i dziewięć w ministerstwie edukacji. – Można mieć mylne wrażenie, że sytuacja nie jest jeszcze najgorsza, bo akurat w tym roku pierwsze klasy szkół podstawowych to całkiem przyzwoity rocznik: ponad 400 tysięcy dzieci. Ale to ostatni taki rocznik – podkreśla.

Do przedszkoli we wrześniu rekrutował się rocznik liczący tylko 330 tysięcy trzylatków. – Tak mało licznych roczników nie pamiętamy – rozwiewa wątpliwości Pochopień i zaznacza, że tempo zmian rośnie z roku na

rok. Widać to, jak zestawimy powyższe liczby z zeszłorocznymi urodzeniami: 270 tys. dzieci. Jak powrócić do rocznika rzędu 400 tys.? – To by się zdarzyło, gdyby rodziny miały średnio po trójkę dzieci – uważa analityk.

Posucha w przedszkolach

Pochopień zgadza się z Górniakiem, że przedszkola już obrywają: – I będzie to oznaczało likwidację niektórych z nich, bo już teraz mamy takie przedszkola samorządowe, które mają po dwa oddziały mieszane: trzy- i czterolatki latki w jednej grupie, a pięcio- i sześciolatki w drugiej. Albo właśnie oddziały żłobkowe. Mimo tych pomysłów wydaje się jednak, że nie ma innej drogi niż taka, że liczba obiektów zwyczajnie się zmniejsza. Bo w przedszkolach łączyć grupy różne wiekowo jeszcze można. A co z podstawówkami, gdzie w ośmiu klasach jest po 40 uczniów? Za parę lat będzie ich 20. Dyskusja o tym, czy taka bardzo droga szkoła powinna istnieć, na pewno jest godna przeprowadzenia. Bo jeśli pieniądze idą z uczniem, a nauczyciela i tak trzeba opłacić, to rachunek dla gminy robi się niebotyczny.

Pomiędzy rokiem szkolnym 2022/2023 a 2030/2031 liczba dzieci w przedszkolach ma zmniejszyć się o 322 tys., czyli o 22 proc. A od roku szkolnego 2027/2028 liczba dzieci w podstawówkach stopnieje o ok. 169 tys. w ciągu czterech lat.

Co to oznacza? Były minister edukacji Przemysław Czarnek podsumował to jak zwykle dosadnie: będą zwolnienia nauczycieli. – To jest kwestia ok. 100 tys. nauczycieli z 700 tys. w perspektywie dwóch, trzech lat.

Z nauczania wczesnoszkolnego ma ubyć nawet jedna czwarta uczniów



Odczuwają to w przedszkolach. Robert Górniak z Dealerów Wiedzy prognozuje, że w każdym kolejnym roku szkolnym zapotrzebowanie na kadrę nauczycielską w tych placówkach będzie się zmniejszać o 4 tys. osób.

Tomasz Branicki, prezes ZNP w Olsztynie, mówił na wiosnę Portalowi Samorządowemu, że w ich okręgu rekrutacja dzieci skończyła się sporą nadwyżką wolnych miejsc. I już wtedy zapowiadał, że szykują się zwolnienia kadry. Potem olsztyński magistrat potwierdzał: nie udało się otworzyć czterech oddziałów i kilkanaście osób straciło pracę.

Poszukiwani czy zbędni?

Skoro nauczyciele będą zwalniani, to może nie ma co przejmować się kryzysem kadrowym, o którym piszemy niezmiennie od paru lat (najsilniej od momentu likwidacji gimnazjów)? Pytam o to szefa Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Sławomir Broniarz najpierw wylicza: brakuje obecnie od 20 do 25 tys. nauczycieli. I nie może uwierzyć, że minister finansów Andrzej Domański w tej sytuacji nie zgodził się na solidne podwyżki. ZNP domaga się 15 proc., ministra Nowacka prosiła ministra Domańskie-

go o 10 proc. A Domański zgodził się na razie na połowę z tego. – Tymczasem dyrektor szkoły mówi: „Pani Aniu, pani jest po fizyce, ma pani do czynienia z przedmiotami ścisłymi, to pani będzie uczyła teraz również matematyki”. To tak jakbyśmy powiedzieli: „Nie mamy okulisty, mamy pediatrę. Na studiach miał pan anatomię, to może pan coś z tym okiem zrobić?” – mówi Broniarz.

Szef ZNP podkreśla też, że nauczycieli na rynku nie brakuje, bo absolwentów studiów pedagogicznych jest akurat nadwyżka. Problem w tym, że nie chcą uczyć. A to Broniarz nie dziwi. Bo warunki są coraz cięższe, wymagania związane z kryzysami, wojną, kataklizmami rosną, a podwyżki nie będą podwyżkami, tylko lichą waloryzacją inflacyjną. Nie brzmi to dobrze i raczej młodych do zawodu nie przyciągnie. Ale znowu – skoro ma ich ubywać przez kryzys demograficzny, może nie ma się co martwić, wzorem ministra Czarnka?

Grzegorz Pochopień uważa, że oczekiwanie, iż jeden kryzys rozwiąże drugi, jest nie rozsądne: – Bo przecież największe problemy kadrowe są w szkołach ponadpodstawowych. A tapnięcie demograficzne dotrze tam najpóźniej. To perspektywa kilkunastu lat. A poza tym i tak: nawet klasa z dwójką uczniów musi mieć nauczyciela.

Ukraińskie dzieci uratują szkoły?

Na ten obrazek Marek Wójcik ze Związku Miast Polskich nakłada trzeci filtr: – O demografii i sytuacji kadrowej w szkołach nie możemy mówić bez kontekstu migracji – przekonuje.

Od września polskie szkoły przyjęły dodatkowo 80 tys. ukraińskich dzieci, które do tej pory były poza systemem. MEN nałożył na nie obowiązek szkolny, a od jego wypełnienia uzależnił wypłatę świadczenia 800 plus. I w rezultacie mamy w placówkach oświatowych ponad 300 tys. dzieci z Ukrainy, z którymi nauczyciele muszą pracować intuicyjnie, po swojemu, idąc często na żywioł, bo systemowych rozwiązań na razie brak. Te piętrzące się trudności, obok zapowiedzi lichych podwyżek, to może być kolejny istotny hamulcowy dla tych, którzy zastanawiają się nad karierą w szkole.

Ale może demograficznie na tym zyskamy? Grzegorz Pochopień wątpliwości nie ma: – W podstawówkach mamy trzy miliony dzieci. Kilkaset tysięcy ukraińskich dzieci nie rozwiąże nam kryzysu demograficznego. Może złagodzi, ale to nie ta skala. Skalą jest spadek o sto tysięcy dzieci rok do roku.

Jeszcze nie jest za późno

To co uratuje system przed chaosem? Każdy z ekspertów wspomina o jednym rozwiązaniu: o szkołach zbiorczych. Wizja jest taka: małe, drogie wiejskie szkoły zostają. Z klasami 1-3, oddziałami przedszkolnymi, może nawet żłobkami. Klasy 4-8 powstają w większych ośrodkach, a dzieci dowożone autobusami.

Inaczej oświata będzie coraz droższa. – Tu chodzi o dziesiątki miliardów. To takie kwoty, z którymi rząd może sobie nie poradzić – mówi Pochopień.

Wszyscy rozmówcy są zgodni: kryzys demograficzny, kadrowy i migracyjny to tematy na najbliższe lata. Tymczasem spalamy energię na dyskusjach o zadaniach domowych czy Sienkiewiczzu w kanonie lektur.

Jak mówi Grzegorz Pochopień, to nie jest tak, że nikt w MEN nie analizuje skutków tych kryzysów. – Jest analityczna komórka w MEN w ramach jednego z departamentów, ale być może potrzeba zatrudnienia większej liczby ludzi, którzy będą nad tym pracować. Kwestie związane z demografią już się dzieją, wymagają dyskusji, a potem zmian. Inaczej stracimy szansę na to, żeby zaplanować rozwiązania mądrzej, spokojniej i lepiej. Nie może być tak, że na ostatnią chwilę ktoś coś wymyśli i nam to przedstawi. Tak się nie robi, to jest zbyt poważne. A przecież jeszcze nie jest za późno. ●



FOT. GETTY IMAGES

To już nie będę mogła ucznia przytulić? Pogłaskać po głowie?

Z **ANNA KRAWCZAK***,
EKSPERTKĄ FUNDACJI DAJEMY
DZIECIOM SIŁĘ
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

AGNIESZKA JUCEWICZ: Od 15 sierpnia szkoły i inne placówki, w których przebywają dzieci, muszą mieć standardy ich ochrony – to konsekwencja tzw. ustawy Kamilka. Jest wiele niepokoju, np. są wytyczne, że nauczycielowi kontaktującemu się z dzieckiem powinna zawsze towarzyszyć druga osoba dorosła, że nauczyciel nigdy nie może zapraszać uczniów do domu.

ANNA KRAWCZAK: Cieszę się, że pani o to pyta, bo dla mnie to okazja do opowiedzenia pewnej historii.

Wszystko zaczęło się, kiedy wybuchła wojna w Ukrainie. Na granicę polsko-ukraińską ruszyła masa osób, które oferowały osobom uciekającym przed wojną swoje ręce, czas i serce. Wśród uciekających byli dzieci bez opieki, też domy dziecka. W mediach pojawiały się chwytające za serce zdjęcia, które pokazywały rozścielone maty na dworcu, na których leżały niemowlaki przewijane przez wolontariuszy.

Wiedzieliśmy jednak z instytucji zagranicznych, że osoby wcześniej skazane za przestępstwa seksualne przeciwko dzieciom zaczynają migrować w kierunku granicy ukraińskiej, co dzieje się zawsze w takich sytuacjach. Wiedzieliśmy też, że kiedy

nagle napływają tysiące wolontariuszy, nie da się ich wszystkich sprawdzić.

Utworzyliśmy więc ad hoc zapis lapidarnych, ale jednoznacznych zasad bezpiecznych relacji dla sytuacji kryzysu humanitarnego. I to, o czym pani powiedziała, czyli na przykład: „kiedy wykonujesz działania razem z dziećmi, upewnij się, że jesteś w zasięgu innej dorosłej osoby”, „jeśli będziesz miała wykonać jakieś czynności higieniczno-pielęgnacyjne wobec dziecka, zostaniesz do tego odpowiednio przeszkolona albo będzie ci towarzyszyć ktoś inny z personelu” – to są zdania wyjęte z tego dokumentu i do tego kontekstu były stworzone.

Otóż te zasady, które cały czas wiszą na naszej stronie, zaczęły być kopiowane przez różne miejsca...

...w tym przez szkoły i przedszkola.

– Tak. I zaczęły splotać do nas pytania: „Czy to oznacza, że ja jako nauczycielka nie mogę założyć grupy z uczniami na WhatsAppie?”, „Czy jak jestem szkolnym psychologiem, to – kiedy rozmawiam z dzieckiem – muszę zaprosić do gabinetu drugiego psychologa albo nauczyciela?”.

Otóż zasady powinny być dostosowane do specyfiki danego podmiotu i dlatego właśnie nie można ich robić na zasadzie kopiuj-wklej.

No dobrze, ale czy jeśli jestem nauczycielką, to mogę utworzyć tę grupę z uczniami

na WhatsAppie albo na Messengerze czy nie?

– Oczywiście, tylko zaprosz do niej jeszcze innego nauczyciela albo któregoś z rodziców, bo wtedy będziesz mieć dwa spojrzenia osób dorosłych, które mogą sobie trochę patrzeć na ręce.

Ale weźmy inny przykład: młodzieżowy ośrodek wychowawczy. Dzieci wyjeżdżają stamtąd na przepustki do domów, w których często dochodzi do zagrażających dla nich sytuacji. Wychowawca z takiego ośrodka pyta: „Jak mam wpisać do zasad bezpiecznych relacji, że nigdy nie zaproszę dziecka do siebie, jeśli o 22 dzwoni do mnie zapłakana wychowanka, że musi uciekać z domu, ja jestem jedyną osobą, która może jej pomóc, i pyta, czy może przyjechać? Mam zamknąć przed nią drzwi?”.

Oczywiście, w takiej sytuacji żadnego dziecka nie można wyrzucić z domu, powinno się nim zaopiekować, ale w zasady bezpiecznych relacji dla tej konkretnej instytucji można wpisać, żeby później stworzyć notatkę służbową o tym, co się wydarzyło, do swojego przełożonego. Tyle.

Kolejną kwestią budzącą kontrowersję jest zasada dotyku fizycznego, która też została wzięta z zasad opracowanych dla kryzysu humanitarnego.

Nauczyciele wczesnego nauczania pisali na forach: „To jak to, już nie będę mogła dziecka przytulić? Pogłaskać go głowie?”.

– Wyobraźmy sobie żłobek, przedszkole albo klasy 1-3, które wpisują w swoje zasady bezpiecznych relacji zakaz dotykania dzieci. Niestety, już się z tym spotkałam i zawsze pytałam: „Naprawdę zamierzacie nie dotykać dziecka, kiedy będzie przewijane? Nie dotykać przedszkolaka, który będzie zaplakany, bo się przewrócił?”.

Jedni odpowiadali, że owszem, zamierzają nie dotykać dzieci, bo prawo im tego zakazuje, co jest nieprawdą. A drudzy: „Musimy to tak zapisać, ale będziemy to robić nadal”. Co też nie jest poprawną odpowiedzią.

A jaka jest?

– Kiedy proponowałam na warsztatach, żeby zasadę regulującą kontakt fizyczny oprzeć na zgodzie dziecka, to dla bardzo wielu osób było to nieoczywiste. Łatwiej im było iść w kierunku „nie wolno”, niż uprzytomnić sobie, że zaraz, dziecko jest drugim człowiekiem. Można je spytać: „Czy potrzebujesz przytulenia? Czy chciałbyś, żebym cię pottrzymała za rękę?”. Przecież to jest elementarz pedagogiczny. Dlatego nad standardami w placówkach powinno się pracować zespołowo i na niuansach.

Jednym z elementów standardów jest ustalenie zasad bezpiecznych relacji pomiędzy dorosłymi a dziećmi w danej placówce. Kiedy w ramach warsztatów, które prowadzę, nauczyciele, lekarze, pracownicy domów dziecka, klubów sportowych przygotowują sobie draft takich zasad, to na ogół na

pierwszym miejscu pojawia się zapis: „Traktujemy dzieci z szacunkiem”.

Kiedy dopytuję: „Z szacunkiem, czyli jak?”, zaczyna się cała dyskusja. I po to między innymi są standardy, żeby to spróbować uzgodnić.

Jak może wyglądać rozwinięcie zdania: „Traktujemy dzieci z szacunkiem”?

- Mam przed sobą dokument z grupy roboczej składającej się z przedstawicieli rodzin zastępczych i koordynatorów tych rodzin, która dostała właśnie takie zadanie. Rozpisałam je sobie w następujących podpunktach:
1. Pamiętaj o prostym przekazie dostosowanym do potrzeb dziecka.
 2. Komunikuj się z pełnym zaangażowaniem, bądź emocjonalnie obecny i dostępny tu i teraz.
 3. Staraj się zachowywać spokojny i ciepły ton głosu.
 4. Utrzymuj kontakt wzrokowy z dzieckiem.

Dalej nie będę czytać, ale to jest dokładnie to, o co chodzi, czyli rozkładamy sobie na części pierwsze to, o czym myślimy, kiedy wydaje się nam, że kierujemy się szacunkiem.

Kiedy mamy to zapisane, możemy się też do tego odwołać.

To znaczy?

– Na przykład powiedzieć koleżance albo koledze: „Słuchaj, umawialiśmy, że kiedy będziemy rozmawiać z dzieckiem, to będziemy się ku niemu pochylać, a nie przemawiać ex katedra. Możesz, proszę, to poprawić?”. Czyli przechodzimy od kultury donosu, wciąż moim zdaniem obecnej w Polsce, do kultury opartej na współpracy.

Czy my to kupimy czy nie? Nie wiem. Standardy jednak to jest dla nas szansa. Zaproszenie do nowego świata, a nie pozostawanie w tym starym, który twierdzi: „my to wszystko wiemy”, „przecież jest oczywiste, że Sabinka wspaniale się opiekuje dziećmi”.

Ważną częścią standardów są zapisy, jak rozpoznać, czy dziecko jest krzywdzone, i jak to zgłaszać. Weźmy szkołę: przecież nauczyciele wcześniej też mieli taki obowiązek, wiele z nich zgłaszało takie sytuacje odpowiednim służbom, to po co im te standardy?

– Tu standardy nie wprowadzają żadnych nowych przepisów. Kodeks karny jest w zasadzie ten sam. Tyle że teraz mamy dokument, który mówi – macie zebrać te wszystkie czynności interwencyjne, które do tej pory podejmowaliście bądź nie – bo rzeczywistość jest taka, że nie wszyscy to robili – w jednym miejscu i rozpisać je krok po kroku. Żeby było wiadomo, co dokładnie ma zrobić członek personelu, gdy podejrzewa, że dziecko jest krzywdzone.

No i tu zwykle zaczynają się schody, bo się okazuje, że na przykład szkoły są dość biegłe w składaniu wniosków o wgląd w sytuację rodziny do sądu rodzinnego, ale niechętnie do wszczynania procedury Niebieskiej Karty. Ochrona zdrowia zresztą podobnie.

Dlaczego?

– Wielu osobom wciąż się wydaje, że to jest taki miecz Boży. A Niebieska Karta jest procedurą niezwykle szeroką, którą można uruchomić w sytuacji przemocy fizycznej, seksualnej, emocjonalnej, ale też zanie dbania.

Procedura Niebieskiej Karty jest przede wszystkim procedurą pomocową. W tle działa zespół interdyscyplinarny, który ma wyjaśnić sprawę, wesprzeć rodzinę, na przykład oferując jej pomoc psychologiczną, i przerwać sytuację krzywdzenia, jeśli ona zachodzi. Procedurę Niebieskiej Karty można kontynuować, ale można ją też rozwiązać.

Co zmienia to, że dzięki standardom mamy zapisane czarno na białym, jak postępować? Dam przykład: do małego szpitala przychodzą rodzice z dzieckiem, które z powodu niepełnosprawności jest objęte pomocą rehabilitacyjną. Podczas wizyty kontrolnej lekarka zwraca uwagę, że dziecko nie

ma okularów, choć została wypisana na nie recepta, a ich brak będzie powodował szybkie pogarszanie się wzroku.

Na kolejnej wizycie okularów wciąż nie ma. Rodzice tłumaczą, że to tyle pieniędzy kosztuje, jednocześnie mama ma manicure, przedłużone rzęsy, tata jest ładnie ubrany. Lekarka podpowiada rodzicom, że mogą skorzystać z pomocy ośrodka pomocy społecznej, i kieruje ich do okulisty po nową receptę, bo tamta się przeterminowała.

Na kolejnej wizycie – bez zmian. I w tym momencie lekarka wypełnia procedurę Niebieskiej Karty na okoliczność zanie dbania zdrowotnego dziecka.

Podejrzewam, że gdyby personel tego szpitala nie został przeszkolony z procedur interwencyjnych, to lekarka być może podzieliłaby się przemyśleniami z koleżankami i tyle, dlatego że, co naturalne dla większości z nas, mamy takie zawahanie: „Czy ja tym swoim działaniem nie skrzywdzę tego rodzica czy opiekuna?”. Po prostu łatwiej jest nam się utożsamić z drugą osobą dorosłą niż z dzieckiem, które – jeśli rodzic zawodzi – nie ma na kogo liczyć.

Powinniśmy zgłosić podejrzenie, kiedy widzimy trzylatkę, która próbuje kopulować z zabawkami w przedszkolu

Tu zastosowano Niebieską Kartę, czyli dość łagodny rodzaj interwencji. Oczywiście, inaczej będzie ona wyglądać, kiedy podejrzewamy przestępstwo, że dziecko może być krzywdzone seksualnie czy też może być ofiarą znęcania się. Wtedy zawiadamiamy się prokuraturę albo policję. To, jak to zrobić, też powinno być ujęte w standardach.

I teraz kolejna rzecz, z którą się cały czas stykam, czyli:

„co to znaczy „uzasadnione podejrzenie”?”.

Bardzo ważne pytanie.

– Jeśli dojdziemy do wniosku, że uzasadnionym podejrzeniem jest ciąża u 13-latki, to już jest za późno na interwencję. Podejrzenie powinniśmy zgłosić – podkreślam: podejrzenie – kiedy widzimy trzylatkę, która ma zachowania odtwórcze i próbuje kopulować z zabawkami w przedszkolu.

Albo kiedy słyszymy, jak czterolatek mówi, że „z siusiaka czasami leci śmietana”. On sam jeszcze nie doświadczył ejakulacji, a jeżeli ją zobaczył, to albo miał kontakt z pornografią, czyli był skrzywdzony seksualnie w sposób pośredni, albo ktoś się przy nim masturbował. I takie podejrzenia należy powierzyć prokuraturze bądź policji.

Wcześniej w takich sytuacjach powinno się było zadziać dokładnie to samo. Standardy są okazją do przyjrzenia się, czy rzeczywiście to robiliśmy, a jeśli nie, to dlaczego.

Wielu dorosłych potrzebuje bardzo jasnych dowodów, na przykład śladów po przypaleniu czy po odcisku buta na plecach dziecka, żeby zadziać. Natomiast mnóstwo objawów, które nie muszą świadczyć o krzywdzeniu, jednak stanowią podstawę do podejrzeń, jak na przykład nagła zmiana w zachowaniu dziecka, załknienie, wycofanie się, gwałtowne pogorszenie się w nauce, liczne nieobecności, samookałeczenia nie stanowią w przekonaniu wielu dorosłych powodów, żeby sprawdzić, co się dzieje w rodzinie, bo to „zbyt nadmiarowe”, „zbyt intruzywne”, „nie śpieszmy się” itd.

Co się kryje za tymi przekonaniami?

– Na przykład wiara w naszą onnipotencję, że jak będziemy się przyglądać tej sy-

tuacji, to na pewno wychwycimy moment, kiedy interwencja będzie konieczna, ale to jeszcze nie jest ten moment.

A rocznie w Polsce około 30 dzieci umiera z powodu skrzywdzenia. 32 proc. dzieci doświadcza tej krzywdy ze strony osób najbliższych, a 8 proc. jest krzywdzonych seksualnie z kontaktem bezpośrednim.

Jeśli więc mamy na przykład szkołę, do której uczęszcza 400 uczniów, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że jakieś dziecko będzie doświadczać przemocy. Standardy pozwalają to odpowiednio wcześniej wychwycić i zareagować.

Wyjmują nas z takiej dziwnej perspektywy, która do tej pory była powszechna, że z jednej strony wiadomo, że krzywdzenie dziecka jest problemem niebiałym i że interwencje są słuszne, a z drugiej – jak dochodziło co do czego, to często się nam wydawało, że tę sytuację da się jakoś racjonalnie wyjaśnić. Standardy konfrontują nas też z tym, że istnieje coś takiego jak obowiązek prawny zgłaszania podejrzeń o krzywdzeniu dziecka.

Co dla niektórych może być zaskoczeniem.

– No właśnie. A wie pani, co w tej chwili najbardziej interesuje instytucje? Oczywiście konieczność weryfikacji personelu, która, owszem, też została ujęta w standardach, ale nie jest nowa. Jej zarzewiem była ustawa z 2016 roku o przeciwdziałaniu zagrożeniu przestępczością na tle seksualnym.

Już tam mieliśmy zapis, że w podmiotach, które pracują z dziećmi, należy sprawdzać pracowników w rejestrze sprawców przestępstw na tle seksualnym. W 2022 roku Najwyższa Izba Kontroli przeprowadziła kontrolę w placówkach opiekuńczo-wychowawczych: 42 proc. z nich nie sprawdziło żadnego ze swoich pracowników w żadnej formie rejestrów.

Jest rok 2024. 15 sierpnia jest dniem, od którego posiadanie standardów zaczęło być egzekwowane, tymczasem dla wielu instytucji jeszcze kilka tygodni temu informacja o tym, że jest coś takiego jak standardy ochrony małoletnich, była czymś nowym: „Ojej, to my mamy jakieś obowiązki?”. To trochę tak, jakby w 2016 roku spóźnili się na pociąg, a w 2024 roku odkryli, że od ośmiu lat powinni byli nim jechać.

Wyobrażałam sobie, że te standardy to będzie spójny dokument przygotowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości, tymczasem każda placówka sama ma je stworzyć dla siebie, jedynie na podstawie pewnych wytycznych, które są dość ogólne.

– Na stronie Ministerstwa Sprawiedliwości pojawiły się już wzory standardów ochrony dzieci dla różnych rodzajów placówek, które będą sukcesywnie uzupełniane, więc jest się na czym oprzeć. Choć, zaznaczam, chodzi nie o to, żeby je sobie przekopiować, tylko o to, żeby uszyć je na swoją miarę, zadając sobie pytania: „Czy to do nas pasuje czy jest zupełnie kosmiczne?”.

Bo nie ma czegoś takiego jak uniwersalne standardy. Oczywiście, wiem, że różne agencje czy kancelarie prawnicze masowo zaoferowały placówkom odpłatnie stworzenie i wdrożenie standardów, ale to kompletnie mija się z celem.

Dlaczego?

– Bo wymaga namysłu całego personelu i dokładnej znajomości kontekstu. Weźmy szpital: nie wystarczy zapisać, że „każde podejrzenie krzywdzenie dziecka musi być zgłoszone”. Do kogo? Nie ma tam dyrektora, jest lekarz dyżurujący i system zmianowy. W związku z tym raz to będzie zgłoszenie do ordynatora, raz do osoby dyżurującej, a innym razem do pielęgniarki socjalnej, jeżeli jest w szpitalu. W innym szpitalu takiej pielęgniarki nie ma, więc tam ta ścieżka będzie inna.

Szkoły na przykład mają bardzo poróżbiane te procedury, i to jest okej. Jedne myślały to sobie tak, że wszystkie zgłoszenia idą do dyrektora, ale inne, duże, rozdzieliły to sobie na przykład tak, że pani pedagog przyjmuje wszystkie zgłoszenia i robi wstępną selekcję – interwencje karne idą do dyrektora, a tymi z Niebieską Kartą czy zgłoszeniami do OPS-u zajmuje się ona sama.

Dobrze uszyte standardy na miarę danej placówki dają chyba kadrze poczucie bezpieczeństwa?

– Tak, często to słyszę, że „teraz wiemy, co, kiedy i jak robić”.

Mamy szkołę, która wdrożyła standardy już wcześniej, i one się sprawdziły w konkretnej sprawie Jasia, który był krzywdzony przez rówieśników. Ustawa wskazuje, że kiedy doszło do krzywdzenia dziecka, szkoła powinna opracować plan naprawczy, czyli plan pomocy dziecku, ale nie chodzi o to, żeby napisać: „to my teraz ze wszystkich sił będziemy się starali chronić Jasią jak najlepiej”, tylko – co dokładnie zrobimy.

I co zrobiła ta szkoła? Zarówno z klasą Jasia, jak i z klasą, z której pochodziło dziecko, które go krzywdziło, psycholog przeprowadził warsztaty z przeciwdziałania przemocy. Dziecko, które krzywdziło Jasią, ma też osobną pracę indywidualną z panią psycholog dotyczącą mechanizmów samokontroli. A Jasiowi psychologka pomaga podnieść poczucie własnej wartości.

I nagle ta szkoła, która na samym początku oporowała, że po co im ta cała biurokracja, zaczęła zbierać bardzo dużo zwrotek od rodziców, którzy zobaczyli, że to działa. To nieprawdopodobnie wzmocniło to dziecko, uskrzydliło rodziców, ale też samą szkołę.

Słyszę też jednak często: „znowu ta papierologia!”, bo każdą interwencję trzeba dokładnie opisać: co się wydarzyło, gdzie zostało zgłoszone, jaki jest tego efekt? Dlaczego to ważne?

– Dwa lata temu, kiedy przygotowywaliśmy się w fundacji do pilotażowego projektu standardów ochrony dzieci w ochronie zdrowia, razem z Urszulą Kubicką-Kaszyńską prowadziłyśmy pogłębione rozmowy z lekarzami, pielęgniarkami socjalnymi, położnymi.

Jedną z naszych rozmówczyń była pielęgniarka socjalna z dużego szpitala wojewódzkiego. To była osoba – instytucja. W jej notatniku znajdowały się telefony do najważniejszych służb, ale nie telefon ogólny na policję, tylko na przykład „pan Marian – nadinspektor”, „pani Bożena – OPS” itd. I to działało perfekcyjnie.

Zapytałyśmy ją jednak: „A co się stanie, jak pójdzie pani na urlop? Albo przejdzie na emeryturę?”. I nagle się okazało, że cała ta potężna wiedza, którą ta pani zgromadziła, jest nieprzekazywalna. I to jest dokładnie funkcja standardów. One mówią: wszyscy jesteście odpowiedzialni i wszyscy możemy być rozliczeni, bo nie znasz dnia ani godziny.

To ty możesz być tą osobą, która wejdzie do szkolnej łazienki zaniepokojona, że uczennica już drugą lekcję nie wraca, i okaza się, że właśnie podcięła sobie żyły.

Trzeba natychmiast udzielić jej pomocy medycznej, wezwać służby, ale też podjąć interwencję, bo być może zrobiła to dlatego, że jest ofiarą przemocy rówieśniczej.

Spytałyśmy tę panią o jeszcze jedno: „Jak wiele podejrzeń o krzywdzeniu dzieci i zgłoszeń na prokuraturę czy zainicjowanych

procedur Niebieskich Kart miało miejsce w tym szpitalu w roku ubiegłym?”. Nie wiedziała, bo nie było to nigdzie rejestrowane.

I teraz dygresja. Do tej pory sądziliśmy, że w Polsce z powodu krzywdzenia ze skutkiem śmiertelnym ginie rocznie ok. 30 dzieci, ale jak spojrzymy na raporty z wypełniania kodów w klasyfikacji chorób ICD-10, gdzie jest pozycja „zespół dziecka maltretowanego”, co świadczy o tym, że dziecko jest masywnie maltretowane, włącznie z polamanymi kończynami, wybroczynami itd., to się okazuje, że takich przypadków w 2020 roku zarejestrowano w Polsce 25.

Ciekawi mnie ta asymetria. Jeżeli tylko w 25 przypadkach lekarze rozpoznali zespół dziecka maltretowanego, to skąd się potem biorą nie tylko te dzieci, które straciły życie, ale też te, które potem lądują na IOM-ach, SOR-ach i w Zakładach Opiekuńczo Leczniczych jako dzieci, które doznały trwałego uszczerbku na zdrowiu na skutek maltretowania, choć system tego nie odnotował?

I to jest trochę odpowiedź na pytanie: po co ta papierologia? Potrzebujemy to rejestrować, ponieważ dotąd tego nie robiliśmy! I

bardzo mało wiemy o skali krzywdzenia dzieci w Polsce.

Wyobrażam sobie, że nauczyciel czy pielęgniarka może powiedzieć: „To ja jeszcze przy tych wszystkich obowiązkach mam zostać terapeutką? Doszkalać się z tego, jak rozpoznać nieoczywiste symptomy krzywdzenia u dzieci?”.

– Wiedza z identyfikacji symptomów krzywdzenia i w ogóle wrażliwość wobec dzieci to nie jest obowiązek nauczyciela, lekarza, pielęgniarki czy trenera klubu sportowego, to jest obowiązek nas wszystkich. Świadomość, jak skutecznie pomagać drugiemu człowiekowi, to fundament, na którym powinno się budować ogólne przekonanie o sobie jako o człowieku przyzwoitym.

Standardy ochrony dzieci oczywiście wymagają od nas włożenia pewnego wysiłku i czasu, ale nie zostawiają nas z poczuciem pustki, tylko z wiedzą i wrażliwością. Na ogół ze zmianami społecznymi jest tak, że jeżeli one mają się dziać, to wszyscy musimy coś do tego koszyka włożyć. Każdy po jednym jajku albo chociaż po ćwierci jajka.

Co generuje najwięcej pytań od osób, które wprowadzają standardy?

– Zdecydowanie weryfikacja personelu. Ludzie nie wiedzą, kogo powinni sprawdzać, dlaczego i w jaki sposób. Ministerstwo Sprawiedliwości ma oczywiście na swoich stronach opracowany przewodnik pytań i odpowiedzi, no ale, jak wiadomo, życie zawsze jest bogatsze.

W fundacji Dajemy Dzieciom Siłę przygotowaliśmy proste narzędzie – analizę ryzyka. Wystarczy pewien namysł, a wszystko się układa w logiczne ciągi.

Najpierw wypisujemy sobie wszystkie grupy personelu w naszej instytucji. Weźmy szkołę. Mamy tam nauczycieli, pedagogów, panów i panie woźne, panie kucharki, ale też rodziców, którzy na przykład jeżdżą z dziećmi na basen. Potem dla każdej z tych grup wypełniamy kwestionariusz oceny ryzyka.

On jest na naszej stronie i składa się z ośmiu krótkich pytań, by ustalić, czy dana osoba będzie przebywać z dzieckiem sama, czy będzie miała szansę nawiązać z nim relację emocjonalną, kontakt fizyczny i czy podlega zobowiązaniom ustawowym.

To nakładamy na matrycę ryzyka. W grupie ryzyka wysokiego będą na przykład nauczyciele, bo mają możliwość bycia z dziećmi sam na sam, nawiązywania z nimi relacji emocjonalnych, kontaktu fizycznego, a nawet jest to pożądane, co oznacza, że takie osoby musimy sprawdzić w krajowym rejestrze karnym, w rejestrze sprawców przestępstw na tle seksualnym oraz pobrać oświadczenie o krajach pobytu w ciągu ostatnich 20 lat.

W ryzyku średnim znajdują się na przykład osoby, które nie mają z dziećmi regu-

larnego kontaktu, ale mogą nawiązać z nimi relację emocjonalną. I tu musimy podjąć decyzję. Możemy te osoby sprawdzać tak, jak to wynika z ustawy, ale możemy też zobowiązać je po prostu do podpisania zasad bezpiecznych relacji.

I wreszcie mamy ryzyko niskie. Tam łądują osoby, które nie mają żadnego kontaktu z dziećmi. W szkole akurat trudno o taką grupę, choć czasami są to pracownicy administracji szkolnej, jeśli mieści się w innym budynku. I tu wystarczy, że te osoby zapoznają się ze skróconymi zasadami bezpiecznych relacji.

Z tej analizy jasno wychodzi, że na przykład rodzice, którzy wyjeżdżają z dziećmi na basen, wchodzą do przebieralni, suszą dzieciom włosy, pomagają się im przebrać, też będą w grupie wysokiego ryzyka. Co z początku budzi oburzenie, ale szybko przestaje.

Chodzi nie o to, żeby standardy ochrony dziecka przekopiować, tylko o to, żeby uszyć je na swoją miarę

Kiedy?

– Kiedy pytam rodziców na przykład: „Uważacie, że szkoła nie powinna was sprawdzać, bo robicie dla niej różne rzeczy społecznie i przecież jesteście dobrymi ludźmi. Okej. A co byście powiedzieli na taką informację, że Zbyszek, dziadek Zuzi, która chodzi na basen z waszą córką, w przeszłości był karany za znęcanie się nad dziećmi? Chcielibyście, żeby dalej pomagał waszej córce się przebierać czy nie?”.

I wtedy ludzie zaczynają się zastanawiać, bo standardy łatwo krytykować, kiedy dotyczą innych. Ten kwestionariusz pokazuje też, że rodzice, którzy będą z kolei wyjeżdżać z dziećmi na wycieczki do kina czy do muzeum, będą w grupie ryzyka nie wysokiego, tylko średniego, więc możemy te wymogi dostosowywać cały czas, pamiętając, że ostatecznie to my, jako na przykład dyrektorka szkoły, bierzemy za nie odpowiedzialność.

Standardy są niebywale wdzięcznym narzędziem, między innymi właśnie dlatego, że są tak elastyczne.

Jednak przy tej elastyczności trzeba mieć dużo zaufania nie tylko do swojego doświadczenia, ale też znajomości prawa, żeby mieć poczucie, że robi się to dobrze. – Zgadzam się. Tylko że, o ile rozumiem taki lęk na przykład u pracowników organizacji pozarządowej, która na co dzień zajmuje się aktywizacją seniorów, ale raz w roku organizuje wyjazdy letnie dla dzieci, o tyle, kiedy widzę takie obawy u pedagogów bądź pedagogów, to mnie to jednak zastanawia. Bo jeżeli takie osoby mówią mi, że nie za bardzo czują, co w kontakcie z dzieckiem jest właściwe, a co nie, to kto ma to wiedzieć?

Myślę, że dziś w nauczycielach i nauczycielka jest w ogóle dużo lęku, na przykład przed rodzicami, no a standardy są też o tym, że osoby z zewnątrz mają nie tylko prawo, ale też obowiązek ingerować w rodzinę, kiedy coś ich zaniepokoi. – Ten lęk jest złożony. Z jednej strony to jest ta obawa, że swoją interwencją mogę kogoś skrzywdzić. Z drugiej – że ten rodzic czy opiekun może mnie rozliczyć z tego, co zrobiłam albo czego nie zrobiłam. A z trzeciej – a co jeśli zareaguję i rodzic będzie się uważać za osobę niesłusznie podejrzaną i zacznie mnie nękać?

To ostatnie pytanie zadała nauczycielka na jednym z warsztatów. Zapytałam ją wtedy: „No, dobrze, jest pani nauczycielką z 20-letnim stażem. Jak często się to zdarzyło w pani karierze?” i ku mojemu zdumieniu usłyszałam: dwukrotnie.

No więc, niestety, nie mogę nikomu obiecać: „Z twojej interwencji nie wyniknie żadna niedogodność, bo jeżeli na przykład po drugiej stronie masz rodzica bądź opiekuna, która jest osobą w kryzysie zdrowia psychicznego, jest agresywna czy niestabilna, to nie zagwarantuję ci, że ona nigdy nie przyjdzie pod twój dom i nie zacznie ślać na ciebie skarg”.

Interwencje są trudne. Co więcej, ten poziom trudności wcale nie maleje wraz z doświadczeniem. Jeżeli jednak robię to nie z obowiązku, ale dlatego, że wierzę, iż interwencja może wnieść zmianę w życie tego dziecka, to jestem gotowa ponieść to ryzyko.

Takie dziecko dostaje bezcenne wyposażenie na przyszłość. Wiarę, że na tym świecie są dorośli, którzy nie są obojętni, którzy się za mną ujęli.

Są jeszcze takie głosy, że teraz tych interwencji będzie za dużo, że będą zbyt pochopne, bo ludzie będą nadinterpretować różne sytuacje.

– To faktycznie może spowodować zator, ale na poziomie instytucji, które będą te interwencje procedować, czyli właśnie zespołów interdyscyplinarnych, sądu rodzinnego, prokuratury, policji, OPS-u. Ale jeśli tak się stanie, to będzie oznaczało, że do tej pory reagowaliśmy za rzadko.

Co do nadgorliwości w zgłaszaniu pewnych spraw, skłamałabym, gdybym powiedziała, że się z tym nie spotykam. Ostatnio miałam do czynienia z taką sytuacją: rodzina zastępcza wychowuje dziecko z niepełnosprawnością, które jest bardzo hałaśliwe, co wynika z jego dysfunkcji. Sąsiedzi złożyli skargę, że dziecko krzyczy. Skarga trafiła do organizatora rodzin z pieczy zastępczej, który ją przyjął, ale od razu wyjaśnił, że ta rodzina jest poza jakimkolwiek podejrzeniem.

Organizator powiedział jej jednak, że jeżeli przyjdzie kolejne zawiadomienie, to on będzie musiał profilaktycznie zabezpieczyć to dziecko poza rodziną, czyli po prostu je zabrać. Tylko to, że ten organizator w ten sposób interpretuje ustawę, zupełnie nie oznacza, że to z niej wynika.

A co z niej wynika?

– Że interwencje są po to, by reagować, ale ludzie, którzy je przyjmują, są od tego, by myśleć. I jeżeli mamy rodzinę, w której wychowuje się dziecko z niepełnosprawnością, które bywa głośne albo agresywne, no to wiemy, że tak po prostu jest. A gdybyśmy poszli za tą światłą myślą organizatora, to musielibyśmy uznać, że wszystkie osoby, które mają zachowania agresywne albo które zachowują się za głośno, muszą zostać zgromadzone w jakichś placówkach, instytucjach, najlepiej poza miastem, żeby nikomu nie przeszkadzały.

Wydaje mi się, że już z takiego myślenia wyszliśmy i standardy na pewno nie są od tego, żeby je przywracać.

Wielu rodziców dostało już je do wglądu, inni poznają je na pierwszych zebraniach

szkolnych czy w klubach sportowych. Jakich reakcji się pani spodziewa?

– To zależy od tego, w jaki sposób dane miejsce wytłumaczy, czym są standardy i po co one są.

Wiele miejsc przygotowało skróconą wersję dla dzieci. Na przykład jedna z bibliotek wypisała je na kartce A4 przyjaznym dla dzieci językiem i powiesiła w widocznym miejscu. Widać, że było to z nimi konsultowane.

W ogóle praktyka konsultowania standardów z dziećmi, z rodzicami, z radami rodziców to jest coś, co bym chciała, żeby się działo, bo taki partycypacyjny model będzie miał zupełnie inny efekt, niż kiedy podamy rodzicom po zebraniu kartkę: „A tu są standardy ochrony małoletnich, rząd nas do tego zobowiązał, proszę to podpisać i się do tego dostosować”. Koniec zebrania. Entuzjazmu to raczej nie wzbudzi.

Co może pójść nie tak?

– Na przykład to, że niektórym osobom odpowiedzialnym za interwencję łatwiej będzie zrobić coś radykalnego, żeby zrzuć sobie problem z głowy, niż podążać za dzieckiem. Tak jak w przypadku, który opisałam – dziecka z niepełnosprawnością. Wykazać się jakimś dziwnym rodzajem nadgorliwości.

Najbardziej boję się chyba jednak, że te standardy w wielu miejscach staną się martwym dokumentem.

A w którym momencie by pani powiedziała: „Okej, widać, że to działa”?

– Największą nadzieję wiąże z tym, o czym powiedziałam na początku – że te standardy przyczynią się do zmiany myślenia o dzieciach, że dzięki nim ich podmiotowość będzie trudniejsza do zlekceważenia. Myślę też, że standardy zaczęły nam pokazywać bardziej realną skalę krzywdzenia dzieci, ale to może się okazać bardzo problematyczne.

Dlaczego?

– Ponieważ nie jesteśmy systemowo na to przygotowani. Jak długo te interwencje będą wymagały na przykład zaopiekowania się rodziną, to może sobie jeszcze jakoś poradzimy. Chociaż asystentura rodzinna podobnie jak służba kuratorska są mocno przeciążone. Natomiast, jeżeli te interwencje będą wymagały zabezpieczenia dzieci poza rodziną, co jest najbardziej radykalnym i najrzadszym postępowaniem, to się zacznie kłopot.

Już w tej chwili mamy ponad tysiąc takich niewykonanych postanowień. Teraz mamy mechanizm, który będzie uruchamiał różne reakcje, no i jakieś odpowiedzi będziemy musieli udzielić, bo dlaczego dzieci mają płacić za „gapiostwo” dorosłych. Zdecydowanie więc jest to czas wyzwań. Proces, który będzie trwał latami, i dobrze, że się rozpoczął. ●



FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Anna Krawczak

• ekspertka fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, antropolożka i badaczka, dr nauk humanistycznych, współzałożycielka Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem IEiAK UW, współautorka szkolenia MENTOR dla kandydatów na rodziny zastępcze zawodowe, niezawodowe i rodzinne domy dziecka. Autorka i współautorka licznych publikacji, książek naukowych i artykułów prasowych poświęconych m.in. prawom dziecka, antropologii pokrewieństwa, pieczy zastępczej i adopcji

Anne Applebaum dla „Wyborczej”

KTO PODRZUCIŁ
NAM
TIK-TOKA

Nie ma spotkań Chińczyków z Rosjanami, Irańczykami i Węgrami w tajnym pokoju, gdzie przy cygarach i whisky rozmawia się o interesach. Spółdzielnia autokratów działa inaczej.

Z ANNE APPLEBAUM
ROZMAWIA WICENACZELNY „WYBORCZEJ”
BARTOSZ T. WIELIŃSKI

BARTOSZ T. WIELIŃSKI: Po lekturze pani książki „Koncern Autokracja” mam dojmujące odczucie, że Zachód przegrywa z autokratami.

ANNE APPLEBAUM: – Jeszcze nie przegrywamy, choć takiego scenariusza nie da się wykluczyć. Nie wierzę w żadną dziejową konieczność ani w klątwę, że demokracja na świecie musi autokracji ulec. To starcie trzeba wygrać.

Wszystko zależy od tego, czy demokratyczny świat w porę zrozumie, co się dzieje, i czy zareaguje na to wystarczająco mądrze. Tymczasem okazało się, że oni – czyli autokraci – potrafią sprytnie wykorzystywać nowoczesną technologię. Musimy tę przewagę czym prędzej odrobić.

Jednym słowem, postęp, jeśli chodzi o technologie internetowe, poszedł za daleko?

– Nie, to oni posuwają się za daleko. Technologia nie jest sama z siebie zła czy dobra. Pytanie, w jakim celu jej się używa. Zachód nie kwapił się, by wprowadzić regulacje dotyczące internetu czy mediów społecznościowych. Nie zastanawiano się też zbytnio nad tym, jak te technologie wykorzystywać dla dobra demokracji. Zamiast tego pozwolono pewnym ludziom korzystać z nich, by demokrację dewastować.

Nie zabrzmi to może odkrywczco, ale internet powstał, by usprawnić komunikację, zapewnić ludziom szerszy dostęp do informacji. A teraz szerzy się za jego pomocą dezinformację

– Taki obrót rzeczy był do przecieży przewidzenia. I można temu zjawisku przeciwdziałać, jeśli zaangażuje się odpowiednio wielu ludzi, którym zależy na demokracji.

Myślę, że przynajmniej część zachodnich polityków odrobiła lekcję. Spójrzmy na niedawną konwencję Partii Demokratycznej w Chicago. Zorganizowano ją w taki sposób, by budziła pozytywne emocje, entuzjazm, który potem w formie wirala rozchodził się dalej po internecie. Czyli – jak się okazało – nie jest tak, że w internecie Demokraci sobie nie radzą.

Ale jeśli chodzi o uregulowanie internetu, to nikt na to nie jest gotowy. Wręcz unikamy tego tematu jak ognia. Na poważnie mówi się o tym tylko w Unii Europejskiej, ale też nie widzę, żeby sprawy specjalnie

szły do przodu. Jeszcze nie mamy świadomości zagrożenia.

Nie chodzi tylko o dezinformację w sieci i o media społecznościowe. Technologia do masowej inwigilacji jest coraz doskonalsza. W Chinach działają systemy, które łączą różne metody inwigilowania ludzi. Sztuczna inteligencja jednocześnie sprawdza, jak ludzie wydają pieniądze, analizuje trasy, jakimi się poruszają, czyta, to co piszą w mediach społecznościowych. Zbiera dane, tworzy wzory zachowań, daje władzy możliwość ściślejszej, bardziej niezawodnej kontroli społeczeństwa.

Ludzie zajmujący się autorytaryzmem w Chinach mówili mi, że te systemy jeszcze nie są doskonałe, jeszcze nie działają tak, jak życzyliby sobie ich twórcy. Ale inwigilacja na tak wielką skalę już jest możliwa.

Brzmi orwellowsko.

– Nie do końca. George Orwell nie wymyślił TikToka, medium, które zaprojektowano, by uzależniać użytkowników, zapewniając im rozrywkę, tak by marnowali swój wolny czas na scrollowanie kolejnych filmów, jeden po drugim. TikTok został prawdopodobnie stworzony po to, by chińskie państwo mogło śledzić użytkowników i zdobywać o nich informacje na tak wielką skalę, by tworzyć wzory zachowań zachodnich społeczeństw. Ani w USA, ani w Europie nie wiemy, dlaczego pewne treści stają się na TikToku wiralami, a inne nie. To medium nie jest transparentne, nie mamy żadnego wglądu w to, jak działają jego algorytmy.

Wracając do Orwella; on był człowiekiem innej epoki, pisał „Rok 1984” bazując na technologii z początku XX wieku. Tego, że ludzie, szukając rozrywki, mogą świadomie wybierać propagandę, nie był sobie w stanie wyobrazić.

Trudno nie powiedzieć, że Zachód jest sam sobie winien. W końcu państwa, które dziś są zagrożeniem, finansowaliśmy przez długie lata.

– Są pewne niuanse i różnice między niektórymi państwami, ale z pewnością taką tezę można postawić w odniesieniu do Chin i Rosji. Tym, czym są dzisiaj, stały się dzięki współpracy z Zachodem.

Historia dojścia Władimira Putina do władzy była opisywana wielokrotnie. Zwykle nie zwraca się jednak na to uwagi, że w czasach, gdy zasiadał we władzach Petersburga, zdobyte nielegalnie pieniądze lokował za granicą. Prali mu je jego zachodni partne-



rzy z Niemiec, z Luksemburga, popisując się przy tym sporą kreatywnością. Dzięki temu stali się bardzo bogaci. I bogaty stał się Putin, bo wyprane pieniądze ściągnął z powrotem do Rosji, także w formie zachodnich inwestycji. Ludzie, którzy odegrali rolę w czasach, gdy Putin rósł siłę, z pewnością nie myśleli, że współtworzą zbrodniczą autokrację. Dla nich to był tylko biznes, zarabianie pieniędzy.

Wielu ludzi dorobiło się na podobnych interesach w przestrzeni postsowieckiej, Azji i Afryce. Przez dekady przykładali się do rozwoju autorytaryzmu.

Z pani książki wynika, że państwa autorytarne łączą się powiązań. Węgry, koń trojański Moskwy i Pekinu w Unii Europejskiej, dostawały od Rosji i Chin tani gaz i pieniądze. Rosja wspiera Wenezuelę, a w wojnie w Ukrainie Rosję wspierają Iran i Północna Korea...

– Istnienie tej sieci stało się widoczne, wręcz oczywiste po wybuchu wojny w Ukrainie. Wówczas współpraca między tymi państwami w bezprecedensowy sposób się zacieśniła i owe zależności widać czarno na białym. Rosja wcześniej nie była tak otwarcie przyjazna wobec Korei Północnej. Przed wybuchem wojny trudno było sobie wyobrazić, że Putin poleci do Pjongjangu prosić o Kima o amunicję. Putin zdecydował się na ten krok, bo był zdesperowany – rosyjska gospodarka trzeszczy w szwach, wojna idzie źle, tak więc musiał prosić o pomoc.

O istnieniu tej sieci powiązań dowiedziałam się od demokratycznych działaczy z państw leżących raczej na globalnych peryferiach. Politycy opozycji z Wenezueli opowiadali mi, jak Rosja i Kuba wspiera reżim Maduro i co dostaje w zamian. Mój przyjaciel z Zimbabwe opowiedział mi podobną historię dotyczącą jego kraju.

Rosjanie, jeśli chodzi o zakłamanie, biją wszelkie rekordy. Ostatnio słyszałam o bardzo bogatym oligarsze, który kupił zamek we Włoszech i mimo wojny w Ukrainie regularnie go odwiedza

Przywykliśmy uważać, że świat jest sztywno podzielony. Tam jest Europa, tam Ameryka Południowa, Bliski Wschód, Rosja, Indie, Azja Centralna, Azja Południowa itd. Mamy świetnych ekspertów od każdego z tych regionów, ale oni rzadko wychylają się poza swoje podwórko, nie wymieniają się wiedzą ze znawcami innych części świata. Koncentrowaliśmy się też na przywódcach, a to, co robili politycy opozycji w tych krajach, mało nas interesowało. Gdy zmieni się perspektywę i rozszerzy krąg rozmówców, wszystko zaczyna być jaśniejsze. Widzi się nie tylko Rosję i Ukrainę czy ratunkowe wsparcie Rosji dla reżimu Łukaszenki w Białorusi. Widzi się też wpływ Rosji w Ameryce Łacińskiej, dostrzega się znaczenie relacji między Rosją a RPA. To samo dotyczy aktywności Chin w Ameryce Południowej czy Afryce.

Zwykliśmy myśleć o Iranie jako państwie działającym na Bliskim Wschodzie, a Teheran prowadzi bardzo skomplikowane relacje z Wenezuelą. Mimo że tych krajów absolutnie nic nie łączy, Irańczycy pomogli Wenezuelczykom omijać sankcje nałożone na eksport ich ropy naftowej, a w zamian Wenezuelczycy wydawali wizy członkom wspieranego przez Iran Hezbollahu, dzięki czemu mogli oni podróżować po Europie.

Mimo wszystko trudno porównywać ze sobą ajatollaha Chameneiego, prezydenta Maduro i premiera Orbana.

– Trudno ich porównywać, bo nie mają żadnej wspólnej ideologii. To, co ich łączy, to głęboka niechęć do Zachodu. Nie cierpią liberalnego świata i jego idei. Nie chodzi tylko o sam demokratyczny sposób sprawowania władzy, ale o transparentność, o praworządność. To są hasła, które wznosi w ich krajach opozycja, zarówno demonstranci w Hongkongu, jak i protestujące kobiety w Iranie.

Opozycja w każdym z krajów autorytarnych domaga się przestrzegania praw człowieka, zagwarantowania swobód, jawności życia publicznego i praworządności. Te postulaty bezpośrednio zagrażają dyktatorom, którzy chcą utrzymać absolutną kontrolę nad społeczeństwem, rządzić tak, by nie musieć oglądać się na żadne instytucje, sądy, kodeksy, jednym słowem bez „check and balance”. Bez wszędobylskich, tropiących nieprawidłowości dziennikarzy, bez konieczności tłumaczenia się, skąd pochodzi własny majątek.

To właśnie jest wspólny mianownik dla współczesnych autokratów. Dlatego tak nie znoszą liberalnej cywilizacji.

Gdyby PiS wygrał trzecie wybory z rządu, Polska przylączyłaby się do tej autorytarnej spółdzielni, zarządzanej między innymi przez Rosję?

– Polskę odróżnia wrogość społeczeństwa wobec Rosji. Trudno sobie wyobrazić, by pod jakimkolwiek rządem Polska prowadziła taką politykę wobec Rosji, jak Orban. Gdyby PiS próbował wejść na taką ścieżkę, napotkałby olbrzymi społeczny opór.

Inna sprawa to członkostwo w NATO i Unii Europejskiej. Owszem, Orban robi to, co robi, mimo że Węgry też należą do obydwu organizacji, ale w przeciwieństwie do Polski tu chodzi o mały kraj, którym nie trzeba się specjalnie nie przejmować. Węgry zresztą na jego polityce tracą, bo biednieją.

W Polsce tego typu polityka nie ma społecznego poparcia. Jedną z przyczyn wyborczej klęski PiS było to, że Polacy obawiali się, że Kaczyński wyciągnie z Unii ich kraj. Ale mimo to taki scenariusz mógł być rozważany przez Jarosława Kaczyńskiego. Proszę spojrzeć na relacje polsko-ukraińskie w pierwszych latach rządów PiS. Wcale nie były

przyjazne. Dopiero zbrojna napaść Rosji na Ukrainę je diametralnie zmieniła.

Zadajmy sobie jednak pytanie: czy politycy PiS mają podobne spojrzenie na świat jak autokraci? Oni też gardzą państwem prawa, sędziami, którzy mogliby ograniczyć władzę wykonawczą. Oni też chcieli sterować mediami, tak by puszczały tylko takie materiały, które przedstawiają PiS w pozytywnym świetle, by nigdy ich nie krytykowały.

Co więcej, PiS także podchwycił narrację powszechną w państwach autorytarnych. Słysząc ją w Rosji, zaczyna ją słyszeć w Chinach, swoją wersję ma też Iran.

Główny przekaz jest taki, że autokracje i dyktatury są stabilne, zapewniają obywatelom bezpieczeństwo, chronią rodziny i inne tzw. tradycyjne wartości. A demokracje są podzielone, chaotyczne, słabe i są zdegenerowane w sensie moralnym, szerzy się w nich zepsucie. Czyż PiS nie widzi zachodniego świata w podobny sposób? Czy nie taki język słyszeć w przekazie tej partii?

Tę narrację powtarza i przetwarza również zachodnia skrajna prawica. W tym skrajna prawica w Polsce. Można powiedzieć, że ona jest wspólnych dziełem Rosji i Zachodu.

Trzeba jednak przyznać, że demokracja nigdy nie była i nie jest powszechnym sposobem sprawowania władzy. Ludzie żyli i żyją głównie pod mniej lub bardziej opresyjnymi dyktaturami.

– To prawda. Demokracja jest niezwykle, specjalna. I często nie doceniamy tego zjawiska, jakie pojawia się w demokratycznym świecie – że część społeczeństwa chce powrotu dyktatury. Chce sprawczego przywódcy, monarchy.

Führera...

– W każdym społeczeństwie są ludzie, którzy preferowaliby takie rozwiązanie. Demokracją gardzą, bo ich rozczarowuje, bo w ich kraju nic się nie zmienia, tylko trwa ciągły polityczny spór, panuje chaos. Prawda jest taka, że imponujące tak wielu państwo rosyjskie jest o wiele bardziej niesprawne niż zachodnie demokracje. Tyle że aby o tym się przekonać, trzeba w Rosji trochę pomieszkać.

Tak więc nie docenialiśmy tego, że zagrożenie dla naszych demokracji przyjdzie też od wewnątrz.

Świat autokratów jest atrakcyjny też dlatego, że pełno w nim bogaczy. Niezwykle bogaci Rosjanie czy Chińczycy mogą kupować ludzi, zatrudniać np. byłego kanclerza Niemiec i płacić mu, by ich wychwalał. Mogą wywierać wpływ w taki sposób, jaki 50 lat temu był nie do pomyślenia. Stalin nie miał takich możliwości.

Opisuje pani, jak autokracja zamianie się w kleptokrację. Wszyscy dyktatorzy to chciwcy?

– Większość. Najbardziej chciwy jest chyba Maduro, chciwość napędzała też Putina na początku jego politycznej kariery. Mówi się, że chciwość leży u podstaw dyktatur, bo skoro autokraci gromadzą w nielegalny sposób tak wielkie sumy, to szukają sposobu, by je chronić. Nie przed złodziejami, a sędziami czy dziennikarzami, przed tymi, którzy ośmielą się pytać o to, jak się takich fortun dorobili.

Myślę jednak, że są też inne motywy. W Iranie rządzą religijni fanatycy. Choć z drugiej strony do irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji należą najważniejsze przedsiębiorstwa w kraju. Wielu ludzi rządzących w Iranie dorobiło się w ten sposób majątku.

W Chinach jest jeszcze inaczej. Oficjalnie Chiny są państwem komunistycznym, ale co to w rzeczywistości oznacza? Chińska partia komunistyczna jest potrzebna, ma ideologię i strukturę, ale przecież przenika ją chiński nacjonalizm, idea supremacji Chin w świecie.

Przywódcami kieruje wiele motywów: interesuje ich władza, interesują ich pieniądze, chcą, by Chiny były najważniejszym krajem świata.

Autokraci i ich ludzie są też hipokrytami. Czołowi rosyjscy politycy nieustannie mówią o moralnej zgniliznie Zachodu, a domy kupują we Francji, dzieci wysyłają do brytyjskich szkół.

– Rosjanie, jeśli chodzi o zakłamanie, biją wszelkie rekordy. Ostatnio słyszałam o bardzo bogatym oligarsze, który kupił zamek we Włoszech i mimo wojny w Ukrainie regularnie go odwiedza. Oczywiście posiadłości nie kupił na własne nazwisko, tylko przez szereg podstawionych osób i firm. Przylatuje helikopterem, spędza kilka dni, nikt go nie niepokoi.

Kto nadaje ton globalnej spółdzielni autokratów? Rosja? Chiny?

– To tak nie działa. Nie ma struktury ani hierarchii. Nie ma spotkań w tajnym pokoju, gdzie przy cygarach i whisky rozmawia się o interesach. Autorytarne państwa wchodzą ze sobą w interakcje wtedy, gdy im to pasuje. Współpraca ma transakcyjny charakter. Rosja ma osobne relacje z Chinami, osobne z Azerbejdżanem, Nikaraguą czy Kubą. Niektóre państwa za sobą szczególnie nie przepadają. Współpracują, gdy daje to obopólne korzyści.

Wydawało się, że rok 1989, gdy upadł komunizm w Europie Środkowej, będzie początkiem nowej ery w historii ludzkości. Tymczasem jesteśmy w punkcie wyjścia: mamy zbrodniczą wojnę w Ukrainie i agresywne, autorytarne reżimy wokół...

– Rok 1989 mimo wszystko był początkiem nowej ery wolności. Wiele krajów, które stały się demokracjami, nadal nimi pozostaje, w tym Polska. Pamiętamy, że wtedy w Rosji i Chinach byli ludzie, którzy jeśli nawet nie byli gotowi na demokrację, to przynajmniej chcieli, by ich kraje były otwarte i zintegrowane z Zachodem.

Rosjanie powszechnie uważali, że integracja gospodarcza otworzy i ulepszy ich społeczeństwa. Oni sami tego chcieli, nikt im tego nie narzucał. Problem polegał na tym, że na Zachodzie ludzie uznali, że liberalne demokracje będą powszechne, bo to przecież najlepszy system pod słońcem. Dlatego uznali, że w zasadzie nic nie trzeba robić, nie trzeba dbać o nasze państwa ani sprawadzać, czy inne kraje podążają ku demokracji, czy nie.

Bo demokracja jest historyczną koniecznością.

– Zapanowało przekonanie, że to nieuniknione. A skoro tak, to możemy zająć się robieniem interesów, bo przecież w polityce nic się nie zmieni. Bę-

dą jakieś wybory, ktoś w nich będzie startować, ale nas to w zasadzie nie dotyczy, bo mamy demokrację na zawsze.

Alęż to był błąd. Liberalowie, twierdząc, że demokracji nie ma kto zagrozić, strasznie zgrzeszyli pychą.

Coś o tym w Polsce wiemy. Poculiśmy to w pamiętnym roku 2015.

– O tym, jak łatwo demokrację rozhuścić albo wykoleić, przekonali się Polacy, po nich Amerykanie, swoje doświadczenia mają Francuzi. Myślę, że czas, gdy odczuwaliśmy samozadowolenie z naszych demokracji, się skończył.

To w sumie dobra wiadomość.

– Tak. Ludzie zauważyli zmianę, zaczęli się znowu angażować w politykę, brać udział w kampaniach wyborczych, głosiwać. Wystarczy spojrzeć, co stało się rok temu w Polsce. I myślę, że podobne zjawisko zaobserwujemy jesienią w Stanach Zjednoczonych.

To niekoniecznie oznacza, że Kamala Harris wygra, ale jej kandydatura wywołała falę entuzjazmu i zaangażowania. Nie chodzi tylko o to, że ludzie wpłacają pieniądze na jej kampanię. Ludzie chcą też pomagać przy jej kampanii, czego wcześniej nie było. Liczba chętnych robi różnicę.

Jeśli chodzi o wynik amerykańskich wyborów, jest pani optymistką?

– To będzie bardzo wyrównane starcie. Myślę, że Harris zdecydowanie zdobędzie więcej głosów niż Trump w skali całego kraju. Ale Ameryka ma szczególny system wyborczy, to, kto zostanie prezydentem, zależy od wyników głosowania w poszczególnych stanach. Tego nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Ale przynajmniej mamy prawdziwą kampanię wyborczą.

Gdyby to Trump wygrał, znając jego poglądy polityczne i osobowość, przyłączyłby się do tej autorytarnej siatki, którą pani opisuje

– Myślę, że on zawsze tego pragnął. Jeśli pyta się go o sukcesy jego prezydentury w polityce zagranicznej, automatycznie zaczyna opowiadać o dobrych relacjach, które miał z Putinem i Kim Dzong Unem. Od razu, wręcz instynktownie, porusza wątek przywódców Rosji i Korei Północnej. Wydaje mi się, że myśli w podobny sposób, co oni. Też chciałby rządzić krajem, w którym nie ma niezależnych mediów, gdzie władza nie podlega kontroli sądów. Jako prezydent USA miał jednak wzięte ręce.

Czy Trump postrzegał siebie jako przywódcę demokratycznego sojuszu, który walczy z tyranią na świecie? Oczywiście, że nie. I gdyby wygrał wybory, też nie będzie widzieć siebie w takiej roli.

On nie ma żadnej ideologii, nie kieruje nim żadna idea, jako prezydent miotał się od ściany do ściany, jego decyzje zależały od tego, co się aktualnie działo i kto akurat był sekretarzem stanu. Więc to, jak Trump zachowywałby się w stosunku do walczącej Ukrainy, pozostaje zagadką. Mówi, że zakończy wojnę w jeden dzień. Ale co to oznacza? Są głosy, że zamierza zawrzeć jakiś układ z Putinem i oddać mu połowę Ukrainy, ale czy to prawda?

Wszystko zależy od tego, jakie rozwiązanie uzna za dobre dla siebie. Nie dla Ameryki, Europy, Ukrainy, ale dla samego Trumpa, dla jego wizerunku, jego ego, jego osobistego bogactwa. Te czynniki będzie brać pod uwagę. Patrząc z tej perspektywy – Trump myśli jak autokrata.

Dlaczego Zachód dał się uwieść Rosji?

– Głównie dlatego, że gdy Putin przejął władzę, mówiąc o gospodarce i współpracy z zagranicą, używał liberalnego języka. Dwadzieścia lat temu mówił dużo o handlu, wzroście gospodarczym, bardzo chciał dołączyć do grupy G7, bardzo chciał spotykać się z zachodnimi przywódcami. Był bardzo pragmatyczny. Należę do tej grupy, która nigdy mu nie ufała, ale wielu dało się na to nabrać.

Kandydatura Kamali Harris wywołała falę entuzjazmu i zaangażowania. Nie chodzi tylko o to, że ludzie wpłacają pieniądze na jej kampanię. Ludzie chcą też pomagać przy jej kampanii, czego wcześniej nie było

Myślę, że ludzie chcieli po prostu wierzyć, że Putin to demokratą. Nikt nie chciał, by Rosja znowu była problemem. Zwłaszcza po zamachach 11 września 2001 roku, niewyobrażalnych, gdy runęły dwie wieże World Trade Center i uwagę świata pochłonęła wojna z terroryzmem. Putin był wtedy sojusznikiem USA, udzielił wsparcia przy zakładaniu baz w Azji Centralnej, bez których nie dałoby się prowadzić operacji w Afganistanie.

Wtedy chcieliśmy, by Rosja, jeśli nie mogła być pełnoprawnym sojusznikiem, to była chociaż państwem, które nie dokłada nam problemów. I za bardzo nie przyglądaliśmy się temu, co działo się w środku. A potem niektórzy chcieli ludzie w Niemczech postanowili zarobić. Budowa gazociągów na dnie Bałtyku to były łatwe pieniądze. Nie mówię tylko o kanclerzu Gerhardzie Schröderze, ale o zarządach niemieckich koncernów. A Gazprom wtedy sypał pieniędzmi po całych Niemczech, kupując przychylność.

Pamiętam wystawę w Niemieckim Muzeum Historycznym, poświęconą stuleciom rosyjsko-niemieckiej współpracy, przyjaźni, wymiany kulturalnej. To była niewiarygodna prorosyjska propaganda i oczywiście Gazprom był jednym z jej sponsorów.

Niemcy wobec Rosji czują podświadomy lęk, co wiąże się z II wojną światową, niemieckimi zbrodniami w Związku Radzieckim i sowieckim odwetem.

Po upadku komunizmu uwierzyli, że jeśli będą utrzymywać z Rosją przyjazne stosunki, jeśli będą wspólnie robić interesy, to między tymi krajami wojny więcej nie będzie. Nawet gdy Putin, były agent KGB, zabijał dziennikarzy i opozycjonistów, uważali, że trzeba z nim trzymać, bo Rosja może być gorsza.

A Putin stawał się coraz bardziej agresywny. Aż nadszedł 24 lutego 2022 roku.

Obydwoje znamy wielu dobrych Rosjan, demokratów, Europejczyków. Dlaczego im się nie udało? Demokracja to nie jest system dla Rosji?

– Żaden kraj nie jest skazany na dyktaturę. Problem z rosyjskimi demokratami polega na tym, że nie docenili przeciwnika. Działali w Moskwie i innych dużych miastach, nie dostrzegali znaczenia prowincji, nie tworzyli tam struktur.

Po drugiej stronie byli bardzo bogaci ludzie, Putin stworzył kastę miliarderów z KGB, ludzi, którzy byli w stanie kupić całe grupy społeczne. Byli silniejsi od jakichkolwiek partii politycznych.

Skalę popełnionych błędów zrozumiał dopiero Aleksiej Nawalny, ale dla jego kraju było już za późno.

30 lat temu, by obalić system, wystarczyło, że na ulice wyszły setki tysięcy ludzi.

– Dziś to już tak nie działa. Na ulice wyszły w tym roku setki tysięcy Wenezuelczyków. Maduro dalej trzyma się władzy. Były wielkie protesty w Iranie, w Rosji. Reżymy je przetrwały. Po części dzięki powiązaniom z innymi autokracjami. Silniejsza dyktatura wspiera słabszą, tak jak Putin w 2020 r. pomagał chwiejącemu się Łukaszence.

Poza tym dziś reżymy mają w ręku technologię pozwalającą inwigilować społeczeństwo, mają media nie tylko zwykłe, ale też społecznościowe, co pozwala im znacznie skuteczniej prowadzić oczerniające kampanie przeciwko opozycji. W takich warunkach trudno z nimi walczyć.

Ale nic nie trwa wiecznie. W Wenezueli 70 proc. społeczeństwa domaga się usu-

nięcia Maduro. W tak licznej grupie musi być wielu funkcjonariuszy policji i ich rodzin. Ta powszechna wewnętrzna złość prędzej czy później doprowadzi do zmiany. Z tego, czego dowiaduję się od wenezuelskiej opozycji, wynika, że to może się wydarzyć.

By usunąć dyktatora, trzeba patrzeć na to, co się dzieje po drugiej stronie barykady, szukać tam ludzi, którzy chcą zmian. Podczas protestów w 2022 r. w Iranie były próby przekonania policji, by przeszła na stronę demonstrantów. Wtedy się nie udało się, ale może uda się następnym razem.

Pisze pani, że autokraci chcą zmie-
nić porządek światowy. Jak się przed
tym bronić?

– Przede wszystkim musimy zrozumieć, że pewna epoka się skończyła. ONZ i jego agendy nie są już w stanie rozwiązać żadnego z problemów. To dwudziestowieczne struktury, zatrudniające armię urzędników, zajmujące wielkie gmachy w Nowym Jorku, Genewie, Wiedniu, ale obecnie są bezużyteczne.

Zamiast nich Zachód powinien zawieść sojusze ad hoc dla rozwiązania konkretnych kwestii. Tak się stało podczas pandemii koronawirusa. Grupa krajów zaczęła wspólnie produkować i dystrybuować szczepionki.

Ich współpraca przyniosła wielkie korzyści. W tym i taką, że dziś koalicja państw pomaga Ukrainie. Pomocy wojskowej udziela 50 krajów, nie tylko z Europy, wśród zaangażowanych państw są m.in. Kenia, Australia, Korea Południowa. Może będzie więc tak, że kraje, którym zależy na pewnych wartościach, będą ich wspólnie bronić, będą w tym celu tworzyć nowe instytucje, skoro stare już się zużyły. ●

Z Chobielina widać lepiej



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

• Pisarstwo Anne Applebaum ewoluuje. Za wydaną w 2003 r. „Gulag”, mroczną, udokumentowaną opowieść o świecie sowieckich obozów koncentracyjnych, dostała prestiżową Nagrodę Pulitzera. „Za Żelazną Kurtyną” przyniosło jej m.in. nominację do National Book Awards, głównej nagrody literackiej w USA. „Czerwony głód”, opowieść Hołodomorze, sowieckiej zbrodni popełnionej na mieszkańcach radzieckiej Ukrainy, oprócz międzynarodowych nagród przyniosła jej uznanie w oczach ukraińskich elit.

Po rosyjskiej inwazji tę książkę czyta się zupełnie inaczej. Jak preludium do kolejnych zbro-

ni i zapowiedź, że okropności, które dzień w dzień oglądamy w bombardowanej Ukrainie, to nie wszystko, co może się wydarzyć. Rosja – jeśli świat jej na to pozwoli – jest w stanie popełniać jeszcze bardziej przerażające czyny.

Teraz jednak Anne Applebaum nie zajmuje się historią, a przyszłością zachodniego świata, wolności, demokracji. Powód? W 2016 r. prezydent USA, ku zaskoczeniu świata, został Trump, a amerykańska demokracja zaczęła drzeć w posadach.

Ostatni, najkoszmarniejszy wstrząs miał miejsce na końcu jego prezydentury, gdy 6 stycznia 2021 r. podpuszczeni przez niego fanatycy ruszyli na Kapitol, próbując nie dopuścić do zatwierdzenia jego kandydatury w wyborach. – Władimir Putin na pewno się cieszy. Ameryka została osłabiona – mówiła mi nazajutrz, na gorąco komentując te przerażające wydarzenia.

Wydaną w 2020 r. książkę-esej „Zmierzch demokracji” rozpo-

czyna reminiscencja sylwestrowego przyjęcia, które w 1999 r. Applebaum i jej mąż Radosław Sikorski wydali dla ówczesnych przyjaciół w swoim dworku w Chobielinie pod Bydgoszczą.

Dwadzieścia lat później – jak pisze autorka – na widok części ówczesnych gości przechodziła na drugą stronę ulicy.

Za rządów PiS ją i jej męża wpisano wysoko na liście „wrogów narodu”. Propaganda mediów narodowych regularnie obrzucała ją błotem.

Jej doświadczenia ośmiu lat rządów PiS, czterech lata z Trumpem (z szansą na powtórkę) uświadamiają, że demokracja wcale nie musi zatriumfować. Bo nie jest dana raz na zawsze, bo

ma potężnych wrogów, którzy potrafią współpracować i korzystać ze zdobyczy technologii. I o tym właśnie jest najnowsza książka Anne Applebaum.

„Koncern autokracja”

Anne Applebaum w przekładzie Michała Rogalskiego ukaże się w środę 11 września nakładem Wydawnictwa Agora. Książka już w przedsprzedaży na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka i audiobooka na Publio.pl. Tam również w formie papierowej oraz cyfrowej wcześniejsze bestsellery Anne Applebaum – „Gulag”, „Czerwony głód”, „Zmierzch demokracji” i rozmowa rzeka z Donaldem Tuskiem „Wybór”.



CO SZOKUJE W AMERYKAŃSKICH WYBORACH?

Stanowią kwestię życia i śmierci, ale nie dla Amerykanów

To naprawdę dziwne, że przyszłość świata zależy od tego, co kilkadziesiąt tysięcy wyborców z Pensylwanii myśli o swoich rachunkach za zakupy spożywcze.

Timothy Garton Ash*

5 listopada ludzie na całym świecie będą śledzić światowe wybory. Nie są one „światowe” w takim sensie, jak, powiedzmy, mistrzostwa świata w piłce nożnej, w których aktywnie uczestniczy wiele krajów, ale to także znacznie więcej niż World Series, z rozmachem nazwane mistrzostwa baseballowe, w których jednak biorą udział tylko drużyny z Ameryki Północnej.

Rok 2024 to największa kumulacja wyborów w historii. Pod jego koniec prawie połowa dorosłej populacji świata będzie miała za sobą postawienie krzyżyka przy nazwisku na karcie do głosowania. Ale to wybory prezydenckie w USA pozostają największym meczem tego roku.

Dlaczego? Ponieważ są to prawdziwie demokratyczne wybory, w wyniku których jeden człowiek otrzyma wyjątkowo skoncentrowaną w swoim ręku władzę wykonawczą w nadal najpotężniejszym kraju na świecie. To opera mydlana o wielkiej oglądalności, ze znaną wszystkim klasyczną fabułą. A jeden z dwojga tegorocznych pretendentów, Donald Trump, stanowi zagrożenie dla własnego kraju i reszty świata.

Gdyby „wybór” prezydenta Chin, drugiego światowego supermocarstwa, był demokratyczny, wydarzenie to miałoby być może równie doniosłe konsekwencje. Ale tak nie jest. W Rosji na początku tego roku odbyły się „wybory” prezydenckie, ale tam jedyną niepewnością co do wyniku była skala zadeklarowanego zwycięstwa Władimira Putina.

Przedziwny system w najpotężniejszym kraju świata

Gdyby Stany Zjednoczone były demokracją parlamentarną na wzór europejski, a zwłaszcza gdyby miały system wyborczy oparty na reprezentacji proporcjonalnej, stawka nie byłaby tak wysoka. Powstały rząd zależałby od składu wielopartyjnego parlamentu, a w wielu krajach o taki systemie rutynowo kończy się na rządach koalicyjnych. Nawet w brytyjskiej

„dyktaturze wyborczej”, jak kiedyś określił ten system polityczny konserwatywny polityk Lord Hailsham, premier ma znacznie mniejszą władzę niż prezydent USA. Prezydent Francji Emmanuel Macron zachowuje się obecnie tak, jakby myślał, że jest prezydentem USA, z nieograniczonym wpływem na kształt rządu, ale konstytucja jego kraju głosi coś zgoła innego.

Jak przypomina amerykański politolog Corey Brettschneider w swojej nowej książce „The Presidents and the People”, ryzyko związane z taką koncentracją władzy zostało już dostrzeżone przez Patricka Henry’ego, bohatera amerykańskiej wojny o niepodległość, podczas debaty nad konstytucją USA na Konwencji Ratyfikacyjnej w Wirginii w 1788 r. Co by się stało, gdyby na prezydenta wybrano przestępcę?, zapytał Henry. Co by było, gdyby nadużył swojej pozycji szefa władzy wykonawczej i naczelnego dowódcy wojskowego w jednej osobie, aby realizować własne ambicje nawet wbrew prawu? Otóż minęło 236 lat, a prawomocnie skazany przestępca i notoryczny miłośnik autokratów idzie łeb w łeb z nowo wyłonioną kandydatką Demokratów, Kamalą Harris.

Gdyby jej przeciwniczką była Nikki Haley, która zajęła drugie miejsce w republikańskich prawyborach, dramat nie byłby tak intensywny. Mielibyśmy coś w rodzaju normalnych wyborów. Ale Republikanie woleli Trumpa, więc normalnie nie jest.

Harris budzi dawno niewidziany entuzjazm...

Przyjechałem do USA w przeddzień rezygnacji Joego Bidena z ubiegania się o reelekcję. Od tego czasu jesteśmy świadkami wzbierania fali nadziei, którą powoduje kandydatura Harris i jej swojskiego running mate, Tima Walza. Punktem kulminacyjnym tej fali była niedawna krajowa konwencja Demokratów w Chicago, gdzie rutynowo błyszczącej oprawie towarzyszyła szczerza radość i spontaniczne wyrażanie patriotycznych uczuć.

Ku własnemu – i wszystkich innych – zaskoczeniu Demokraci sprawiają wrażenie zjednoczonych.

Harris zebrała ponad pół miliarda dolarów na swoją kampanię w ciągu zaledwie miesiąca. Nie jest tak sprawną wiecową oratorką, jak Barack i Michelle Obama-wie, ale wygłosiła doskonałą mowę, przyju-

mując nominację partii. Przedstawiła się amerykańskiej publiczności jako dziecko niezłomnej matki-imigrantki. Postawiła na trafiony motyw w jej kampanii: temat wolności – tym samym przejmując niejako to, co przez lata było domeną republikańskich kampanii i przy okazji ponownie łącząc wolność z liberalizmem. Wymieniła wolności od, ale nacisk położyła na wolności do: wolność kobiet do decydowania o własnym ciecie, wolność wszystkich do życia w bezpieczeństwie przed przemocą z użyciem broni, wolność do kochania tego, kogo wybierzesz, wolność do oddychania czystym powietrzem, wolność do głosowania.

Co ważne, jak na kandydatkę o lewicowo-liberalnych poglądach, Harris z powodzeniem ukazała wizerunek silnego przywódcy, który zapewniłby USA „najsilniejsze, najbardziej śmiercionośne siły bojowe na świecie”, umożliwiłby Ameryce prześcignięcie Chin w rywalizacji o dominację w XXI wieku oraz „stałby mocno za Ukrainą i z naszymi sojusznikami z NATO”. W gruncie rzeczy 90 proc. tych słów mógłby równie dobrze wypowiedzieć Biden, ale sposób, w jaki wypowiedziała je Harris – zwłaszcza to, że zdawała się wiarygodnie przejmować rozdzierające serce skalą palestyńskiego cierpienia – sprawił, że wydały się świeże i obiecujące.

...ale to za mało, by cokolwiek przesądzać

W rezultacie entuzjazm wokół niej jeszcze wzrósł – ale to wystarcza jedynie do stwierdzenia, że wybory stały się nareszcie wyrównane i nie da się przewidzieć ich wyniku. Przywołując swój własny elektryzujący slogan z 2008 r.: „Yes, we can!”, Barack Obama krzyknął na konwencji: „Yes, she can!”. Tak, może; ale to jeszcze nie znaczy, że się jej uda. Np. może wyprzedzać rywala w ogólnokrajowych sondażach, ale przy przestarzałym amerykańskim systemie wyborczym, który USA nadal wykorzystują do wyłonienia prezydenta, może nawet zdobyć więcej głosów w skali kraju, tak jak Hillary Clinton w 2016 r. – a i tak przegrać z powodu decyzji kilkudziesięciu tysięcy „wahadlowych” wyborców w kluczowych stanach na środkowym zachodzie i na południu.

Jeden z doświadczonych ankieterów ostrzegał mnie, że trzy najważniejsze kwe-

stie dla elektoratu to: gospodarka, przestępczość i imigracja, a w nich republikanie zazwyczaj mają przewagę. Sam Trump wygląda obecnie na roztargnionego, wygłaszając rozwlekłe i chaotyczne przemówienia, ale nadal jest potężnym politycznym przeciwnikiem. Gniew białej klasy robotniczej nadal pulsuje (to dotyczy zwłaszcza męskiego elektoratu; różnice z elektoratem kobiecym są coraz wyraźniejsze w starciu Harris-Trump).

Co więcej, w przypadku nieznacznego zwycięstwa Harris Trump natychmiast ogłosi, że wybory zostały „skradzione” – a wtedy czeka nas długa batalia sądowa, podobnie jak w 2000 r., przy czym obecnie Sąd Najwyższy jest postrzegany jako silnie sprzyjający stronie republikańskiej.

Wszystko to prowadzi do krótkiego: nikt nie wie, jaki będzie rezultat Co zresztą stanowi właśnie cechę charakterystyczną prawdziwie demokratycznych wyborów.

Jest jednak jeszcze inna, wyjątkowo osobliwa cecha tych wyborów. Miliony ludzi na całym świecie, od Austrii po Zimbabwe, nie tylko czekają na ich wynik, ale także w trakcie kampanii czują się w obowiązku poznać detale dziwaczного systemu wyborczego w Ameryce, które przesądzą o wyniku w kolegium elektorów. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że Waszyngton jest teatrem politycznym świata, tak jak Netflix jest obecnie światowym kinem, ale dlatego, że wynik wyborów w USA będzie miał dla każdego z nas poważne konsekwencje. A jeśli jesteś Ukraincem lub Palestyńczykiem, może to być dla ciebie dosłownie kwestia życia i śmierci.

To właśnie jest najdziwniejsze w tych „światowych wyborach”: ta szokująca nieproporcjonalność przyczyny i potencjalnego skutku, ich nieprzystawanie do siebie. To, czy ludzie w Charkowie czy w Gazie będą żyć, czy umrzeć, może zależeć od tego, co mechanik Mike w Michigan i nauczycielka Penny w Pensylwanii myślą o swoich rachunkach za prąd i cenach jedzenia. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

*Timothy Garton Ash

• jest profesorem europeistyki na Uniwersytecie Oksfordzkim i Senior Fellow w Hoover Institution na Uniwersytecie Stanforda.

REKLAMA

Kraj/34334066

JAK ODZYSKAĆ ZDROWIE I SIŁY PRZY HASHIMOTO I NIEDOCZYNNOŚCI

KSIAŻKA, KTÓRA
ZREWOLUCJONIZUJE TWOJE
PODEJŚCIE DO CHOROBY.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo
Agora

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Nie ma już pustych rajów

TOURISTS GO HOME

Rośnie sprzeciw wobec masowej turystyki, zwłaszcza w regionach, których gospodarka zależy od tego sektora.
Czy jakość życia mieszkańców da się pogodzić z komfortem turystów?Diana Pieper, Lara Jäkel,
Claudia Ehrenstein

WELT

Dziesiątki tysięcy ludzi protestuje przeciwko masowej turystyce na Majorce, w miastach południowych Włoch miejscowi wypisują na murach hasło: „Tourists, go home!”, w Barcelonie mieszkańcy organizują flash moby, stając przed witrynami wyładowanych przybyszami kawiarni przy Las Ramblas z transparentami: „W naszym mieście brakuje wody”. Mają dość głośnych i lekkomyślnych wczasowiczów, którzy wprawdzie dają zarobić, ale zamieniają życie codzienne w sezonie letnim w koszmar.

Rządy w wielu miejscach starają się reagować – ale wprowadzając regulacje, ryzykują powodzeniem własnej gospodarki.

Globalna turystyka kwitnie jak nigdy: według szacunków oengetowskiej Światowej Organizacji Turystyki (UNWTO) w pierwszym kwartale 2024 r. za granicę wyjechało 285 milionów turystów, czyli o jedną piątą więcej niż w tym samym okresie ubiegłego roku.

Branża turystyczna jest jednym z najszybciej rozwijających się sektorów gospodarki i według obliczeń World Travel & Tourism Council odpowiada już za 9 proc. globalnego PKB, co z kolei stanowi wzrost aż o 23 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim.

Ale ten rozwój ma swoją – znaną od lat, ale dopiero od niedawna tak szeroko analizowaną – ciemną stronę. Turyści tłumnie odwiedzają miasta i popularne zabytki, obciążając środowisko i coraz dotkliwiej wpływając na codzienne życie mieszkańców. Podsycają też obawy, że w wielu miejscach, zwłaszcza na południu Europy, koszty turystycznego boomu mogą być większe niż korzyści.

Ludzie, nie wychodźcie z domów, płyń 17 tys. gości

Widok przepelnionych śródziemnomorskich plaż, zakorkowanych nadmorskich dróg i zatoczonych ulic starych miast nie jest latem niczym nowym w południowej Europie. Jednak odkąd branża turystyczna otrząsnęła się z zapaści spowodowanej pandemią, problem przybrał na sile.

Drastycznym przykładem jest Grecja, gdzie w lipcu burmistrz wyspy Santorini na krótko wezwał jej mieszkańców do... unikania opuszczania swoich domów. Dlaczego? Bo w ciągu jednego tylko dnia spodziewano się przybycia morskimi wycieczkowcami 17 tysięcy turystów (a sama wyspa liczy około 15 tys. mieszkańców). Wobec oburzenia, które wybuchło – mówiło się o „skandalicznym przymusie” – prośba władz została szybko anulowana. Kto jednak liczył na zobaczenie na własne oczy idyllicznych widoków w kameralnych okolicznościach, takich jak w folderach rekla-



FOT. VIENNA SLIDE / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

Liczba weneccjan spadła po raz pierwszy od dekad poniżej 50 tys., tymczasem liczba odwiedzających Wenecję to 15 milionów rocznie. Efekt: Wenecja coraz bardziej przypomina skansen, tracąc cechy miasta tętniącego naturalnym życiem

mujących słynną wyspę, musiał pogodzić się z przepychaniem się stromymi uliczkami w wielotysięcznym tłumie.

Podobne sceny rozgrywają się rok w rok w nadmorskich miastach Chorwacji.

Doszło do tego, że nawet minister turystyki Tonci Glavina oznajmił niedawno, że „turystyka nie powinna przynosić ludności więcej obciążeń niż korzyści”.

Adriatyckie wybrzeże Chorwacji jest jednym z najpopularniejszych celów wakacyjnych w Europie – w 2023 r. odnotowano tam 21 milionów przyjazdów wypoczynkowych, co stanowi wzrost blisko 10 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Starówka w Dubrowniku, wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, jest na

samym topie listy miejsc w Europie odwiedzanych przez największą liczbę turystów w stosunku do liczby mieszkańców.

Na drugim miejscu w tym rankingu znajduje się Wenecja. Konsekwencje masowej turystyki widać tam jak na dłoni. Miasto dusi się od spalin i śmieci, ale jego specyficzne położenie i struktura jeszcze bardziej niż gdziekolwiek indziej naraża lokalną społeczność na szkody wywoływane przez intensywny ruch wycieczkowy. Po długich debatach wielkie statki wycieczkowe mogą teraz cumować tylko poza laguną, ale masy turystów nadal przepływają przez miasto każdego dnia, do 100 tys. w godzinach szczytu. Najbardziej oczywistymi konsekwencjami są astronomiczne koszty życia – szacuje się, że w tej chwili już jedna trzecia mieszkań w Wenecji to mieszkania wynajmowane turystom za pośrednictwem dużych platform. Coraz więcej mieszkańców wynosi się poza centrum, które w efekcie coraz bardziej przypomina skansen z pamiątkami, tracąc podstawowe cechy miasta tętniącego naturalnym życiem.

Wystarczy porównać liczby: liczba weneccjan spadła po raz pierwszy od dekad poniżej 50 tys., tymczasem liczba odwiedzających Wenecję to obecnie 15 milionów rocznie.

W kwietniu miasto dożów wprowadziło nową dzienną opłatę dla odwiedzających. Turyści muszą również płacić za wstęp na szlaki turystyczne wzdłuż słynnego Cinque Terre na Riwierze Liguryjskiej. W Portofino ogłoszono „czerwone strefy”, aby zapobiec gromadzeniu się tłumów w najbardziej „pocztówkowych” miejscach tego słynnego jachtowego portu. Władze próbują poradzić sobie z dużym natężeniem ruchu na ma-

lowicznych drogach Amalfitany na Półwyspie Sorrento, wprowadzając zakazy prowadzenia pojazdów innych niż mieszkańców.

Barcelona kończy z wynajmem mieszkań na parę dni

Do krajów, gdzie podnosi się coraz głośniejszy alarm, dołączyła na całego Hiszpania, sytuacja gęstnieje zwłaszcza na Balearach, na Wyspach Kanaryjskich i w nadmorskich miastach, takich jak Barcelona i Walencja. Według władz stolicy Katalonii, czynsze wzrosły tam o 68 proc. w ciągu ostatniej dekady, a ceny nieruchomości – o 38 proc. Miasto nie wydaje już żadnych licencji na prowadzenie komercyjnego wynajmu mieszkań wakacyjnych, a te obowiązujące mają być stopniowo ograniczane i wycofywane.

W tym roku na Majorce odbyło się kilka dużych i szeroko komentowanych w mediach demonstracji przeciwko niedoborowi mieszkań i „ekscesom turystyki imprezowej”, wzięły w nich udział dziesiątki tysięcy osób. Nie pomaga nawet to, że w ostatnich latach administracja wydawała coraz bardziej rygorystyczne przepisy, ustanawiając wysokie grzywny za zakłócanie spokoju czy publiczne spożywanie alkoholu.

Władze lokalne muszą jednak zachowywać równowagę. Chociaż wielu mieszkańców chciałoby wprowadzenia jak najostrzejszych regulacji, turystyka pozostaje przecież ważnym czynnikiem ekonomicznym. Według Światowej Rady Podróż i Turystyki (World Travel & Tourism Council), odpowiada ona za prawie 11 proc. rocznego PKB we Włoszech, 14 proc. w Hiszpanii i aż jedną czwartą w Chorwacji.

Rządy i stowarzyszenia turystyczne stosują zatem dwutorowe podejście: celem

jest promowanie dłuższych pobytów zamiast jedno- czy dwudniowych wycieczek, ponieważ te drugie są zarówno mniej lukratywne, jak i mają większy bezpośredni negatywny wpływ na lokalny tryb życia. Do tego coraz silniej stawia się na promocję podróżowania poza sezonem. A np. Dubrownik stworzył aplikację, która pokazuje odwiedzającym w czasie rzeczywistym, których zatłoczonych ulic powinni unikać – i przy okazji informuje w jakich momentach roku jest tam luźno.

120 turystów na jednego obywatela

Sytuacja na wybrzeżu Morza Śródziemnego to i tak nic wobec skali problemu w Tajlandii. Wyspa Phuket to dziś symbol nr 1 masowej turystyki: na każdego mieszkańca przypada prawie 120 turystów rocznie – więcej niż gdziekolwiek indziej. Dwa kolejne miejsca na tej liście także znajdują się w Tajlandii. W tym roku spodziewanych jest tam nawet 40 milionów odwiedzających, a do 2030 r. ma być ich dwa razy więcej. Turystyka jest jednym z najważniejszych źródeł dochodu dla szybko rozwijającego się kraju i jest nadal intensywnie promowana. Ostatnio m.in. znacznie złagodzone przepisy wizowe i rozpoczęto budowę nowych lotnisk dla czarterowych połączeń.

Jednocześnie mieszkańcy i eksperci z branży narzekają, że te rosnące masy turystów coraz bardziej degradują środowisko i przeciążają infrastrukturę. Szczególnie zagrożone hotspoty, takie jak Maya Bay, są obecnie dostępne tylko pod ścisłymi warunkami. Rząd chce również lepiej kontrolować turystykę w przyszłości, aby zmniejszyć presję na najbardziej ikoniczne miejsca, takie jak Phuket. Dyskutowane jest wprowadzenie zachęt podatkowych dla linii lotniczych, aby latały także do mniej popularnych miejsc i w ten sposób rozłożyły presję na środowisko naturalne. Do tego potrzebne będą inwestycje w infrastrukturę i wizy wydawane tylko na pobyt w konkretnym rejonie. Od czerwca Tajlandia wprowadziła już nowy podatek turystyczny – równowartość ośmiu euro za noc.

Indonezyjski rząd stara się zachować podobną równowagę na Bali, gdzie liczba wczasowiczów – napędzana przez TikTok i Instagram, gdzie zdjęcie z „rajskiej wyspy” podnosi status użytkowników – z wielokrotnością się w ciągu zaledwie kilku lat. Z jednej strony przynosi to istotne dochody, ale także skokowo obciążyło przyrodę i infrastrukturę. Również na Bali mieszkańcy coraz mocniej skarżą się na niewłaściwe zachowanie turystów, którzy muszą robić sobie selfie półnago w świętych miejscach czy powodują wypadki skutarami prowadzonymi po pijanemu. Pod wpływem protestów władze ułożyły oficjalny katalog zasad etykiety i podniosły podatki turystyczne.

Wczasowicze płacą również znacznie więcej niż miejscowi za wstęp do niektórych zabytków. „Dzięki tej polityce chcemy wzmocnić świadomość i odpowiedzialność zagranicznych turystów za udział w ochronie środowiska i kultury Bali” – twierdzi Biuro Odpowiedzialnej Turystyki na wyspie. Dyskutowane są jednak kolejne bardziej rygorystyczne środki, w tym górny limit liczby turystów dziennie lub wręcz okresowe zamknięcia niektórych szlaków turystycznych.

Kolejka na Fuji

Także w Japonii oczekuje się w tym roku rekordowej liczby 35 milionów odwiedzających – dzięki rządowemu wsparciu dla branży i korzystnemu kursowi wymiany jena. Wciąż są to względnie skromne ilości jak na międzynarodowe standardy, jednak w Japonii turystyka koncentruje się prawie wyłącznie w kilku miejscach, takich jak Tokio czy Kioto, które są tym dosłownie przytłoczone. Japończycy, którzy tradycyjnie nie są chętni obcym, są coraz bardziej otwarcie zirytowani tłumami ludzi, którzy zostawiają za sobą góry śmieci i co gorsza lekceważą przepisy czy po prostu zwykłą etykietę. W Kioto już

zamknięto dla turystów niektóre ulice w najstarszych dzielnicach.

Supermarket w małym miasteczku na Honsiu, szczycącym wspaniałym widokiem na górę Fuji, zdecydował się na zamontowanie ogromnej bariery, gdy tysiące turystów obległo jego parking, by stamtąd podziwiać pokryty śniegiem wulkaniczny szczyt. Tylko 4 tys. osób dziennie może się wspiąć na najwyższą górę Japonii – za opłatą o równowartości jedenastu euro.

Mimo rosnących problemów rząd w Tokio chce do 2030 r. podwoić liczbę zagranicznych turystów. Aby to osiągnąć, koncentruje się na działaniach w mediach społecznościowych mających na celu odciążenie najpopularniejszych miejsc i promowanie mniej znanych, poszerzając tam np. ofertę sportów ekstremalnych lub specjalne rodzaje zakwaterowania. W tym celu wybrano już 20 „regionów modelowych”, a w razie ich powodzenia mają zostać dodane kolejne.

Ucieczka na Północ

Bujne lasy, malownicze fiordy, idylliczne jeziora – Skandynawia jest synonimem nieskażonej przyrody. A dziś także ten region świata zмага się z „nadmierną turystyką”. Jedną z przyczyn wzrostu zainteresowania rejonami północnymi są stale rosnące temperatury na Południu, które już regularnie zamieniają miejsca takie jak Grecja, Portugalia czy Hiszpania w rozpalone pożarami piece.

Stowarzyszenie turystyczne „Wonderful Copenhagen” od lat z powodzeniem promuje stolicę Danii. Efekt jest taki, że w szczególnie popularnym Nyhavn – dzielnicy portowej w centrum – odwiedzający szybko zaczęli sobie nawzajem deptać po piętach. Więc ratusz koncentruje się teraz na bardziej efektywnym rozprowadzaniu turystów i odpowiednio dostosowuje swój marketing. Nyhavn nie jest już wymieniane w folderach, które koncentrują się na tzw. niskim sezonie. od stycznia do marca, zachęcając m.in. renomowaną ofertą kulinarną Kopenhagi. Cel: zapobiec postrzeganiu turystów przez mieszkańców jako obciążenia. Rikke Holm Petersen z „Wonderful Copenhagen” zapewnia: „My co miesiąc mierzymy poparcie mieszkańców dla turystyki i jest ono nadal bardzo wysokie”.

Inaczej jest na szwedzkiej Gotlandii na Bałtyku. Co sezon milion osób dosłownie zalewa wyspę o powierzchni niespełna 3 tys. km kwadratowych. Przyciągają głośnie wydarzenia, od „Almedalen”, czyli spotkań sztokholmskiej sceny politycznej z przedstawicielami organizacji pozarządowych i stowarzyszeń, po imprezy muzyczne i festiwal miłośników średniowiecza i kultury Wikingów.

60-tysięczna populacja Gotlandii od dawna ma już dość nadmiaru gości. Czynsze na wyspie rosną, a wody zaczyna brakować. Stowarzyszenie biznesowe „Region Gotland” stara się kierować przepływem turystów i lepiej rozprowadzać ich po wyspie. Rozważano również wprowadzenie podatku turystycznego, jednak najpierw szwedzki parlament musiałby przyjąć odpowiednią uchwałę.

Z kolei Islandia ma niecałe 400 tys. mieszkańców, a przyciąga swoimi wyjątkowymi krajobrazami około dwóch milionów turystów rocznie. Już dekadę temu ta odległa wyspa na północnym Atlantyku stała się jednym z pierwszych gorących punktów „nadmiernej turystyki”. Latem turyści tłoczyli się w stolicy Reykjavíku, a dla autocharów nie starczało miejsc do parkowania przy Wielkim Gejzerze.

Rząd zareagował na sytuację, poprawił sieć dróg, rozbudował mniejsze lotniska na północy i wschodzie wyspy, czyli stworzył warunki, aby także inne części kraju stały się bardziej atrakcyjne dla turystów. I nawet zimowa ciemność może zostać zamieniona w turystyczną atrakcję: platforma „Inspired by Iceland” promuje zimowe wakacje na wyspie, z atrakcjami takimi jak zorza polar na, w kameralnych okolicznościach niemal polarnego odludzia. Chętnych będzie na pewno coraz więcej. I więcej. ●

Alice Weidel, liderka AfD:

Albo Europa zacznie nas słuchać, albo doprowadzimy do Dexitu

– Kordon sanitarny innych partii wokół nas jest antydemokratyczny – uważa liderka skrajnie prawicowej partii Alternatywa dla Niemiec po sukcesie w wyborach w Turynгии i Saksonii.

Tonia Mastrobuoni

la Repubblica

Alice Weidel twierdzi, że jeśli CDU zawrze pakt z lewicą i nową populistyczną partią Sahry Wagenknecht, a nie z AfD, „zniknie ze sceny politycznej”. Liderka AfD podkreśla, że jej partia nie jest „ani radykalna, ani ekstremistyczna” i jednocześnie uprzedza: Dexit – czyli wyjście Niemiec z UE – jest możliwy. „Niemcy nie potrzebują Unii Europejskiej, by przeżyć. To Unia potrzebuje Niemiec – i powinna zachowywać się odpowiednio. Tylko wtedy usamodzielnienie się Niemiec nie będzie konieczne”.

●●●

Mimo że wygraliście wybory w Turynгии, a w Saksonii zajęliście drugie miejsce, raczej nie będziecie w tych landach rządzić: CDU nadal będzie utrzymywać „Brandmauer”.

– Tak zwana „Brandmauer”, czerwona linia innych partii zakreślona wokół AfD, jest głęboko antydemokratyczna. Izolowanie AfD, która w Turynгии i Saksonii reprezentuje ponad 30 proc. wyborców, a w Turynгии dodatkowo zajęła pierwsze miejsce w lokalnych wyborach, szkodzi kulturze demokratycznej naszego kraju. To także lekceważenie wyborców, którzy wyraźnie żądają głębokiej zmiany politycznej.

Co z tego wyniknie?

– Myślę, że blokowanie nas, zwłaszcza ze strony CDU, która wpadła w pułapkę zależności od partii lewicowych, nie utrzyma się długo. Bez AfD chadecja nie może prowadzić centrowej i konserwatywnej polityki, którą obiecywała w kampanii wyborczej. A w perspektywie średnio- lub krótkoterminowej po

prostu zniknie, podobnie jak niegdyś Chrześcijańska Demokracja we Włoszech. Wyciągamy rękę do wszystkich, którzy pokojowymi i demokratycznymi środkami oraz z poszanowaniem praworządności chcą działać na rzecz lepszej przyszłości naszego kraju.

Wydaje się, że kordon nie obejmuje radykalnie lewicowej partii Sahry Wagenknecht, mimo że jej poglądy w wielu punktach są bardzo bliskie naszym: jest proputinowska, odrzuca migrantów i politykę ekologiczną.

– To tutaj w pełni ujawnia się dwulicowość CDU w podejściu do AfD. Spójrzmy na naszych sąsiadów, Austrię – tam inne partie podchodzą do naszego sojusznika, FPÖ (Wolnościowa Partia Austrii), z większym luzem. To, co się dzieje u nas, jest zaprzeczeniem demokracji i po prostu skandalem.

Aż tak wielkiego luzu chyba tam jednak nie przejawiają. Herbert Kickl, kandydat FPÖ na kanclerza, postrzegany jest jako ekstremista utrzymujący podejrzone stosunki z Rosją. Ale wracając do Niemiec: Björna Höckego, lidera AfD w Turynгии, niemiecki sąd uznał za tak radykalnego, że dopuścił nazywanie go publicznie „faszystą”, zaś służby specjalne od dawna uznają AfD za partię „skrajnie prawicową”. Czy nie obawia się pani, jako przedstawicielka bardziej umiarkowanego skrzydła AfD, że wasza partia zdradkalizuje się jeszcze bardziej?

– AfD nie jest ani radykalna, ani ekstremistyczna. To oskarżenia bezpodstawne. I żaden sąd nie orzekł, że Höckego można nazwać „faszystą”. Sąd tylko odrzucił skargę na użycie terminu „faszysta” podczas lewicowej demonstracji w Eisenach w 2019 r., która przebiegała pod hasłem „Protest przeciwko faszystom Höcke”. Höcke i sama AfD w ogóle nie braли udziału w tym procesie.

Prawda jest taka, że AfD stała się ulubioną partią

niemieckich robotników. Podczas gdy ich tradycyjna przedstawicielka, SPD kanclerza Scholza, otrzymała zasłużone ciosy. Minister spraw wewnętrznych Turynгии Georg Maier z SPD, który współpracuje z tajnymi służbami i próbuje zaklasyfikować swojego najbardziej groźnego konkurenta politycznego jako „ekstremistę”, powinien raczej rywalizować z nami przy urnach wyborczych. Ponieważ ponure i ekstremistyczne z punktu widzenia prawa jest rywalizowanie polegające na nadużywaniu stanowiska i tajnych służb. Wyborcy wystawili mu za to rachunek.

Mamy nadzieję, że Höcke otrzyma szansę odmiany losu Turynгии na lepszy.

Czy nadal macie nadzieję wejść do europejskiej gry w PE w ramach frakcji Patriotci, montowanej przez FPÖ i Fidesz premiera Węgier Viktora Orbána?

– Na razie nie ma o tym mowy. W Parlamencie Europejskim założyliśmy własne ugrupowanie. I niezmiennie uważamy, że prawdziwie wolna Europa może opierać się wyłącznie na dobrowolnym związku równych sobie narodów. Może kogoś to rozczaruje – przykro mi – ale „płatnik” Niemcy wkrótce odzyska dzięki nam trochę swojej suwerenności.

Czy nadal uważa pani, że brexit może być wzorem dla Niemiec? Takie słowa padły z pani ust niedawno w wywiadzie dla „Financial Times”?

– Dexit, wyjście Niemiec z UE, jest dla nas ostatecznością. Nie chcemy niszczyć Unii, chcemy ją jednak zasadniczo zreformować. Ale będzie to możliwe tylko wtedy, gdy nasi europejscy partnerzy zrozumieją, że muszą respektować nasze najważniejsze interesy.

Niemcy nie potrzebują UE, by przetrwać. Jest odwrotnie: to UE potrzebuje Niemiec i powinna zachowywać się stosownie do tego. Tylko wtedy wyjście Niemiec z UE nie będzie koniecznością. ●

tłum. Bartosz Hlebowicz



- Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE, współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.
- Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

MATCZYNA POMOC DLA TRUMPA

Grupa Moms for Liberty zrzesza ponad 130 tys. kobiet, walczy z nauczaniem o rasizmie i boi się szczepionek. Robi też wszystko, by Donald Trump pokonał Kamalę Harris.

Maciej Czarnecki

30 sierpnia, piątek. W zastawionych rzędami krzeseł podziemiach hotelu Marriott w centrum Waszyngtonu około sześćset kobiet krąży między sceną a stołami z makaronikami i białym winem. Już od wejścia rzuca się w oczy ustawiony na sztaludze obraz z podpisem „We did it Joe” (Zrobiliśmy to, Joe): oto pogrążona w zapamiętałym szale i umazana krwią Kamala Harris kłęczy nad truchłem bielika amerykańskiego, symbolu Ameryki. Demokratka ma na sobie żółtą kurtkę z wymalowanym symbolem sierpa i młota, zaś w tle widać ognisty grzyb po wybuchu i odstawionego do kąta, pogrążonego w apatii Joego Bidena z nożem w plecach.

Malunek ustawiono tuż przy kontroli bezpieczeństwa. Obowiązkowej, bo imprezę odwiedza sam Donald Trump.

Wciśnięty w granatowy garnitur były prezydent wchodzi na scenę przy dźwiękach szlagieru „God Bless the USA” Lee Greenwooda, dokładnie tak samo, jak podczas wieców wyborczych.

– Naszym krajem rządzi najgłupsza ekipa w historii – wyrokuje po chwili, siedząc w fotelu obok amerykańskiej flagi.

Na widowni wybucha najpierw salwa śmiechu, potem – jak wiele razy podczas tego występu – aplauz.

– Racja – wtrąca prowadząca.

To Tiffany Justice, współzałożycielka konserwatywnej i flirtującej ze skrajną prawicą organizacji Moms for Liberty, która właśnie organizuje swój coroczny kongres.

Wizyta Trumpa to potwierdzenie znaczenia politycznego grupy, która według własnych szacunków zrzesza ponad 130 tys. kobiet w 300 filiach w całym kraju. Dla Trumpa zaś – okazja, by zawalczyć o głosy kobiet. Według sierpniowego sondażu Ipsosa dla Reutersa w tej grupie przegrywa z Harris o 13 pkt proc.

– To, co się dzieje z naszym krajem...

Nasz kraj jest zatruty, a wasze szkoły i dzieci strasznie cierpią, bo tamci trafiają do klas, zajmują miejsca i nawet nie mówią po angielsku, to szalone – peroruje Trump.

Ma na myśli „inwazję imigrantów”, którą straszy od dawna. Podczas godzinnej pogadanki przeplata tematy, które zwykle porusza na wiecach, z przekazem skierowanym do słuchaczek: narzekła, że ra-

dy szkolne są jak „dyktatury” i nie szanują praw rodziców, dzieci w szkołach są ideologizowane przez lewicę, ba! – któregoś dnia mogą wrócić do domu po operacji transgenderowej!

– Wszystkie widziałyśmy niedawno, jak nasz prezydent został postrzelony i miał rację, kiedy się podniósł i wezwał: „walczyście, walczyście, walczyście!”. Drogie mamy, powiem jasno: nadszedł czas, by walczyć jak matki! – kwituje Justice.

Tak się jakoś układa

Moms for Liberty założyły w 2021 r. Justice oraz dwie inne matki z Florydy – Tina Descovich i Bridget Ziegler. Grupa wypłynęła na fali sprzeciwu wobec restrykcji antycovidowych w szkołach, ale od początku poruszała też inne kwestie. Z uwagi na zajadle wystąpienia, powiązania polityczne, jak i serię skandali, w które wpakowały się czołowe działaczki, zyskała spory rozgłos.

Sprzeciwia się nauczaniu o prawach LGBT+. Protestuje przeciw genderowi. Tępi pogadanki o dziejach systemowego rasizmu w USA. Prowadzi krucjaty przeciwko dostępności w bibliotekach szkolnych różnych „szkodliwych” książek, od wyjaśników na temat tożsamości queer po dzieła noblistki Toni Morrison, odmawiające tragiczną rzeczywistość niewolnictwa.

– W 2020 roku wiele matek walczyło na rzecz swoich dzieci na spotkaniach rad szkolnych, próbowało rozmawiać z politykami, którzy je uciszali, nie słuchali ich obaw. Założyłyśmy więc naszą grupę, żeby pomóc rodzicom organizować się w walce o ich prawa na wszystkich szczeblach rządu – opowiadała mi w zeszłym roku Descovich.

Wtedy jeszcze grupa koncentrowała się głównie na wprowadzaniu swoich ludzi do lokalnych rad szkolnych i zapewniała, że nawet jeśli najczęściej współpracuje z Republikanami, to jest apolityczna.

– Tak się jakoś układa. Jednak współpracujemy z każdym, kto chce bronić praw rodziców. Chodzi o kwestie pornografii w książkach, które nie powinny trafiać w ręce dzieci, o ideologię gender w szkołach podstawowych, o wychowanie seksualne – zarzekała się Descovich.

W tym roku maski opadły. Moms for Liberty mocniej zaangażowała się w wielką politykę. Oficjalnie dalej nikogo nie popiera, ale jej założycielki ostrzegły w liście otwartym do rodziców, że Harris i jej kandydat na wiceprezydenta Tim Walz – skądinąd były nauczyciel i trener szkolnej drużyny futbolu amerykańskiego – stworzą „najbardziej nieprzychylny rodzicom, ekstremistyczny rząd w historii Ameryki”.

Podczas kongresu uczestniczki skandowały nazwisko Trumpa, a Justice zadeklarowała, że udzieli mu swojego osobistego poparcia. W panelach brylowali przedstawiciele konserwatywnego think tanku Heritage Foundation, głównego twórcy Project 2025 – planu centralizacji władzy i szeroko zakrojonych reform w duchu chrześcijańskiego nacjonalizmu w przypadku zwycięstwa Trumpa. Tak skrajnego, że w kampanii sam kandydat próbuje się



• Były prezydent USA Donald Trump i Tiffany Justice podczas szczytu Moms for Liberty National „Joyful Warriors” w Waszyngtonie 30 sierpnia

FOT. REUTERS/EVELYN HOCKSTEIN

od niego dystansować, choć wykulo go jego środowisko.

Tak się składa, że przedstawicielki Moms for Liberty zasiadają w radzie doradczej Project 2025. A Heritage jest jednym ze sponsorów grupy. Moms for Liberty otrzymywała też pieniądze od komitetu akcji politycznej Conservatives for Good Government czy konserwatywnej biznesmenki i dziedziczki fortuny założyciela sieci supermarketów Publix Julie Fancelli, która finansowała też pamiętny wiec „Stop the Steal” przed atakiem tłumy trumpistów na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Pomagali jej republikańscy politycy i konserwatywni celebryci, jak była prezenterka Fox News Megyn Kelly.

W tej sytuacji nie powinno dziwić, że w roku wyborczym grupa wydała ponad 3 mln dol. na spoty w czterech stanach kluczowych dla wyniku wyborów – Arizona, Georgii, Karolinie Północnej i Wisconsin – w których m.in. krytykuje administrację Biden-Harris.

Tyle jeśli chodzi o deklarowaną apolityczność.

Opowieści o szaleństwach lewicy

Jeśli chodzi o zdobycie poparcia kobiet, Trump stoi przed dość trudnym zadaniem.

Nie chodzi tylko o jego niezliczone seksistowskie teksty, słynne przechwałki, że jako celebryta mógł „łapać je za kroczę”, kiedy chciał, przegrane procesy cywilne z byłą felietonistką „Elle” Jean E. Carroll, która oskarżyła go o molestowanie seksualne i proces karny w sprawie fałszowania ksiąg w związku z płatnościami dla gwiazdy porno, który rzucił światło na jego pozamałżeńskie romanse.

Jeszcze ważniejszy może być sprzeciw wobec restrykcji aborcyjnych umożliwionych wyrokiem konserwatywnego Sądu Najwyższego z 2022 r. Trump przyłożył do tego rękę, bo nominował aż troje z tych sędziów.

Na dodatek znów walczy o prezydenturę z kobietą. Jak wynika z badania Pew

Research Center, w 2016 roku w pojedynku z Hillary Clinton przegrał wśród kobiet 54 proc. do 39 proc. Na sierpniowej konwencji Demokratów w Chicago Clinton przepowiedziała Harris, że w końcu przebiję „szklany sufit”, na którym ona spowodowała potężne rysy, i Ameryka będzie miała swoją pierwszą prezydentkę. Taka perspektywa może dodatkowo zmobilizować kobiety elektorat. Znajomy przysłał mi niedawno wymownego mema z Harris w roli Statuy Wolności trzymającej za czuprynę odciętą głowę rywala.

Trumpowi raczej nie pomogą niewybredne żarty z Demokratów i sugestie, że w przeszłości awansowała dzięki damsko-męskiej relacji z byłym burmistrzem San Francisco Williem Brownem. Niedawno udostępnił w swoich mediach społecznościowych wpis, w którym ktoś napisał pod wspólnym zdjęciem Clinton i Harris: „Zabawne, jak robienie łoda odmiennie wpłynęło na ich kariery” (to oczywiście aluzja do słynnej afery z udziałem Billa Clintona i Moniki Lewinsky).

Wizyta w podziemiach waszyngtońskiego hotelu była dla niego jedną z niewielu okazji, by trochę przeciągnąć linę w swoją stronę. „Było tam pełno dokładnie takich wyborczyń, które Trump chce zjednać sobie w listopadzie: nabuzowanych mieszkanek przedmieść”, skwitował reporter „New York Timesa”.

To dyskusyjne, bo Moms for Liberty to raczej ekstrema. Ale fakt, w Ameryce jest wiele kobiet o konserwatywnych lub nawet ultrakonserwatywnych poglądach. Nie wszystkie biorą udział w wyborach.

Kiedy pracowałem nad reportażem o byłym już republikańskim kongresmanie George’u Santosie, który okazał się arcyhochsztaplerem, spotkałem w jego okręgu Teodorę Choolfaiian, matkę trojga dzieci, która wstąpiła do Moms for Liberty, walcząc o otwarcie szkół podczas lockdownów. Zachęcona przez Santosa, zaangażowała się w jego kampanię.



– Wielu publicznie popiera radykalną agendę lewicy w szkołach, ale jak przychodzi do głosowania, to już nie. Chcą uchodzić na progresywnych, ale widzą, jak pogarsza się sytuacja – przekonywała mnie Choolfaian.

W Arizonie inne matki serwowały mi opowieści o „szaleństwach lewicy”, kryzysie systemu szkolnego, efektach ubocznych szczepionek. I marzeniu o powrocie do „tradycyjnych amerykańskich wartości”. Były niemal wyłącznie białe.

– Nasz system szkolnictwa został zawłaszczony. Dzieci nie myślą o tych wszystkich rzeczach, których uczą ich szaleni dorośli – przekonywała mnie na republikańskim wiecu Nicole, która przedstawiła mi się jako „domowa bogini”, a kiedy zrobiłem wielkie oczy, wytłumaczyła, że po prostu siedzi w domu.

– Dzieci znów powinny uczyć się w szkole o naszej historii, by wiedziały, jak wspaniały jest ten kraj – mówiła na tej samej imprezie Zina, pracowniczka lokalnego sklepu z pamiątkami i wolontariuszka chrześcijańskiej fundacji, choć wcale nie pytałem jej o edukację.

W 2016 r. wśród białych kobiet Trump wygrał z Clinton 47 proc. do 45 proc.

Matki na froncie

Pięć lat później podsycanie wojen kulturowych wokół edukacji zapewniło zwycięstwo w wyborach na gubernatora Wirginii Republikaninowi Glennowi Youngkinowi. Do znudzenia przypominał on gafę swego demokratycznego rywala, który wypalił podczas debaty: „Nie uważam, by rodzice powinni nakazywać szkołom, czego mają nauczać”. Opowiadał o przypadku nauczyciela wychowania fizycznego, którego zawieszono, bo nie zwracał się do uczniów transpłciowych zgodnie z tym, jak się identyfikowali. Krytykował pandemiczne restrykcje. Atakował też rzekomo forsowaną w szkołach Wirginii „krytyczną teorię rasy”.

Ta ostatnia to po prostu concept akademicki, wedle którego dziesięciolecie nie-

W Arkansas policja otworzyła dochodzenie przeciwko jednej z przywódczyni grupy, która fantazjowała na temat strzelania do pracowników bibliotek szkolnych

wolnictwa i segregacji rasowej w USA doprowadziły do utrwalenia rasizmu w amerykańskich instytucjach. Jednak od czasu fali protestów z 2020 r. po zabójstwie George’a Floyd’a wielu konserwatystów uderza tym terminem na oślep, uznając każdą wzmiankę o rasizmie, np. na lekcji historii, za próbę wtłaczania białym uczniom poczucia winy, a czarnym – mentalności ofiary.

Sukces Youngkina spowodował wysyp regulacji w różnych republikańskich stanach od Dakoty Północnej po Florydę, które ograniczają nauczanie i dyskusje w szkołach o kwestiach rasowych, genderowych i wychowaniu seksualnym.

Najgłośniej było chyba o obowiązującej na Florydzie od 2022 r. ustawie określanej przez krytyków mianem „don’t say gay” (w wolnym tłumaczeniu „cicho sza o gejach”), którą przepchnął gubernator Ron DeSantis, swego czasu uważany za najpoważniejszego rywala Trumpa w prawyborach. Przewiduje ona zakaz urządzania dyskusji o orientacji seksualnej i tożsamości płciowej w przedszkolach i szkołach.

„Prawa rodziców”, o których opowiadają Republikanie, odnoszą się one zarówno do posyłania dzieci do preferowanych szkół (np. społecznych), jak i kwestii noszenia maseczek, szczepień, kanonu lektur, obecności pewnych książek na półkach bibliotek szkolnych, nauczania w kwestiach rasowych, przyjmowania

transpłciowych uczniów do drużyn sportowych czy właśnie poruszania kwestii tożsamości płciowej. Kłopot w tym, że za owymi hasłami często kryją się regulacje, które w praktyce narzucają uczniom i rodzicom zmiany na konserwatywną modłę.

W 2023 r. Republikanie w Izbie Reprezentantów uchwalili nawet ustawę o Karcie Praw Rodziców (nie przeszła przez Senat, w którym większość mają Demokraci).

Oczywiście nie można zakładać, że te kwestie mobilizują przede wszystkim kobiety. Jednak w przypadku elektoratu, o który stara się Trump, tak się wydaje. Zapytałem Descovich, skąd nazwa jej organizacji: – Ojcowie nie walczą o prawa rodziców?

Odparła, że długo o tym myślała: – Założyliśmy z Tiffany, że na spotkaniach rad szkolnych działały na rzecz dzieci ich matki. Prawda jest taka, że w wojnie kulturowej, która przetacza się obecnie przez Amerykę, to one walczą na froncie.

Kto posiada młodzież, zdobywa przyszłość

Trump w obecnej kampanii mówi przede wszystkim o kosztach życia, przestępczości i imigracji, bo badania pokazują, że to najważniejsze kwestie dla wyborców. Natomiast ma też postulaty związane ze szkołą: wzywa do likwidacji Departamentu Edukacji, obcięcia funduszy szkołom, które „promują treści rasowe, seksualne lub polityczne”, wybierania dyrektorów szkół przez rodziców.

Obiecuje też przywrócenie działającej za jego rządów, a zlikwidowanej przez Bidena komisji 1776, zajmującej się „patriotyczną edukacją”. To odpowiedź na „Project 1619”, próbę opowiedzenia historii USA z naciskiem na niewolnictwo i wkład Afroamerykanów w budowanie kraju.

Projekt rozkręcony przez „New York Timesa” postulował, by za datę powstania Stanów Zjednoczonych uznawać nie rok 1776, kiedy ogłoszono Deklarację Niepodległości, lecz 1619, gdy do wybrzeży Ameryki przybił pierwszy statek z niewolnikami.

Choć eksperci krytykowali go za nieścisłości, część amerykańskich szkół włączyło go do swojego nauczania. Z kolei wiele republikańskich stanów – zakazało. Pod koniec swoich rządów Trump naciskał na Departament Edukacji, by zakazać go w całym kraju, mimo że USA nie mają obowiązkowej podstawy programowej.

Teraz podkreśla, że o edukacji powinny decydować poszczególne stany. Ale zarazem obiecuje powołanie komisji certyfikacyjnej, która będzie oceniać, którzy nauczyciele „promują patriotyczne wartości i wspierają amerykański styl życia”. Nie jest jasne, jak miałyby to działać w praktyce i jakie mieć konsekwencje.

Zaatakował też Walza, który jako gubernator Minnesoty wydał w zeszłym roku rozporządzenie o ochronie pacjentów, rodziców i lekarzy przed karami zasadzonymi przez inne stany za zapewnienie opieki osobom transpłciowym.

– On jest mocno wkręcony w tranpłciowość. Myśli, że wszystko co transpłciowe, jest wspaniałe – powiedział Trump.

Takie zagrywki mogły spodobać się na kongresie Moms for Liberty. Eksperci zastanawiają się tylko, czy sojusz z tą grupą wyjdzie mu na dobre, czy jednak zaszkodzi.

– Na pewno pomaga mu to mobilizować bazę. Ale czy wystarczy to, żeby zrównoważyć negatywne reakcje? – zastanawia się w rozmowie z Associated Press Aubrey Jewett, politolog z Uniwersytetu Centralnej Florydy.

O jakie negatywne reakcje chodzi? Otóż w wielu miejscach nawet rodzice, którzy początkowo byli przychylni Moms for Liberty, zarzucają jej, że zamiast zajmować się naprawdę ważnymi rzeczami – jak poprawa poziomu nauczania – skupia się na sporach światopoglądowych. Powstały grupy przeciwdziałające jej wpływom,

które walczą np. o to, by uczniowie dalej mogli wypożyczać kwestionowane książki czy dyskutować w szkołach o orientacji seksualnej i tożsamości płciowej.

Przedstawicielki ruchu są oskarżane o grożenie nauczycielom, bibliotekarzom i innym członkom rad szkolnych. W New Hampshire oferowały nagrody za sygnały o nauczycielach, którzy wbrew nowemu prawu w tym stanie prowadzili lekcje lub podsuwali lektury o kwestiach rasowych. Na Florydzie liberalna następczyni Descovich w okręgowej radzie szkolnej poskarżyła się, że złożono na nią fałszywe zawiadomienie do służb ochrony dziecka. W jednym z nowojorskich okręgów szkolnych homoseksualny kurator zrezygnował ze stanowiska, oskarżając środowisko związane z Moms for Liberty o homofobiczne nękanie.

W Arkansas policja otworzyła dochodzenie przeciwko jednej z przywódczyni grupy, która fantazjowała na temat strzelania do pracowników bibliotek szkolnych.

W Kentucky grupa sama usunęła ze stanowisk przewodniczące lokalnych kół, gdy wypłynęły zdjęcia, na których pozowały wspólnie z członkami skrajnie prawicowej bojówki Proud Boys, znanej z udziału w szturmie na Kapitol.

W Indianie lokalna filia Moms for Liberty zacytowała w inauguracyjnym newsletterze The Parent Brigade (Brygada Rodziców) słowa przypisywane Adolfowi Hitlerowi: „Tylko ten, kto posiada młodzież, zdobywa przyszłość”.

Konserwatywny trójkąt erotyczny

Na serię artykułów w mediach za oceanem zasłużyła sobie również Bridget Ziegler – przypomnijmy, jedna ze współzałożycielek Moms for Liberty.

Jej mąż Christian Ziegler do wybuchu afery był szefem Partii Republikańskiej na Florydzie. Stracił stanowisko, gdy koniec zeszłego roku pewna kobieta oskarżyła go o gwałt. W toku śledztwa okazało się też, że polityk mógł ją nielegalnie nagrywać.

Koniec końców nie wytoczono mu zarzutów, lecz przy okazji wyszło na jaw bujne życie seksualne małżeństwa, które w publicznych wypowiedziach gloryfikowało konserwatywne wartości.

Otóż Zieglerowie przynagli, że stworzyli z późniejszą oskarżycielką erotyczny trójkąt. Z zawiadomienia, które kobieta złożyła na policję, wynika, że w dniu, którym miało dojść do gwałtu, byli umówieni na wspólne chwile rozkoszy. Jednak Bridget coś wyskoczyło i poinformowała, że nie dotrze na miejsce. Kobieta odwołała spotkanie, bo właśnie pani Ziegler była głównym obiektem jej zainteresowania. Tyle że pan Ziegler zjawił się tak czy inaczej.

Wypłynęły m.in. wiadomości tekstowe, jakie wymieniało między sobą małżeństwo. Wynika z nich, że Christian ukradkiem robił zdjęcia w barze różnym kobietom, by Bridget zdecydowała, czy któraś odpowiada jej jako potencjalna partnerka. Radziła mu, by podczas łowów udawał, że fotografuje tylko kufel z piwem. „Nie wracaj do domu bez mokrego k...sa”, napisała pewnego razu.

Według portalu Politico Bridget Ziegler odeszła z Moms for Liberty jeszcze w 2021 r., ale mimo wezwań pozostałych członków odmówiła dymisji z okręgowej rady szkolnej. Nadal zasiada też w ciele nadzorującym park rozrywki Disneya, do którego powołał ją DeSantis (notabene po sporze z Disneyem właśnie o edukację w szkołach).

Wypisz wymaluj Trump, który w 2016 r. uparcie kandydował na prezydenta mimo publikacji taśmy z wypowiedziami o „łapaniu za krocze”, a obecnie walczy o konserwatywny elektorat mimo pikantnych rewelacji z jego procesu w związku z płatnościami dla pornogwiazdy. Najwyraźniej ze współzałożycielką Moms for Liberty łączy go więcej, niż wydaje się na pierwszy rzut oka. ●

PUTIN UKRADŁ MI TRZY LATA

Nie wiem, kiedy znów zobaczę rosyjskie uliczki, miasta. Nie mam dokumentów, nie mam domu.

Z **ANDRIEJEM PIWOWAROWEM**, OPOZYCYJONISTĄ UWOLNIONYM PODCZAS SIERPNIOWEJ WYMIANY WIĘŹNIÓW Z ZACHODEM, ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

WIKTORIA BIELIASZYN: Kiedy rozmawiałam w Berlinie z Olegiem Orłowem, obrońcą praw człowieka i współzałożycielem słynnego stowarzyszenia Memorial, usłyszałam, że do ostatniej chwili nie zdawał sobie sprawy, że bierze udział w wymianie więźniów. W pana przypadku było tak samo?

ANDRIJ PIWOWAROW: – Tak. Kiedy zabrali mnie z kolonii karnej w Karelii i przewieźli do Petersburga, byłem przekonany, że szykują przeciwko mnie kolejną sprawę karną. Został mi przecież tylko miesiąc odsiadki, to byłoby logiczne z punktu widzenia władz: skazać więźnia politycznego w jakiejś nowej sprawie tuż przed wyjściem na wolność. Tym bardziej że takie przecieki docierały do mnie z zewnątrz. Adwokat uprzedzał, że moje planowane na wrzesień wyjście jest mało prawdopodobne.

Sytuacja stała się jeszcze dziwniejsza, kiedy pod koniec lipca do celi przyszedł człowiek z administracji i powiedział: „Byłoby wskazane napisać prośbę o ulaskawienie”. Powiedziałem mu, że chyba sobie żartuję, bo przecież mam raptem miesiąc odsiadki, a zgodnie z przepisami rozpatrzenie takiej prośby trwa znacznie dłużej. I nie jestem winny, więc niby czemu miałbym o to prosić? A on na to, że radzi mi, bym dobrze się zastanowił. Zrozumiałem, że bardzo mu ten dokument potrzebny, więc napisałem, że mam rodzinę, dom i środki, by się utrzymać, więc proszę o ulaskawienie. Nie przyznałem się jednak do żadnej winy.

No a kilka dni później usłyszałem, że mam się pakować. Pracownicy więziennej administracji nie udzielili mi żadnych informacji, nie odpowiedzieli na pytania, dokąd mnie zabierają ani co będzie ze mną dalej. Przez moment nawet ogarnął mnie strach, że chcą mnie wysłać na Donbas, na front.

Że to najprawdopodobniej wymiana, pomyślałem po raz pierwszy właśnie w Petersburgu, podczas kwitowania odbioru rzeczy, kiedy na tej samej kartce zobaczyłem podpis Saszy Skoczilenko, dziewczyny, która odbywała wyrok za sprzeciw wobec wojny. A pewny byłem w momencie, kiedy cała nasza grupa, w której byli m.in. Władimir Kara-Murza i Ilja Jaszyn, ruszyła w konwoju FSB na lotnisko.

Oficjalnie o tym, że to wymiana, dowiedzieliśmy się na pokładzie samolotu. A tego, że lecimy do Turcji, domyśliliśmy się sami. Na żadnym z etapów tej wymiany służby o niczym nam nie mówiły. Nikt nie odpowiadał na żadne pytanie. Zostawili nas na lotni-

sku w Turcji i dosłownie uciekli. Dla mnie to kolejny przykład tchórzostwa putinowskiego reżimu.

Od uwolnienia minęło już kilka tygodni. Jak pan się czuje?

– Przyzwyczajam się. To, co przed więzieniem było dla mnie normą, teraz jest czymś, co odkrywam na nowo. Nie muszę chodzić w więziennym ubraniu, wstawać o 6 rano, maszerować ze spuszczoną głową i z rękoma założonymi za plecy. Ta wolność, możliwość wyglądnania przez okno, które nie ma krat, dostęp do informacji, bliscy, to cudowne – a jednocześnie nie mogę powiedzieć, że całkiem się odnalazłem.

Cieszę się, że jestem na wolności. Jestem wdzięczny władzom zachodnich państw, które podjęły ten wysiłek. Dla tych, którzy wyszli na wolność, to wielkie szczęście, a w niektórych przypadkach i uratowanie życia. Samo to, że wymiana się odbyła, też jest niebывale istotne, bo daje nadzieję innym rosyjskim więźniom politycznych. A mówimy nie o dziesiątkach, czy setkach osób, ale co najmniej o tysiącu. Nie zapominajmy o nich.

Lecz przy tym mam świadomość, że władze mojego kraju mnie z niego dosłownie wyrzuciły. Bezprawnie. Według rosyjskiej konstytucji nie można ani wywieźć człowieka wbrew jego woli z kraju, ani pozbawić go obywatelstwa. Z nami to się właściwie wydarzyło. Nie dość, że nikt nas nie zapytał o zdanie, to jeszcze nie oddano nam paszportów. Nie wiem, kiedy znów zobaczę rosyjskie uliczki, miasta. Nie mam dokumentów, nie mam domu. To budzi jakąś chandrę i złość.

Był pan jednym z nielicznych więźniów politycznych o tak długim aresztanckim stażu, że o inwazji na Ukrainę dowiedział się za kratami. Pamięta pan 24 lutego 2022?

– Byłem wtedy w kolonii karnej w Krasnodarze, na oddziale dla niebezpiecznych przestępców albo tzw. więziennych autorytetów, czyli ludzi, którzy mogą wpływać na więzienne masy. Nie miałem dostępu do telewizji czy radia. Jedyną dozwoloną formą komunikacji, a więc i źródłem informacji, było przerzucanie się uwagami z innymi osadzonymi przez okno.

Opowiadając o rosyjskim więzieniu, trzeba zaznaczyć, że to miejsce tak naprawdę ni-

gdy nie śpi. Nigdy nie panuje w nim cisza. W nocy trwa wymiana informacji, później, w okolicach 6, kiedy nadchodzi obowiązkowa pobudka, sytuacja trochę się uspokaja. Ale 24 lutego tak się nie stało. Hałas trwał. W pewnym momencie przyszła do nas z góry plotka, ktoś przekazał, że zaczęła się wojna. Zaczęliśmy więc stukać do więźnia skazanego na dożywocie, który siedział w sąsiedniej celi, czekając na transport na kolejne przesłuchanie. Tacy więźniowie zgodnie z prawem muszą mieć zapewniony dostęp do telewizji w celi. Pytaliśmy go, co się dzieje. A on, że widzi bombardowania, że w telewizji pokazują, jak idą wojska. Nie mogłem w to uwierzyć.

Kiedy pan uwierzył?

– Godzinę później, kiedy zaczęła się poranna kontrola. Pracownik administracji przyszedł do celi, przeprowadził rewizję. Zauważyłem, że jest dziwnie błąd i zaniepokojony. Zapytałem: Co tam się dzieje? On na to: Tam się dzieje masakra. Wtedy dotarło do mnie, że jest źle. Kilka dni później odwiedził mnie adwokat, przekazał informacje, potwierdził, że to wszystko prawda. A mnie ciągle było trudno to przyjąć do wiadomości. Zaledwie kilka dni wcześniej pisałem tekst, który adwokat miał przekazać jednej z redakcji, o tym, że napaść na Ukrainę jest niemożliwa. Że coś takiego się po prostu nie może wydarzyć w XXI wieku w Europie.

Przez całą wojnę był pan w pewnej izolacji. Na wolności pana optyka jakoś się zmieniła?

– Wiem już, że to zupełnie co innego, kiedy o wojnie się jedynie czyta albo słyszy na jej temat szczątkowe, często ocenzurowane informacje, a kiedy się to wszystko ogląda na nagraniach i zdjęciach. Teraz nadrabiam zaległości.

Od samego początku byłem przeciwny wojnie i zdawałem sobie sprawę, że przyniesie ogromną liczbę ofiar i straty, ale dopiero kiedy to wszystko zobaczyłem, kiedy po raz pierwszy mogłem porozmawiać z przyjaciółmi, którzy mieszkają w Kijowie, całym sobą poczułem, jaka to tragedia.

A jak reagowali na wiadomości o wojnie inni więźniowie?

– Powiem szczerze: przez pierwszy miesiąc widziałem lekkie uczucie euforii. Skaza-



ni wyraźnie wierzyli, że „już my im pokażemy”. Myślę, że to efekt propagandy. Ich podejście zaczęło zmieniać się z biegiem czasu, kiedy dzięki widzeniom z krewnymi czy listom od znajomych do więzienia przenikało więcej informacji. Przyszło jakieś otrzeźwienie. Coraz częściej słyszałem od więźniów, że dzieje się coś złego i pozbawionego sensu.

Po pół roku przestałem spotykać tam ludzi, którzy z własnej woli powiedzieliby, że popierają wojnę.

Wielu zdecydowało się jednak zasilić szeregi armii.

– Prawda. Kiedy Jewgienij Prigożyn zaczął werbować więźniów, znalazł wielu chętnych. Ich liczba z czasem jednak drastycznie spadła. Proszę też zrozumieć: ja nie widziałem wśród ludzi, którzy zgadzali się na udział w działaniach wojennych, jakiegokolwiek patriotyzmu. Więźniowie nie zaciągali się do armii, by bronić ojczyzny lub poszerzać jej granice. Myśleli bardzo pragmatycznie: skróć odsiadkę, zostaną ulaskawieni i jeszcze zarobią duże pieniądze.

Nie myśleli o zabijaniu? O własnej śmierci?

– Ich sposób myślenia był dla mnie fascynujący. Oni wszyscy byli przekonani, że uda



FOT. DASA TROFINOVA

Gdy mnie zamykali, synek miał 5 lat, teraz ma 8. Widzę, jak wyrósł. Cały ten proces przebiegał beze mnie. Tematy, które były aktualne dla niego trzy lata temu, teraz go nie interesują. Szukam nowych, uczę się



• 23 maja 2023, Petersburg, tym razem Jarosław, lat 20, nie uniknął mobilizacji
FOT. REUTERS/AANTON VAGANOV

im się trzymać z boku, że nie będą musieli chwycić za broń i coś z nią realnie zrobić i że nikt nie będzie do nich strzelał. Zero dostrzegania związków przyczynowo-skutkowych, kompletne wyparcie.

Ale też trzeba też uwzględnić, że początkowo głównym źródłem informacji na temat przebiegu wojny była propaganda i ludzie Prigożyna. Więźniowie słyszeli więc jedynie o zwycięstwach rosyjskiej armii, a nie o klęskach i gigantycznych stratach. Z czasem świadomość się zwiększyła i liczba ochotników zmalała.

Panu udało się znajdować wspólny język z tymi, którzy początkowo czuli euforie?

– To nie było takie trudne. Oczywiście, ci ludzie najpierw deklamowali, że Putin zrobił dobrze i że my „pokażemy temu Zachodowi”. Ale wystarczyło ich zapytać, jak wygląda sytuacja w ich mieście: czy mają szpital, a jeśli tak, to w jakim jest stanie. A jakie są tam drogi? A szkoły? I bardzo szybko okazywało się, że oni widzą, że w kraju jest źle. A kiedy dowiadawali się, że egzemplarz takiej a takiej broni, którą władza chwali się w telewizji, kosztuje więcej, niż budowa całej szkoły, to przyznawali, że o wiele lepiej by było, gdyby te pieniądze przeznaczyć na rozwój kraju.

Ja te przemiany widziałem na własne oczy. Rzecz w tym, że oni sami, przy skali propagandy, ich nie otworzą, trzeba im pomóc.

To co naprawdę wiedzą i ile rozumieją Rosjanie? Jak bardzo są świadomi rzeczywistości – nie tej najbliższej, po sąsiedzku, tylko w skali regionu, kraju?

– Ludzie w Rosji żyją w swego rodzaju izolacji od świata zewnętrznego. Dostęp do niezależnych mediów jest zablokowany, tylko ci sprawni technicznie mogą do nich dotrzeć. Jednocześnie propaganda jest coraz bardziej agresywna i demoniczna; narzuca Rosjanom przekonanie, że jesteśmy otoczeni przez wrogów. Wmawia im, że Zachodowi zależy przede wszystkim na tym, by Rosja się rozpadła i pogrążyła w chaosie. I że jedyną szansą na względny spokój i stabilizację jest obecna władza, jaka by nie była.

• 11 sierpnia. Kto mieczem wojował, od miecza ginie - Kursk po ukraińskim ostrzale

FOT. REUTERS/ANATOLIJ ZHDANOV

• 28 sierpnia, festiwal filmowy w Moskwie

FOT. REUTERS/EVGENIA NOVOZHENINA



No i Rosjanom trudno dowiedzieć się, że niezadowolonych jest więcej, niż tylko oni, krewni, przyjaciele czy sąsiedzi, że istnieje jakaś opozycja, do której można by dołączyć. Bo ci, co mają opozycyjne poglądy, w oficjalnej optyce nie istnieją, zupełnie się ich pomija. Państwowe media zauważają ich sporadycznie, kiedy już naprawdę muszą – na przykład, gdy przeciwnicy wojny i reżimu zrobią coś, czego zignorować się nie da – a wtedy w telewizji są oblewani najgorszym ściekiem. Władze starają się ze wszystkich sił takich ludzi zdyskredytować.

Pana stosunek do rosyjskiego społeczeństwa jakoś zmienił się pod wpływem samego pobytu w więzieniu albo reakcji Rosjan na wojnę?

– On uformował się już dawno, ale myślę, że dzięki doświadczeniu więzienia pewnie kwestie zrozumiałem lepiej. Mam wrażenie, że

dopiero za kratami zdałem sobie sprawę, w jak wielkiej biedzie żyją Rosjanie. Jak wielu z nich żyje od pierwszego do pierwszego albo bierze kolejne pożyczki, by spłacić poprzednie.

Do mnie dopiero w tych ostatnich latach dotarło, że masy Rosjan nie mogą sobie pozwolić na kupno tyle jedzenia, ile im trzeba, nie mówiąc już o jedzeniu jakościowym. Wcześniej miałem kontakt głównie z mieszkańcami dużych miast, a w więzieniu poznałem ludzi z małych miasteczek i wsi. Wielu za kraty wpędziła właśnie bieda. Po rozmowach z nimi zupełnie inaczej spojrziałem na nasz kraj. Od lat w telewizji wmawiają nam, że Rosja jest bogata, pokazują wskaźniki PKB. To nie przekłada się na rzeczywistość. Bogate jest państwo i jego funkcjonariusze. A nasz kraj jest biedny, masa ludzi żyje w skrajnej nędzy, są pozostawieni sami sobie.

Niebagatelną część kraju i społeczeństwa tworzą również ludzie systemu. Jacy oni są? Można jakieś wnioski wyciągnąć z tego, jak pana traktowali policjanci, pracownicy sądów, „klawisze” i tak dalej?

– Dla każdego pracownika więzienia skazany w głośnej sprawie politycznej jest źródłem stresu. Często zupełnie wprost słyszałem od nich, że nie mogą się doczekać, kiedy przewiozą mnie do innej kolonii albo kiedy wyjdę. Dlaczego? Bo „polityczny” oznacza znacznie większą uwagę Moskwy, silniejszą mocniejszą kontrolę. Nikomu to nie jest potrzebne, przysparza problemów, dokłada pracy.

Więzienie i ogólnie system stanowią przekrój społeczeństwa. Można tam spotkać 10-15 procent okropnych osób, 10-15 procent bardzo dobrych ludzi i całą resztę „neutralnych”, którzy dostosowują się do okoliczności.

Ja spotkałem tam wszystkich. I takich, którzy czepiają się człowieka, bo tego się od nich oczekuje, więc robią to, by uniknąć problemów. Niektórzy nawet próbują się tłumaczyć, że muszą reagować i na przykład nie pozwalają mi na pisanie listów podczas oglądania telewizji. „Wszystko nagrywa kamera, obserwują cię, jeśli zarejestruje naruszenie, a my nie zareagujemy, to dzwoni telefon, przyjeżdża inspektor i pisze na wszystkich skargę”. I takich, którzy znęcają się z przyjemnością. Miałem przydzielonego śledczego, który wyraźnie chciał mnie wkurzyć, mówił, jakim wspaniałym prezydentem jest Putin albo że najlepszym wodzem był Stalin. I czekał na reakcję.

Ale w systemie pracują również tacy, którzy doskonale wszystko rozumieją i odnoszą się do „politycznych” ze współczuciem. Ba, wręcz ze zrozumieniem, choć często boją się je okazać. Z więzienia startowałem w wyborach do Dumy. Nie zapomnę nigdy, jak podszedł pracownik administracji i powiedział: „Andriej, wiesz, znam człowieka, który w najbliższy weekend pójdzie na głosowanie i zgłaszuje prawidłowo”. Mówił o sobie.

Pana synek miał pięć lat, kiedy zabrali mu tatę. Jak wyglądał wasz kontakt?

– Mój syn skończył we wrześniu osiem lat. Trzy razy dzień swoich urodzin świętował beze mnie. Gdy siedziałem, ani razu się nie widzieliśmy. Pisałem do niego listy, ale mnie nic od niego nie przekazywano. Nie pozwalamo na telefony.

Bolało. Bardzo bolało i nadal boli. Widzę, jak wyrósł, mam świadomość, że cały ten proces przebiegał beze mnie. I widzę, że moja nieobecność odbiła się na naszym kontakcie, tematy, które były aktualne dla niego trzy lata temu, teraz go nie interesują. Szukam nowych, uczę się tego. Teraz nadrabiamy stracony czas, ale to nie jest łatwe.

Bardzo dużo mnie ominęło. To jedna z przyczyn mojego gniewu na władzę. Na bezduszną tych ludzi i systemu.

Nie wybaczę też śledczemu, który przywiózł mnie do domu na rewizję w otoczeniu konwoju. Prosiłem go, by zdjął mi kajdanki, tylko na chwilę, żebym pożegnał się z synem. Zgodził się, a później odmówił. Nie miałem nawet jak normalnie przytulić synka. Jeśli z czegoś się cieszę, to że ludzie nie dali mu odczuć niechęci. Wręcz przeciwnie. Znajomi i sąsiedzi wspierali moją rodzinę. Po 24 lutego 2022 r. syn wyjechał z mamą z Rosji. Poszedł do szkoły. Tam, gdzie mieszka i gdzie się uczy, wszyscy są świadomi, co dzieje się u nas w kraju i wiedzą, że jego ojciec siedział z powodów politycznych. Ale on sam przeżywał to mocno.

Co panu pomagało przetrzymać więzienie?

– Dla każdego więźnia kluczowy jest kontakt ze światem zewnętrznym. Świadomość, że ludzie o tobie nie zapomnieli i że cię wspierają.

Mnie pomagał też sport. Takiej rady udzielił mi kiedyś Michaił Chodorkowski, który odsiedział 10 lat. Mówił, że samodyscyplina jest bardzo ważna, nawet jeśli nam się wydaje, że nad niczym nie mamy kontroli. Prowadziłem więc dziennik, w którym zapisywałem, ile danego dnia przebiegłem w celi, ile pompek zrobiłem. To było ważne i dla ciała, i dla głowy.

Jakie ma pan plany? Co dalej – na wolności, ale poza krajem?

– Jestem i chcę pozostawać rosyjskim politykiem. Moim zadaniem jest prowadzenie dialogu z Rosjanami, którzy pozostali w kraju. A to nie będzie łatwe. Słowo polityka z zagranicy ma mniejszą wagę od słowa tego, który jest na miejscu – ale to nie oznacza, że kontakt nie jest możliwy.

Zwłaszcza że jest na niego zapotrzebowanie. Dzisiaj ludzie reprezentujący bardzo różne grupy społeczne, nie tylko mieszkającą inteligencję i klasę średnią, doskonale zdają sobie sprawę, że decyzja Putina o napaści na Ukrainę była niepotrzebna. Widzą to nawet ci, którzy oglądają regularnie propagandowe programy i początkowo uważali, że to będzie krótka, zwycięska wojna. Wojny łatwiej jest jednak rozpoczynać niż kończyć. I ten strach, co się wydarzy, jeśli Putin się nie zatrzyma, zaczyna rosnąć.

Dlatego musimy docierać do ludzi z oczywistą prawdą: że im szybciej to się skończy, tym lepiej. Chcę rozmawiać z Rosjanami nie o abstrakcyjnych pojęciach politologicznych, ale o konkretnych, sprawach odnoszących się do ich codzienności, proponować różne rozwiązania i strategie, których celem będzie osłabienie władzy oraz zakończenie wojny.

Będzie pan namawiać Rosjan, by wychodzili z protestem na ulice?

– Nie. Kiedy jest się w innym kraju, nie można apelować o takie rzeczy, to jest po prostu złe i niewłaściwe. Trzeba pamiętać, że w Rosji funkcjonuje niezwykle silny i okrutny aparat represyjny. Ludzie doskonale zdają sobie z tego sprawę i nie są gotowi, by narażać się na niebezpieczeństwo czy nawet większy dyskomfort. To typowe dla większości zwykłych ludzi, naturalne i nie ma co się na to zżymać, oczekiwać bohaterstwa, że będą ryzykowali przyszłość nie tylko swoją, ale i najbliższych.

Jednocześnie wiem, że niezadowolenie w kraju rośnie. I mówię tu nie tylko o nastrojach tych, którzy sympatyzują z demokratycznymi ideami. W więzieniu, areszcie i podczas etapów, czyli podróży z jednej kolonii karnej do drugiej, rozmawiałem z wieloma osobami. Nie tylko z innymi skazanymi, ale i z pracownikami więziennej administracji. Ci ludzie bardzo jasno dają do zrozumienia, że to, co dzieje się w kraju i w której stronę zmierza Rosja, im się nie podoba.

Wielu z nich wcale nie przywołuje jakichś humanistycznych zasad czy wartości. Dużo mówią o biedzie, że żywność jest coraz droższa, a rachunki coraz wyższe.

O zmęczeniu wojną, strachem przed mobilizacją, niepewną przyszłością albo wręcz, że o niej nie myślą i im z tym źle.

Dotarcie do takich ludzi jest kluczowe. Bo na razie rosyjska opozycja nie ma z nimi kontaktu. To nie są osoby, które mają wyższe wykształcenie, podróżowały po świecie, czytają niezależne media, żyją w dużych miastach.

Takich ludzi – z szeroko rozumianej, jeśli nie materialnej, to umysłowej elity – też spotykałem w kolonii karnej, ale więzienie jest jak przekrój społeczeństwa. W zwykłym życiu tych „zwykłych Iwanów” prawdopodobnie nigdy bym nie poznał. To jest uderzające: słyszeć, że chłopaki z prowincji, którzy siedzą za narkotyki, kradzieże czy alimenty, bardzo trzeźwo oceniają sytuację, w jakiej znalazła się Rosja. I że te oceny nie są pozytywne.

Oni nie wyjdą na wiec czy marsz, ale można zastanowić się, jak mogliby okazać sprzeciw czy niezadowolenie w swojej bańce, nie narażając się na konsekwencje prawne. I jak przekonać ich, że wcale nie jest tak, jak przez lata wmawia im propaganda, która twierdzi, że zdanie pojedynczego człowieka się nie liczy.

No właśnie: jak?

– W więzieniu dużo czasu poświęciłem na zastanawianie się, co zrobić z przeciętnym Rosjaninem, który nie jest gotowy na uliczne protesty, ale w głębi duszy jest nastawiony antywojennie, chciałby zmienić sytuację, a przynajmniej zrobić coś, co pozwoliłoby mu w jakimś stopniu moralnie się usprawiedliwić przed samym sobą za to, co się dzieje. Doszedłem do niezbyt oryginalnego wniosku, że ważne są małe kroki, których efektem, gdy się skumulują, może być osłabienie maszyny wojennej i reżimu. Kropla draży skalę.

No i trzeba działać tak, by społeczeństwo nie dokładało się do finansowania wojny. Władze zamawiają teraz masowo filmy propagandowe, których celem jest nie tylko stworzenie iluzji, że większość popiera działania Putina i wojnę, ale też zagrać ludziom na emocjach. Jednym z takich małych protestów, na który każdy człowiek może sobie pozwolić, jest po prostu nie pójść do kina, na koncert czy jakiegokolwiek innego propagandowego wydarzenia. Nie ulec namowom, zachętom.

Okej, Rosjanie boją się wyjść na protest, ale mogą nie wspierać propagandy swoimi pieniędzmi i swoją obecnością.

Takich sfer jest znacznie więcej. Małe kroki, jeśli zostaną podjęte przez masy, mogą okazać się bardziej skuteczne niż pojedyncze, większe działania.

Pańskie wystąpienie podczas pierwszej konferencji prasowej po uwolnieniu wywołało falę krytyki. Nie dość, że powiedział pan, że należy osłabić sankcje, które dotyczą „zwykłych Rosjan”, to jeszcze zaznaczył, że nie wyobraża sobie, że wspierałby finansowo Siły Zbrojne Ukrainy. Oberwał się panu za to ze wszystkich stron.

– Chciałbym zaznaczyć, że szanuję tych przeciwników wojny, którzy wspomagają ukraińską armię. Tak samo szanuję tych, którzy tego nie robią, ale zajmują się czymś innym, by zatrzymać mój kraj. Natomiast nie mogę apelować z bezpiecznego miejsca o robienie czegoś, za co ludziom grozi odpowiedzialność karna.

A krytykom odpowiem, że cel mamy przecież wspólny: chcemy, by Rosja stała się normalnym demokratycznym państwem bez Putina i aby nie była zagrożeniem dla sąsiadów. Nie jestem imperialistą. Wojna w Ukrainie jest wojną zbrodniczą, a obecny reżim jest pozbawiony legitymizacji. Celem rosyjskiej opozycji jest doprowadzenie do jego upadku.

Jeśli chodzi o sankcje... Uważam, że myśląc o kolejnych pakietach, należałoby się skupić na tym, by rzeczywiście uderzyły w rosyjską gospodarkę i przemysł wojskowy, a niekoniecznie w szarego, małego człowieka z prowincji czy wsi, który ledwo wią-

Przez pierwszy miesiąc po inwazji widziałem lekkie uczucie euforii. Inni więźniowie wyraźnie wierzyli, że „już my im pokażemy”. Po pół roku już nikt nie mówił, że popiera wojnę

że koniec z końcem. Bo to tylko wzmacnia putinowską narrację o wrogim Zachodzie, który nienawidzi Rosjan. Są wojskowi, są urzędnicy, są propagandyści, są ludzie bezpośrednio odpowiedzialni za to, co się dzieje – i w ich przypadku nie ma żadnych wątpliwości: im bardziej dotkliwe i bolesne sankcje, tym lepiej.

Natomiast zwykli Rosjanie, którzy każdego dnia zastanawiają się, czy starczy im na chleb, niestety, nie mają przestrzeni i zasobów, by oddawać się refleksji na temat sytuacji politycznej czy geopolitycznej. Zarzucało mi, że apeluję o zniesienie sankcji, przypisało mi opinię, że są niesprawiedliwe. Niczego takiego nie powiedziałem.

Sankcje działają. Widziałem to, przyglądając się rosnącemu cenom.

Mnie chodzi tylko o to, by przy opracowywaniu kolejnych pakietów skupić się bardziej na tych, które uderzą przede wszystkim we władzę, w przemysł wojskowy, w finansowe podstawy reżimu, choćby eksport ropy, gazu.

Wspomniał pan, że niedawno, po latach, rozmawiał z ukraińskimi przyjaciółmi. Co oni na to?

– Dużo z tych rozmów wyniosłem, choć nie były łatwe. Udało mi się spojrzeć na wszystko ich oczami, zobaczyć i poczuć ich ból. Przyjaciel powiedział mi na przykład, że jego kilkulatnia córka bardzo boi się odgłosów alarmów, syren. Dostaje ataków paniki i on Rosjanom nigdy tego nie wybaczy. Niby to oczywiste, wiedziałem i wyobrażałem sobie, co przeżywają cywile – ale co innego o tym wiedzieć, a co innego usłyszeć od kogoś, kogo znasz, wyobrazić, co przeżywa z rodziną.

To jest coś, o czym chcę i muszę pamiętać. Do tej pory skupiałem się na tym, jak rozmawiać ze swoimi, jak bronić interesów zwykłych Rosjan. Dzisiaj wiem, że aby skutecznie zajmować się polityką, trzeba w pamięci mieć i tę osobistą, zasadniczą i surową ukraińską perspektywę.

Mówił pan, że dosłownie kilka dni przed inwazją pisał w więzieniu tekst o tym, że tego rodzaju napaść w dzisiejszym świecie jest niemożliwa. Dlaczego to się jednak wydarzyło?

– Odpowiedzialność spoczywa na nas, rosyjskich politykach, ale i – w pewnym stopniu – na Zachodzie. Wszyscy zlekceważyliśmy Putina. Bardzo długo putinowska władza była traktowana jako skorumpowana forma autokracji, czyli taka, z którą można robić interesy i przez to jest przewidywalna.

Głos rosyjskiej opozycji, przestrzegające, kim naprawdę jest Putin i jego ludzie, jak rozumują, nie były na Zachodzie słyszane, a nawet jeśli gdzieś się przebijały, to nie traktowano nas poważnie. I przegapiono moment, w którym skorumpowany autokratyczny zwierz przemienił się w monstrum.

W tym momencie nie mogę nie zapytać o Nawalnego.

– To był szok. Nie mogłem uwierzyć, że nie żyje. Aleksiej zawsze był tym, komu udało się wyjść cało z najgorszych opresji. Tak odbierali go wszyscy ludzie w rosyjskiej opozycji: Aleksiej był kimś, kto dawał nam poczucie, że nawet jeśli my czegoś nie udźwigniemy, to pojawi się on i to będzie zrobione, jak należy. A teraz go nie ma. Te-

raz musimy poradzić sobie sami, także dla niego i za niego.

Aleksiej Nawalny, pan, Kara-Murza, Ilja Jaszyn, Orłow – byliście jednak więźniami wyjątkowymi, bo działaczami politycznymi, inteligentami. A jaki stosunek mają do Putina zwykli osadzeni? Niezadowolone z państwa, z czynowników nie musi przekładać się na rozczarowanie przywódcą. Który przecież przez długie lata był „dobrym carem”, podnosił emerytury, wypłacał pensje, publicznie dyscyplinował podwładnych, rozmawiał przed kamerami ze zwykłymi – wyselekcjonowanymi, ale o tym telewizji nie wiedział – ludźmi.

– Więźniowie oceniają władzę bardzo krytycznie. Ci ludzie, zetknąwszy się z rosyjskimi sądami i Federalną Służbą Wykonawania Kar, odkryli, że właściwie nie mają żadnych praw. Nikt ich nie obroni, o czym zresztą mówią również statystyki: w Rosji ponad 99 proc. spraw karnych kończy się wyrokiem skazującym. Mniej niż 1 proc. to uniewinnienia. Ludzie rozumieją, że to świadczy o bezprawiu, nadużyciach. Sami ich doświadczają, także tam, gdzie odbywają karę.

Ale rzeczywiście, widać wyraźnie, że o ile większość Rosjan ma negatywne zdanie na temat władz, to niekoniecznie w ten sam sposób myślą o Putinie. Propaganda działa pod tym względem bardzo chytrze, stosując sprawdzoną od stuleci metodę – stawia wyraźne rozgraniczenie między dobrym carem a złymi bojarami.

Ci, którym putinowski imperializm i mania wielkości imponują, myślą o nim dobrze, a za wszelkie zło obwiniają niższe szarże. Ale myślę, że to kwestia czasu i że nadejdzie moment, kiedy Rosjanie połączą kropki. Putin był przez lata akceptowany ze względu na stabilność, którą rzekomo zapewniał. A teraz ludzie coraz bardziej odczuwają, że o stabilności nie ma już mowy. I że to, co w ostatnich latach im przyniósł, to bieda, wojna, brak perspektyw.

A może i rozpad Rosji, na który tak wielu zdaje się liczyć na Zachodzie?

– Mam nadzieję, że to, co nas czeka, to zmiana władzy, a nie rozpad Rosji. Zresztą nie widzę w kraju na to zapotrzebowania. Zachód też nie powinien być takim obrotem spraw zainteresowany.

Do rozpadu potencjalnie może dojść, jeśli Putin długo pozostanie u władzy. Wtedy nastąpi jeszcze większa atomizacja społeczeństwa, władzy zapragną ci, którzy za sprawą wpływów – w strukturach władzy centralnej, w regionach czy w biznesie – mogą zbudować agresywne bojówki, sfinansować prywatne armie.

To byłoby bardzo niebezpieczne nie tylko dla nas, Rosjan, ale i dla świata –

bo o władzę w Rosji nie będą wtedy walczyć ci, którzy pragną jej demokratyzacji. Wręcz przeciwnie.

Walki toczyć będą ci, którzy wspie- li się po szczeblach w czasach i przy udziale Putina. ●

Andriej Piwowarow

● rosyjski opozycjonista, dyrektor wykonawczy ruchu Otwarta Rosja, założonego przez Michaiła Chodorkowskiego, w latach 2012-13 członek Rady Koordynacyjnej rosyjskiej opozycji.

Z wykształcenia ekonomista, był korespondentem agencji informacyjnej Panorama Współczesnej Polityki, zarządzał siecią sklepów odzieżowych, założył browar Mart, prowadził pierwszy w Rosji opozycyjny bar Swoboda.

W maju 2021 r. został zatrzymany pod zarzutem działalności na rzecz „niepożądanego organizacji”, czyli Otwartej Rosji. Pierwsze półtora roku z czteroletniego wyroku spędził w kolonii karnej – czyli łagrze – w Krasnodarze, później przeniesiono go do kolonii w Karelii. Większość czasu spędził w izolacie, pod specjalną kontrolą.

RASIZM W ZIELONYCH KOSZULACH

„Imigranci zużywają więcej plastikowych jednorazówek niż my”. Ekofaszyści to nowy nurt na prawicy

Aleksander Gurgul

15 marca 2019 r. Australijczyk Brenton Tarrant wchodzi do meczetu Al Noor w Christchurch w Nowej Zelandii i zabija 42 osoby. Kilka minut później wsiada do samochodu i jedzie do Linwood Islamic Centre, gdzie zastrzeli kolejne osoby. Łącznie tego dnia Tarrant zabił 51 osób, wszyscy byli muzułmanami. Rozerwał życie wielu rodzin, które pogrążyły się w cierpieniu, niektóre pewnie już na zawsze.

Manifest ekofaszysty, zamachowca z Christchurch

W Internecie opublikował „manifest”, w którym sam siebie nazwał „ekofaszystą”. Atak planował od blisko dwóch lat i jego celem było zabicie jak największej liczby ludzi. Po rozstrzelaniu wiernych chciał spalić meczety. W planach miał tego samego dnia atak na trzecią świątynię, w Ashburton, ale wcześniej został aresztowany.

Dostał dożywocie, a Nowa Zelandia zaostrzyła prawo do posiadania broni.

W książce „The Rise of Ecofascism: Climate Change and the Far Right” (ang. Narodziny ekofaszysty: Zmiana klimatu i skrajna prawica) duet autorów Sam Moore i Alex Roberts wypunktowują kilka trendów z manifestu Tarranta, które wpisują się w nurt ekofaszysty i względnie pokrewne:

- wysoce konspiracyjne aspekty skrajnie prawicowego myślenia;
 - silna mieszanka islamofobii i antysemityzmu;
 - fanatyczna dbałość o czystość rasową;
 - potrzeba reagowania [na to, co dzieje się wokół – red.] brutalną przemocą;
 - neomaltuzjanizm w postaci fantazji o „zastąpieniu rasowym”* [białych przez osoby o innym kolorze skóry, najpewniej muzułmanów – red.] jako fundamentalnej kwestii ekologicznej;
 - krwiożerczy fanatyzm.
- * W krajach anglosaskich na skrajnej prawicy używa się także pojęcia „wielkie zastąpienie” (ang. Great Replacement).

Moore i Roberts w swojej książce sięgają do nazistowskich korzeni dzisiejszego ekofaszysty, przypominają o idei „krwi i ziemi” i potrzebie zdobycia przestrzeni życiowej wyczyszczonej z obcych i niepożądanych elementów. Ale wytykają także amerykańskie nurty antyimigracyjne i eugeniczne z przełomu XIX/XX w., w tym postacie takie jak Madison Grant. To wtedy zaczynały kielkować pomysły, że natura, czystość i ochrona przyrody są powiązane z czystością rasy

Autorzy przypominają także o czasach nam znacznie bliższych – publikacji w 1968 r. książki „Bomba populacyjna” autorstwa Paula Ehrlicha, w której dowodził, że zniszczenia ekologiczne – a w istocie niemal wszystkie problemy społeczne

– można przypisać przeludnieniu. Książka ta dała impuls do odrodzenia się ruchów skrajnie prawicowych, także i tych zabarwionych na zielono. I to pomimo, że tezy Ehrlicha się nie sprawdziły. Dziś na planie żyje około osiem miliardów ludzi, czyli prawie dwa razy więcej niż w jego czasach.

Jeśli ktoś nie może pozwolić sobie na kupno książki Moore’a i Roberta, może historyczne meandry ekofaszysty odtworzyć czytając krótki felieton Jeffa Sparrowa na łamach „Guardiana”. Sam Sparrow zresztą napisał książkę „Fascists Among Us: Online Hate and the Christchurch Massacre” (ang. „Faszyści są wśród nas: hejt w internecie i masakra w Christchurch”).

Ekofaszysty. Naśladowcy w Ameryce

Kim dziś jest współczesny ekofaszysta? Zwięzłą odpowiedź dają sami Moore i Roberts przypominając hasło, jakie w ostatnich latach pojawiło się w kręgach American Identity Movement, amerykańskiej grupy neonazistowskiej: „plant more trees, save the seas, deport refugees” (ang. sadź więcej drzew, chroń morza, deportuj uchodźców).

Cassidy Thomas, doktorantka z Uniwersytetu w Syracuse w stanie Nowy Jork w rozmowie z Deutsch Welle mówiła w 2022 r., że ekofaszysta to ktoś, kto „powołuje się na troskę o środowisko lub retorykę środowiskową, aby uzasadnić nienawistne i ekstremalne elementy swojej ideologii”. Thomas bada skrzyżowanie pravicowego ekstremizmu z polityką środowiskową. – Ekofaszyści są związani z teoriami rasistowskimi i wierzą, że degradacja środowiska naturalnego prowadzi do degradacji ich kultury i narodu – dodała Thomas.

Czytając to, jak badacze tematu opowiadają o ekofaszyzmie można dojść do wniosku, że Tarrant uważał, że najlepszym rozwiązaniem na powstrzymanie zmian klimatu na rozgrzewającej się planecie jest zatrzymanie rosnącej populacji ludzkości, a nawet jej (wybiórcze, wedle własnych fobii) zredukowanie. W ten sposób w jego chorej głowie zrodził się plan, że pomoże planecie mordując muzułmańskich imigrantów, którzy byli dla niego „najeźdźcami” o wysokim wskaźniku dzietności.

Gdyby Tarrant był pojedynczym przypadkiem, pewnie można by spuścić zasłonę milczenia na wątki „ekologiczne”, które zawarł w manifestie albo przypisać to jego urojeniom.

Niestety, jeszcze tej samej wiosny w El Paso w Teksasie (miasto na samej granicy z Meksykiem) ogień w supermarkecie Walmart otworzył 21-letni Patrick Wood Crusius. Tego dnia zamordował 23 osoby, ranił kolejne 22. Strzelał z nadzieją, że zabije jak najwięcej Meksykanów. Ostatecznie osiem z jego ofiar było tej narodowości, a z pozostałych większość miała paszporty USA, a jedna Niemiec.

W swoim manifestie Crusius cytował Tarranta. Napisał także: „Jeśli uda nam się pozbyć wystarczającej liczby ludzi, nasz styl życia może stać się bardziej zrównoważony”.

Wreszcie maj 2022 r. Buffalo na zachodzie stanu Nowy Jork. Do sklepu pod szyl-



FOT. GETTY IMAGES

dem sieciówki Tops Friendly Market wchodzi Payton S. Gendron. Strzela i zabija tylko czarnoskórych klientów. Ginie 10 osób. On także za problemy środowiskowe obwinia imigrację i przeludnienie. Jego 180-stronnicowy manifest przeczytali m.in. dziennikarze „The Washington Post”, ale nie zdecydowali się go opublikować, by nie szerzyć dalej mowy nienawiści, która mogłaby pociągnąć za sobą falę przemocy.

Ekofaszyzm.

„Wyrwać inwazyjnego chwasta”

Ekologia w swojej współczesnej formie to gałąź nauki, która dziś rozwija się przede wszystkim w kręgach o lewicowej wrażliwości. Jednym z jej głównych hasel jest m.in. środowiskowa i klimatyczna sprawiedliwość, które na sztandary biorą organizacje pozarządowe, w tym uczestnicy i uczestniczki szczytów klimatycznych. Ekologowie opierają dziś swoje działania w przestrzeni publicznej głównie na wiedzy naukowej płynącej np. z raportów uznanych międzynarodowych ciał badawczych takich jak IPCC, a więc oenztowski Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu. W skali mikro dla swoich działań w terenie (np. w polskich lasach) NGO-sy szukają przede wszystkim podparcia w niezależnych badaniach naukowych, publikowanych w uznanych czasopismach.

Tym, co wyjątkowo odpycha, kiedy przyjrzeć się „zielonej” skrajnej prawicy, jest nieudolna, niczym nieuzasadniona, a przede wszystkim rasistowska próba adaptacji pewnych pojęć ekologicznych do własnych celów.

Przykład?

Jednym z palących (niestety) zagadnień, którymi zajmuje się nauka na świecie jest wymieranie gatunków. Wśród przyczyn wskazuje się wiele, m.in. oczywiście globalne ocieplenie i zmianę klimatu ze wszystkimi ich konsekwencjami (podnoszenie się temperatury, topnienie lodowców i związane z tym podnoszenie się poziomu oceanów na świecie etc.). Ale wśród innych powodów nauka wymienia także inwazyjne gatunki obce. Żeby nie rozwodzić się zbyt długo przypomnę, że chodzi o takie gatunki, które zawleczone przez człowieka z jednego końca planety na drugi, sięgają spustoszenia w rodzimej przyrodzie.

I tu wracamy do ekofaszystów, którzy za „inwazyjny gatunek obcy” obrali sobie imigrantów o innym niż biały kolorze skóry i/ albo wyznaniu i uważają, że należy ich wyeliminować.

To czysty rasizm ubrany w zieloną koszulę.

Skąd tego typu pomysły biorą się w głowach ekofaszystów?

W związku z tym, że żyjemy w zglobalizowanej wiosce, a pandemia na jakiś czas usadziła nas w domach i przed komputerami, jest sporo szans, że ziarna do tego typu myślenia (i w ogóle do szerzenia różnorodnych teorii spiskowych) rozsiewane są w internecie. Tam też dochodzi do radykalizacji w samonapędzającym się hejcie. Podobnego zdania jest m.in. wspomniany wyżej Cassidy Thomas czy Naomi Klein. O tym, w jak niedorzeczny sposób potrafią ewoluować niektóre pomysły w przestrzeni wirtualnej, a czasem wystarczy jeden anonimowy wpis na niszowym forum, można się przekonać czytając jeszcze inną książkę, niedawno wydaną w Polsce przez Wydawnictwo Czarne: „Uwierz w plan. Skąd się wziął QAnon i jak namieszał w Ameryce”, którą napisał Will Sommer.

Zazielenianie nienawiści w mainstreamie

Ktoś powie, że Tarrant, Crusius i Gendron to ekstremalne przypadki, a teorie spiskowe grzeją tylko zamknięci w podziemnych bunkrach wariaci, surfujący dniami i nocami po najdalszych zakamarkach darknetu.

Betsy Hartmann, emerytowana naukowczyni z wieloletnim stażem badań skupiających się na wzajemnych powiązaniach między populacją, migracją, środowiskiem i kwestiami bezpieczeństwa



• Łódź z migrantami
na południe od Lampedusy,
11 sierpnia 2024 r.

FOT. REUTERS/JUAN MEDINA

w 2020 r. napisała interesujący felieton dla renomowanego „Columbia Journalism Review”, który wydaje szkoła dziennikarska Uniwersytetu Columbia. Wskazywała w nim na program Tuckera Carlsona, wtedy jeszcze gwiazdę Fox News. Carlson zaprosił do rozmowy Justina Haskinsa z Heartland Institute, denialistycznego think tanku. To, że Haskins znalazł się na antenie Fox-a jeszcze nie zdziwiło badaczki, ani dyrdymały które głosił o zmianie klimatu. „Retoryka Haskinsa odeszła od czystego i prostego negacjonizmu klimatycznego na rzecz obwiniania imigrantów za powodowanie szkód środowiskowych” – pisze Hartmann w felietonie.

Taką retorykę nazywa „zazielenianiem nienawiści”. Przy okazji objawił się także inny cyniczny, retoryczny wykręt, który stosują ekofaszyści – można odnieść wrażenie, że zwłaszcza ci amerykańscy. Stoją oni na stanowisku, że skoro do USA ciągną ludzie biedni z krajów Ameryki Łacińskiej, w których ich emisje są niskie, to kiedy przyjmą już amerykański styl życia, to zaczęą emitować znacznie więcej. Wniosek? Należy powstrzymać ich przed tymi większymi emisjami i zamknąć im przed nosem granicę. Zupełnie jakby nie biorąc pod uwagę, że największymi emitentami na świecie są firmy z branży paliw kopalnych (węgiel, ropa, gaz), a nie biedni migranci w łachmanach, przedzierający się przez wszystkie niebezpieczeństwa kontynentu w kierunku lepszego, bezpiecznego życia.

Z kolei historycznie, krajem, który najbardziej odpowiada za dzisiejszy poziom gazów cieplarnianych w atmosferze są właśnie USA. W przeliczeniu na roczne emisje dopiero relatywnie niedawno Amerykanów przegonili Chińczycy. Ale tego, że historycznie wina za ocieplenie planety leży po stronie USA, ekofaszyści zdają się nie rozumieć.

Kluczowe w dyskusji nie jest więc powiedzenie, że „kurczą nam się zasoby, dla wszystkich nie wystarczy, trzeba ograniczyć populację” – jakby to powiedzieli ekofaszyści – ale trzeba zacząć mądrze tymi zasobami zarządzać.

Jeszcze inny, wyjątkowo diaboliczny, retoryczny wykręt, który stosują ekofaszyści opisywał „Teenen Vouge”, którego redakcja rozmawiała m.in. o tym z Naomi Klein. Ekofaszyści podkreślają np., że imigranci, zwłaszcza ci o innym kolorze skóry niż biali, zużywają dużo plastikowych jednorazówek i nimi śmieć. Zupełnie nie biorąc pod uwagę, że biednych ludzi po prostu nie stać na drogie gadżety i markowe torebki.

John Tanton wierzył, że główną przyczyną niszczenia środowiska jest przeludnienie przez niewłaściwy sort ludzi

Z kronikarskiego obowiązku tylko przypomnę, że kiedy w 2018 r. w Katowicach odbywał się szczyt klimatyczny COP24, śląsko-dąbrowska Solidarność oraz Krajowy Sekretariat Górnictwa i Energetyki NSZZ Solidarność podpisały deklarację o współpracy z Heartland Institute.

Biała supremacja mogła być zielona

Tekst Hartmann jest także ciekawy z innego powodu. Badaczka przypomina w nim postać zmarłego w 2019 r. Johna Tantona z Michigan, zamożnego okulisty który założył sieć kilkunastu antyimigranckich organizacji, wśród których najważniejszą była Federation for American Immigration Reform. Pieniądze zdobywał m.in. u bogatych darczyńców, w tym u Cordellii Scaife May, jednej ze spadkobierczyń fortuny rodzinny Mellonów, magnatów z Pittsburga.

„Tanton wierzył, że główną przyczyną niszczenia środowiska jest przeludnienie przez niewłaściwy sort ludzi. Aby chronić zarówno przyrodę, jak i naród, należy zachować białą supremację, powstrzymując imigrantów” – napisała Hartmann.

Tanton w latach 70. XX wieku był wpływową postacią w Sierra Club, jednej z najważniejszych do dziś organizacji ekologicznych w USA (zakładał jeden z jej oddziałów w Michigan). Starał się skusić członków, aby przyjęli jego natywistyczne, a więc antyimigracyjne poglądy. Tanton obruszał się, gdy mówiono o nim „rasista”, a na początku XXI wieku tak wprost wyrażała się o nim Southern Poverty Law Center (SPLV) z Alabamy, organizacja zajmująca się prawami człowieka i śledzeniem tzw. białej supremacji w USA oraz ruchów neonazistowskich.

„Tanton wabił ekologów głównego nurtu do obozu natywistycznego, wykorzystu-

jąc obawy opinii publicznej przed przeludnieniem i zagładą środowiska. Początkowo odniósł sukces, ale w latach dziewięćdziesiątych próby przejścia Sierra Club przez sieć Tantona napotkały opór ze strony koalicji postępowych aktywistów. (Pełne ujawnienie: byłem częścią tej koalicji)” – wspomina dalej Hartmann. O działalności organizacji Tantona na lata ucichło, aż do wyboru Donalda Trumpa na prezydenta. Okazało się wówczas, że kilkoro z jego współpracowników ma bliskie powiązania z organizacjami Tantona.

Sierra Club odrzuca rasistowskie poglądy Johna Tantona

Sierra Club nie ukrywa swojej przeszłości. W 2018 r. Hop Hopkins, dyrektor ds. transformacji organizacyjnej tego NGO-sa napisał gorzkie wyjaśnienie, które było także uderzeniem się w piersi. Wspominał w nim rok 1998, gdy Sierra Club znalazł się na rozdrożu.

„Przez dekady, pewna grupa ludzi w [naszej – red.] organizacji naciskała na to, by wykorzystać wpływy Sierra Club do promocji polityki blokowania imigracji i podważania praw imigrantów. W 1998 r. niektóre z tych osób, w tym Jon Tanton, nazwany przez Southern Poverty Law Center »rasistowskim architektem wspólnego ruchu antyimigranckiego«, przedstawiły propozycję, aby Sierra Club stał się aktywnie antyimigrancką organizacją, publicznie sprzeciwiającą się imigracji. Propozycję odrzucono w głosowaniu przez członków Sierra Club, lecz ledwo. Fakt, że ten wewnętrzny ruch znalazł poparcie wśród części członków odzwierciedla naszą wykluczającą historię. Było to też jednym z wyznaczników problemu, jakim było nakładanie się ruchu ekologicznego na ideologię aktywistów [popierających – red.]



kontrolę populacji, eugenikę i ruchy konserwatywne. Jednym z przykładów naszej wykluczającej historii jest fakt, że w latach 50. XX wieku oddział Sierra Club w Angeles [Los Angeles i sąsiednie hrabstwo Orange – red.] prowadził politykę niedopuszczania do członkostwa Afroamerykanów” – napisał Hopkins.

W 2004 r. Sierra Club znów przeszedł przez ten proces, co monitorowała SPLV. Zwolennicy poglądów antyimigranckich ponownie starali się przejąć kontrolę nad zarządem, ale ponownie przegrali. Hopkins wini za to demokratyczną strukturę w Sierra Club, która działa powoli. Tanton działał natomiast nieszablonowo i poza organizacją zdobywał kolejnych zwolenników płynąc na wiarygodności Sierra Club.

Dziś Antyrasizm jest jedną z podstawowych wartości Sierra Club. „Zobowiązujemy się do tego, by trzymać z dala od władzy białych suprematystów, do naprawienia szkód i skończenia z rasizmem strukturalnym” – czytamy na stronie oddziału Angeles.

Jako przykład wkładu w to Hopkins wskazuje np. na sprzeciw wobec budowy muru na granicy USA z Meksykiem, który nie tylko jest antyimigrancki, ale także dzieli ważne ekosystemy Ameryki Północnej.

Dziś ruchy ekologiczne koncentrują się na edukacji i wzmocnieniu pozycji kobiet w ich społecznościach, co doprowadziło do spadku liczby urodzeń na świecie, ponie-

waż w ten sposób kobiety przejęły (w niektórych krajach wciąż o to walczą) kontrolę nad swoim życiem i prawami reprodukcyjnymi. Zresztą takie hasła jak powszechna edukacja kobiet, walka o prawa reprodukcyjne czy opieka zdrowotna, a także dostęp do antykoncepcji pojawiają się prawie zawsze przy okazji omawiania jednego z Celów Zrównoważonego Rozwoju ONZ – równości płciowej.

Hartmann w felietonie przestrzega, że głosy ludzi z antyimigranckiej sieci Tantara przedostają się do mediów głównego nurtu. W styczniu 2020 r. list otwarty jednemu z członków Center for Immigration Studies (CIS), także z tej sieci opublikował „The New York Times”. Jerry Kammer został jednak podpisany jako „liberal”. Przy czym słowa „klimat”, „przyda” albo „środowisko” w nim nie uświadczymy. Hartmann podaje go jednak jako przykład i namawia media do ostrożności oraz monitorowania sieci Tantara, bo po jego śmierci jego poglądy w niej nie umarły.

„Zaledwie kilka dni po tym, jak Times opublikował op-ed pochodzący z CIS, prawnik sieci Tantara napisał na stronie internetowej organizacji, że wzrost populacji spowodowany imigracją napędza emisję dwutlenku węgla, zanieczyszczenie i niszczenie otwartej przestrzeni w USA” – argumentuje Hartmann.

I przestrzega: w związku z tym, że coraz większa liczba konserwatystów w USA

i Europie zaczyna przyjmować do wiadomości, że zmiany klimatu są faktem (gołym okiem widzą coraz silniejsze pożary, powodzie, huragany), skrajna prawica może szukać innego ujęcia dla poglądów, w tym starać się swoje fobie i nienawiść zazielenić. W „The Washington Post” Hartmann przestrzegała także przed snuciem apokaliptycznych wizji końca świata w ruchach klimatycznych. Bo taki dyskurs także może zostać wykorzystany przez białych suprematystów.

W miarę jak ludność będzie migrować, a z dużym prawdopodobieństwem będzie, bo w kilku częściach świata temperatury będą tak nie do zniesienia (upał doskwierać będzie zwłaszcza nocami, bo to czas odpoczynku dla organizmu), że biedni ludzie, których nie będzie stać na klima-

tyzację (albo wodę!), stamtąd uciekną. Czy dużo potrzeba wysiłku, by wyobrazić sobie jak na skróty znajdzie odpowiedzi na to skrajna prawica? Czy łodzie zatapiające migrantów na Morzu Śródziemnym są czymś nowym? Albo patrol graniczny z bronią w Teksasie i Arizonie czy wreszcie obozy dla na obcym terytorium sponsorowane przez rząd Australii?

Z kolei Hilary Moore, autorka książki „Burning Earth, Changing Europe: How the Racist Right Exploits the Climate Crisis and What We Can Do About It”, z którą także rozmawiał „Teen Vogue” wskazuje na kolejne zagrożenie: ochrona środowiska można zostać wykorzystana przeciwko rdzennym społecznościom jako narzędzie wysiedlenia (i ostatecznie wymazania) plemion z ich ojczyzny.

Jak zwalczać ekofaszizm?

Po pierwsze nauczyć się go rozpoznawać, po drugie potrafić debunkować narosłe mity – radzi prof. Alexander Menrisky z University of Connecticut. „Weźmy na przykład powszechne założenie, że ludzie są z natury tragicznie samolubni. Ten rodzaj twierdzenia nie tylko zachęca do mentalności »my kontra oni«, która demonizuje innych, jednocześnie rezerwując zasoby dla tych, którzy w dużej mierze mają już do nich dostęp, ale także dyskredytuje tysiąclecia ludzkiej współpracy, jeśli chodzi o zrównoważone utrzymanie zasobów, choćby i tylko w obu Amerykach. Kiedy zaczynasz wywierać presję na pewne punkty, argumenty te rozpadają się” – wskazuje prof. Menrisky.

Razem z innymi badaczami stworzyli „Against the Ecofascist Creep”, sześć krótkich esejów napisanych prostym językiem, które obalają powszechne mity, często pojawiające się w codziennych mediach i rozmowach. Wykorzystują one fabułę z filmów Marvela o Avengersach. Motywacją złoczyńcy Thanosa w tych filmach jest zniszczenie połowy populacji wszechświata, aby zachować zasoby dla drugiej połowy. To zgrabnie wydestylowana ekofaszystowska historia. ●

„Against the Ecofascist Creep” można pobrać na stronie Asle.org.

wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak,
Bartosz T. Wielinski;
MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczeorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTODYSCJA: Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Nagroda Literacka im. Witolda Gombrowicza

muzeumgombrowicza.pl / nagrodagombrowicza.pl

8 - 14.09.2024
RADOM - WSOLA

FESTIWAL
„OPĘTANI LITERATURĄ”
(NA)RODZINY

Organizatorzy:
Prezydent Radomia
Muzeum Witolda Gombrowicza
Patronat honorowy:
Rafa Gombrowicz

Mecenasi:
Kryzaniowski
Zakłady Automatyki
KOMBUD

Partner strategiczny:
25
Partner główny:
unidevelopment

Partnerzy:
Patronat medialny:
wyborcza.pl
KSIĄŻKI
BOOKLIPS.PL III
NOWY ŚWIAT

Patronat medialny:
wyborcza.pl
KSIĄŻKI
BOOKLIPS.PL III
NOWY ŚWIAT

Rozmawiać będziemy o tym, jak doświadczenia rodzinne kształtują teksty literackie i ich autorów, rodzinę pojmując przy tym szeroko, także jako wspólnotę narodową czy społeczną.

NASI GOŚCIE:
Jakub Nowak, Kuba Sienkiewicz, Maria Pakulnis, Łukasz Maciejewski, Roch Sulima, Eliza Kącka, Monika Ochędowska, Jan Wróbel, Michał Friedrich, Aleksandra Korczak, Maciej Robert, Aga Zaryan

OGŁOSZENIE LAUREATKI/ LAUREATA IX EDYCJI NAGRODY LITERACKIEJ IM. W. GOMBROWICZA 14 / 09/ 2024

nominowani: Iwona Bassa, Grzegorz Bogdał, Katarzyna Groniec, Barbara Klicka, Aleksandra Tarnowska

1 RP

eprasa.pl 5e30ace270

PO pomysły IDŹ POD PRYSZNIC

Nauczyciele mylą uczniów
kreatywnych z tymi,
którzy dobrze się uczą

Z PROF. **MACIEJEM KARWOWSKIM**
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

KASPER KALINOWSKI: Popularna teza głosi, że dzieci są bardziej kreatywne niż dorośli, a w późniejszym życiu kreatywność zabija edukacja formalna. Zgodziłby się pan?

PROF. MACIEJ KARWOWSKI: Nie. To mit, do tego zbudowany na dwóch poziomach. Po pierwsze, dzieci nie są bardziej kreatywne, lecz „inaczej kreatywne”, co wiąże się z ich mniejszą wiedzą, za to większą ekspresyjnością. Są spontaniczne, nie boją się zadawać pytań, powiedzieć, że król jest nagi. A ciekawość i nonkonformizm są kluczowe dla kreatywności. Jednocześnie badania wskazują na systematyczny wzrost kreatywności od dzieciństwa do wczesnej dorosłości. Kreatywność wymaga wiedzy i na niej bazuje. Wiedza zaś, a czasem i mądrość, pojawiają się z wiekiem.

Druga kwestia to znaczenie szkoły czy szerzej: systemu edukacji. Rzeczywiście szalenie popularny jest pogląd, że wszystkie dzieci rodzą się twórcze, a później idą do szkoły, która ich kreatywność tłami. To duża przesada.

Szkole można wiele zarzucić i mnóstwo należy w niej poprawić.

Zbyt często uczniom wpaja się konformizm, nie zostawia przestrzeni ani czasu na poszukiwanie i eksperymentowanie, za to uczy rywalizacji czy poluje na błędy. Ale jest i druga strona. Edukacja to trening poznawczy, wspierający myślenie i dostarczający wiedzy. W ostatnich badaniach Programme for International Student Assessment, czyli sławnych PISA, w części zorientowanej na badanie myślenia kreatywnego polscy 15-latkowie wypadli znakomicie, mieszcząc się w ścisłej światowej czołówce. Trudno byłoby to wyjaśnić, gdybyśmy przyjęli, że nasza szkoła jest tak zła, jak się mówi.

Kreatywne myślenie jest silniej, niż się powszechnie wydaje, związane ze zdolnością do uczenia się. Kreatywność to proces myślenia i generowania nowych idei. Każdy taki proces odbywa się na jakimś materiale, a edukacja tego materiału dostarcza. Tak więc, choć szkoła nie jest idealna, to kreatywności nie zabija.

Może nie szkoła w ogólności, ale zła na pewno. Pan przecież badał efekt Pigmaliona – to, jak nastawienie nauczycieli wpływa na oceny uczniów. Ono działa również w przypadku kreatywności?

– Zła szkoła czyni wiele szkód – tu zgoda. Zapewne każdy z czytelników ma szkolne doświadczenia, które najchętniej wyparłby się z pamięci.

Od dawna wiemy, że oczekiwania innych wpływają na to, jak się zachowujemy. Słynny efekt Pigmaliona pokazuje, że gdy nauczyciele są przekonani, że ich uczniowie mają szczególny potencjał, inaczej tych uczniów traktują, więc ci nie tylko odnoszą większe sukcesy, ale wręcz szybciej się rozwijają.

Z badań wiemy, że nauczyciele mają problem z rozpoznaniem kreatywnych uczniów. Mylą ich z tymi, którzy dobrze się uczą czy wyróżniają w inny sposób.

Wiemy też, że przekonania nauczycieli na temat kreatywności ich uczniów przekładają się na to, co ci uczniowie myślą o swoich twórczych możliwościach. Tak więc, jeśli nauczyciele wątpią w uczniowską kreatywność, z czasem i w uczniach to przekonanie się skurczy. Jeśli ją dostrzegają, a przede wszystkim stwarzają przestrzeń na jej wyrażanie, kreatywność uczniów może rozkwitnąć.

A ma znaczenie to, czy sami siebie uważamy za osoby kreatywne?

– Oczywiście, przekonania na własny temat mają znaczenie. Niskie poczucie sprawczości tłumi chęć działania i usztywnia. Ludzie po niepowodzeniu w zmaganiach się z jakimś problemem nie próbują po raz kolejny, nie poszukują innych sposobów, odpuszczają. Oczywiście nie chodzi o samo przekonanie, że jestem bardzo kreatywny czy kreatywna, ale o jego połączenie z faktyczną kreatywnością.

Wymowne jest wspomniane badanie PISA. Choć polscy uczniowie świetnie radzili sobie z problemami wymagającymi twórczego myślenia, ich przekonania na swój temat nie były już tak pozytywne. Nie wierzyli w siebie, choć byli naprawdę dobrzy! W dłuższej perspektywie to może prowadzić do niewykorzystania potencjału. Więc tak, to, co myślimy o sobie, ma niebagatelne znaczenie. Choć idealnie byłoby, aby nasze przekonania na swój temat nie odbiegały nadmiernie od naszych możliwości.



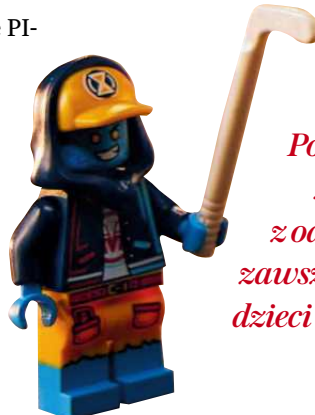
A rola kultury? W naszych zachodnich, indywidualistycznych społeczeństwach kreatywność jest cenna, ale we wschodnich, kolektywistycznych już niekoniecznie? W pańskich badaniach kreatywność postrzegano odmiennie nawet w Polsce i Niemczech.

– Zachodnie, indywidualistyczne rozumienie kreatywności jest nieco romantyczne – za kreatywne uznaje się niszczenie tego, co było, i powoływanie do życia czegoś zupełnie od nowa. Z kolei w kulturach kolektywistycznych częstsze jest traktowanie twórczości jako kontynuacji opartej na uczeniu się i szacunku wobec tego, co minęło. Jakakolwiek gwałtowna zmiana jest traktowana jako zamach na to, co było.

No właśnie, rozmawiamy już chwilę o kreatywności, ale nie ustaliliśmy jednej definicji. Czym dla pana jako eksperta jest kreatywność? Jest w jakimś stopniu powiązana z inteligencją?

– Zważywszy na rolę kultury kreatywności, mówimy często o zupełnie innym jej rozumieniu. Niemniej myślę, że dla potrzeb naszej rozmowy możemy przyjąć – i nie będzie to bardzo odległe od obecnego w nauce konsensusu – że kreatywność to proces dochodzenia do pomysłów czy rozwiązań, które są jednocześnie nowe, sensowne i adekwatne do problemu, przed jakim stoimy. Czyli to proces umysłowy, w wyniku którego powstaje sensowna nowość. Oryginalność jest niezbędna, ale gdy jest pozbawiona bezpieczeństwa w postaci sensowności, skutkuje absurdem.

Powinniśmy kwestionować założenia, nie godzić się z odpowiedzią, że jakoś jest, bo zawsze tak było. Tak zachowują się dzieci i dlatego wydaje nam się, że są bardziej kreatywne





• **LEGO DreamZzzz, seria klocków inspirowana i mająca inspirować marzenia sennie. Przy okazji firma zamówiła raport o śnieniu i kreatywności dzieci i młodzieży**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE LEGO

Osoby bardziej kreatywne pamiętają sny częściej, bardziej szczegółowo i obrazowo

Możemy też o kreatywności myśleć jako o cesze. Jedni ludzie są bardziej pomysłowi niż inni. Niektórzy mają pomysły bardziej, inni mniej zróżnicowane, bardziej i mniej oryginalne – lecz to wszystko wymiary kreatywności.

Natomiast kreatywność jest czymś odrębnym od inteligencji. Ponad 70 lat badań pokazuje, że owszem, inteligencja wiąże się z kreatywnością, ale nie są to związki silne. Jednak inteligencja, sprawność myślenia, wiedza i zdolność rozumowania są niezbędne dla twórczego myślenia.

Słyszałem kiedyś o konkretnej wartości ilorazu inteligencji, powyżej której IQ nie ma już wpływu na kreatywność.

– To tak zwana hipoteza progu mówiąca, że związki między inteligencją a kreatywnością są silne, ale wyłącznie do pewnego poziomu – 120 punktów ilorazu inteligencji. To – nawiasem mówiąc – próg wysoko ustawiony, bo takie IQ ma niespełna 10 proc. społeczeństwa. Badania pokazują, że rzeczywiście związki inteligencji z kreatywnością mogą nie być liniowe, a ich siła zależy od dziedziny, w której nasza kreatywność miałaby się realizować. Inny poziom inteligencji jest niezbędny w sztuce, inny w nauce.

Gdy nasza inteligencja jest bardzo niska, trudno jest nam być kreatywnymi, ale bardzo wysoka niczego nie gwarantuje – są ludzie bardzo inteligentni i niesłychanie kreatywni, i tacy, którzy przy wysokiej inteligencji cechują się wyjątkową nieporadnością w twórczym myśleniu.

Innego argumentu, że inteligencja i kreatywność nie są tym samym, dostarczają badania neuropsy-

chologiczne, które pokazują, jak funkcjonuje nasz mózg, gdy rozwiązujemy zadania wymagające zaangażowania inteligencji lub twórczego myślenia. W pierwszym przypadku to typowe zadania z jednym rozwiązaniem – bywają trudne, ale zwykle do rozwiązania przez krokowe rozumowanie. W drugim, gdy interesuje nas kreatywność, sięgamy po zadania otwarte i prosimy osoby badane o podanie niezwykłych zastosowań codziennych przedmiotów, przewidywanie, co by było, gdyby nagle zapadła całkowita ciemność, albo dostrzeżenie, co podobnego jest w różny i smartfonie.

Przy rozwiązywaniu obu typów zadań aktywne są sieci mózgu odpowiadające za funkcje kontrolne, monitoring tego, jak myślimy. Jednocześnie jednak kreatywność dodatkowo pobudza w mózgu obszary, które są ak-

• **„Senny” zestaw LEGO**
FOT. MATERIAŁY PRASOWE LEGO



tywne, gdy śnimy na jawie albo wyobrażamy sobie coś, czego nie ma.

Kiedyś Albert Einstein powiedział, że „twórczość to rozbawiona inteligencja” i chyba trafił w punkt. Kreatywność może wymagać inteligencji, ale się do niej nie ogranicza. Poza nią wymaga też intelektualnej elastyczności, wyobraźni, dostrzegania analogii tam, gdzie inni ich nie widzą, i wielu innych czynników.

Wspomniał pan o śnieniu. W niedawnym raporcie firmy LEGO niemal trzy czwarte polskich dzieci twierdzi, że kiedy mają szczęśliwe sny, są bardziej twórcze. Znajduje to potwierdzenie w dowodach naukowych?

– Uporządkujmy kilka kwestii. Jeżeli mówimy o roli jakości snu czy też jego odpowiedniej długości dla kreatywności, sprawa jest jasna. Dobry sen to więcej twórczych pomysłów i ogólnie lepsze funkcjonowanie.

Niektórym się wydaje, że gdy są niewyspani albo pracują nad czymś całą noc, mają lepsze pomysły. To ułuda. Sen nam pomaga wskutek dokonujących się wtedy procesów porządkowania pamięci. W czasie snu mózg pracuje, choć sobie tego nie uświadamiamy, dlatego po dobrze przespanej nocy łatwo nam sobie coś przypomnieć, kojarzyć odległe fakty, wpadać na lepsze pomysły. Często, śpiąc, zapominamy o nieudanych próbach rozwiązania jakiegoś problemu i otwieramy się na inne sposoby myślenia. Nieprzypadkowo w wielu językach mowa o przespaniu się z problemem.

Jeżeli chodzi natomiast o treści snów i o to, czy to, co się nam śni, może pomagać w rozwiązywaniu problemów czy tworzeniu, sprawa jest bardziej skomplikowana. Istnieje oczywiście mnóstwo anegdot, jak ta, w której Paul McCartney obudził się w hotelowym pokoju i zagrał całe „Yesterday”, bo usłyszał je w trakcie snu. Jest też kilka wariantów historii o tym, jak Friedrich August Kekulé zobaczył we śnie strukturę benzenu. Jednak badań nad treścią snów i kreatywnością nie ma zbyt wiele. Te, które istnieją, pokazują jednak, że już sam fakt pamiętania snów jest, niezależnie od ich treści, pozytywnie związany z kreatywnością. Osoby bardziej kreatywne pamiętają więc sny częściej, bardziej szczegółowo i obrazowo.

Ale czy szczęśliwe sny czynią nas bardziej kreatywnymi? Tak może być, ale z innych powodów, niż wydaje się dzieciom, które uczestniczyły w badaniu, o którym pan wspomina. Pozytywne emocje sprzyjają pomysłowości – otwierają nasz umysł, sprawiają, że łatwiej łączymy niepowiązane informacje. Myślimy wtedy szerzej. A szczęśliwe sny niosą pozytywne emocje, dlatego jest prawdopodobne, że rzeczywiście sprzyjają kreatywności.

W tym samym raporcie wskazano na ciekawe różnice międzypłciowe w snach dzieci. Chłopcy częściej deklarują, że czują się zaciekawieni i odważni, a dziewczynki częściej niż chłopcy śnią o rodzinie czy zwierzętach domowych. To wpływ kultury?

– Powiedziałbym, że to raczej dość ogólny wzorec różnic międzypłciowych w preferencjach i zainteresowaniach, widoczny w różnych sferach naszego funkcjonowania. Który oczywiście może być efektem socjalizacji.

Jednak z perspektywy ewolucyjnej kultura jest jedynie nakładką na naszą naturę.

– Rzeczywiście moglibyśmy poszukiwać ewolucyjnych wyjaśnień tych różnic, wskazując na funkcje pełnione przez kobiety i mężczyzn na przestrzeni dziejów. Tego wyjaśnienia nie sposób jednak empirycznie sfalsyfikować. Mamy zapewne do czynienia ze splotem ewolucyjnych i kulturowych powodów. Trzeba też pamiętać, że mówimy o średnich różnicach – wspomniane badania nie pokazują przecież, że każda dziewczynka śni o zwierzętach domowych, a każdy chłopiec o zdobywaniu nowych łądów.

A co z wpływem technologii na kreatywność? Czy smartfony, tablety i nadmiar informacji, którymi są

bombardowane dzieci, zmniejsza ich kreatywność? Nigdy w historii nie musieliśmy przetwarzać tylu informacji. To chyba na tyle angażuje i wyczerpuje mózg, że nie zaczyna mu brakować mocy na bujanie w chmurach.

– Gdybym miał odpowiedzieć krótko, powiedziałbym, że nasza wiedza na temat tego wpływu jest bardzo ograniczona. Przekonanie, że media, a zwłaszcza smartfony, zabijają kreatywność, jest powszechne. Tyle tylko, że z tego, że coś nam się wydaje, nie wynika jeszcze, że jest tak w rzeczywistości. W jednym z ubiegłorocznych badań zapytano o to ogromną, bo prawie 50-tysięczną grupę uczestników. Większość była przekonana, że smartfony tłumią kreatywność. Jednak gdy sprawdzono, czy naprawdę czas spędzany przy ekranie smartfona wiąże się negatywnie z kreatywnym myśleniem, tych relacji nie było zupełnie.

Trzeba też pamiętać, że lwia część badań na ten temat ma charakter korelacyjny – sprawdza się w nich, czy czas przy ekranie lub korzystanie z konkretnych aplikacji wiąże się pozytywnie lub negatywnie z kreatywnością. Jednak pozytywne albo negatywne relacje nie muszą świadczyć o tym, że to smartfony pomagają lub szkodzą, ale na przykład, że w określonych rodzinach panuje większe przyzwolenie na ich nadużywanie czy że więcej czasu poświęcają im osoby o określonych cechach.

Oczywiście daleki byłbym od bagatelizowania ryzyka związanego z nadużywaniem nowych technologii. Ostatnio opublikowane kilkuletnie badania na dużej grupie australijskich dzieci pokazują, że im dłuższy był czas spędzany przed ekranem w pierwszym okresie życia, tym wolniejszy był rozwój językowy. Niepokojące są też – choć mają swoje ograniczenia – wyniki badań na temat wpływu mediów społecznościowych na dobrostan młodzieży.

Jednak ważniejsze od tego, ile czasu używamy technologii, jest sposób, w jaki to robimy. Warto przyrzeć się rozwiązaniom wspierającym kreatywność wypracowanym w laboratorium Mitchella Resnicka w MIT. Zespół ten z powodzeniem wykorzystuje nowe technologie – również smartfony – aby

rozwijać wyobraźnię uczniów. Niedawno wspólnie z Centrum Nauki „Kopernik” stworzyliśmy ekspozycję, gdzie sztuczna inteligencja oceniała oryginalność rysunków tworzonych przez odwiedzających i udzielała im informacji zwrotnej, z której ludzie bardzo skutecznie korzystali i tworzyli bardziej oryginalne pomysły.

Nielatwo więc o jednoznaczne wnioski, niemniej obecny stan badań nie daje podstaw do alarmistycznych wypowiedzi, których pełno wokół. Nowe technologie to narzędzia, a narzędziami można się posługiwać i mądrze, i skrajnie głupio.

A co z zabawą? Wiemy, że jest niezbędna, nie tylko jeśli chodzi o poczucie szczęścia, ale również prawidłowy rozwój dzieci. Może więc przynajmniej w jej przypadku można wyraźnie stwierdzić, że lepsze – choćby dlatego, że angażują więcej zmysłów, ciało, spletają umysł z fizycznością – od nowych technologii są analogowe zabawy?

– Możemy stwierdzić, że są różne. Tradycyjna zabawa oparta na bezpośrednich interakcjach to inna forma aktywności niż granie online czy kontakt z botem. I dlatego tradycyjne formy zabawy lepiej działają na rozwój zachowań interpersonalnych i społecznych.

A rodzice, którzy poświęcają uwagę własnym smartfonom zamiast dzieciom? W raporcie firmy LEGO zauważono, że w Polsce rodzice spędzają znacznie więcej czasu na własnych urządzeniach cyfrowych niż na wspólnej zabawie jako rodzina. Mamy się czego obawiać?

– Nie mamy się z czego cieszyć. Dzieci uczą się przez obserwowanie tego, co rodzice robią, a nie stosując się do tego, co mówią, że należy robić. Jeżeli rodzic zasypia, patrząc w telefon, a po przebudzeniu sięgnięcie po smartfon to pierwsza rzecz, jaką robi, nie daje dobrego przykładu. Higiena cyfrowa powinna dotyczyć również rodziców.

Tak czy owak, dla większości z nas późniejsze, dorosłe życie jest pełne rutyny. Możemy jakoś zadbać o kreatywność?



Przekonanie, że smartfony zabijają kreatywność, jest powszechne. Tyle tylko, że z tego, że coś nam się wydaje, nie wynika jeszcze, że jest tak w rzeczywistości

Śpię, więc myślę

Dobranoc, pchły na noc

73 proc. dzieci uważa, że szczególne sny pomagają im być bardziej kreatywnymi, 62 proc. we śnie odkrywa nowe pomysły na rzeczy, które mogą zrealizować w rzeczywistości – wynika z przeprowadzonych w Polsce na zlecenie firmy LEGO badań o dziecięcym i nastoletnim śnieniu („LEGO DREAMZZ Global Key Findings 2023”).

Ale żeby we śnie odkrywać i wymyślać, trzeba się dobrze wyspać. A to wcale nie takie proste.

Najsłynniejsza firma zabaw-karska świata postanowiła poddeprzeć się badaniami nauko-

wymi zamówionymi u psychologów i pedagogów, wprowadzając na rynek kolekcję LEGO DreamZZ i serial o tej samej nazwie.

Institucje finansowe czy technokorporacje z Doliny Krzemowej nieraz skompromitowały ideę społecznej odpowiedzialności biznesu, więc z pewnością ktoś skrzywi się na „chytłych menedżerów”, którzy postanowili osiągnąć komercyjne cele z pomocą troski o sprawy publiczne, w tym przypadku o kondycję psychiczną i rozwój najmłodszych. Nie trzeba jednak kupować zestawu najdroż-

szych klocków, aby skorzystać ze zgromadzonej przez specjalistów wiedzy o czynnikach – nie tylko emocjonalnych, również czysto fizycznych – decydujących o tym, że śniący mózg generuje marzenia lub koszmary.

Potraktowaliśmy więc udośćniony przez markę LEGO raport jako dobry pretekst do rozmowy o tym, kiedy jesteśmy najbardziej twórczy, czy świat cyfrowy zabija kreatywność i co zrobić, żeby mieć więcej pomysłów dobrych oraz oryginalnych niż złych i wtórnych. Oraz skąd się one w ogóle biorą. ●

– Powinniśmy pielęgnować w sobie zdolność do zadawania pytań i dziwienia się. Kwestionować założenia, nie godzić się z odpowiedzią, że jakoś jest, bo zawsze tak było. Tak właśnie zachowują się dzieci i dlatego wydaje nam się, że są bardziej kreatywne.

Nie powinniśmy się też zadowalać pierwszym pomysłem, który nam przychodzi do głowy, gdy nad czymś pracujemy. Taki pomysł jest najczęściej typowy i prawie zawsze stać nas na więcej. Potrzeba czasu, aby znaleźć oryginalne rozwiązanie czy coś wartościowego wymyślić. Czasem mamy wrażenie, że pomysły na nas spływają, pojawiają się nagle. Jednak najczęściej dzieje się to w pewnych okolicznościach – gdy jesteśmy na spacerze lub zajmujemy głowę czymś innym. Chodzi o drobne hobby, robienie czegoś, co wykracza poza codzienną rutynę i pozwala czerpać z różnych doświadczeń. Badania pokazują, że tak samo jak sen chodzenie na spacer i spędzanie czasu z własnymi myślami – niekoniecznie ze słuchawkami w uszach i smartfonem przed oczami – sprzyja kreatywności.

Gdy studiowałem filozofię, jeden z wykładowców mawiał, że jeśli nie możemy wpaść na rozwiązanie, trzeba iść pograć w piłkę. Zadziała?

– Nie zaszkodzi. Żartobliwie mówi się, że kreatywność wzmaga 3S – „shower, sport and sleep”, czyli „prysznic, sport i sen”. Zdarza się, że wpadamy na pomysły, nie myśląc o problemie. Gdy zaczynamy się zajmować czymś innym, praca nad problemem w naszym umyśle się nie zatrzymuje. Dlatego, zamiast tkwić w martwym punkcie, czasem lepiej nieco odpuścić. Takie odpuszczenie, właśnie przez spacer, sport, prysznic czy sen, bywa dla kreatywności bardzo pożyteczne. Oczywiście nie mamy gwarancji, że zadziała, ale zwiększa szanse.

A kreatywność na poziomie życia akademickiego i zawodowego? Ludzie kreatywni odnoszą większe sukcesy? Badał pan to na przykładzie polskich uczniów?

– W funkcjonowaniu szkolnym znaczenie inteligencji jest większe niż kreatywności. Kreatywność pomaga w nauce, ale inteligencja odgrywa pierwszoplanową rolę, podobnie jak systematyczność czy dobrze zorganizowany proces uczenia się. Jednak te wagi zmieniają się wraz z kolejnymi etapami edukacji – im dalej na drodze edukacyjnej jesteśmy, tym ważniejsza kreatywność.

Z kolei praca naukowa to jedna z tych dziedzin twórczości, gdzie kreatywne myślenie jest niezbędne. Jeżeli chodzi o sukcesy zawodowe, to kreatywne myślenie jest motorem radzenia sobie w biznesie i inicjowania innowacji, o ile oczywiście otoczenie prawne i społeczno-ekonomiczne temu sprzyja. Dlatego niektóre kraje czy rządy uczyniły ze ściągania najbardziej kreatywnych studentów czy pracowników sposób na rozwój gospodarki. Nie wystarczy być pomysłowym, trzeba mieć warunki do tego, żeby tę pomysłowość wykorzystać.

Ogólnie: nie ma dziś specjalnych wątpliwości, że kreatywność daje korzyści – ekonomiczne, społeczne, psychiczne.

A co z rzeczami, na które nie mamy wpływu, jak osobowość? Wpływa na to, jak twórczy jesteśmy?

– Osobowość oczywiście ma znaczenie, ale nie wynika z tego, że nie mamy wpływu na to, jak kreatywni będziemy. Kreatywność daje się rozwijać i pobudzać, mamy na to wiele dowodów. Istnieją cechy osobowości, które kreatywności służą. Ciekawość, niezależność czy otwartość na świat – chęć jego poznawania, uczenia się nowych rzeczy – to niewątpliwie cechy ludzi twórczych.

Poziom naszej kreatywności nie jest jednak określony raz na zawsze. Wiele zależy od sytuacji, emocji, jakie odczuwamy, chwilowego zastrzyku energii albo zmęczenia czy chęci angażowania się w wymagające poznawczo zadania. Nie ma jednego czynnika, który wyznaczałby poziom naszej kreatywności ani genu, który by za nią stał. Na szczęście. ●

Prof. Maciej Karwowski

• pracownik Instytutu Psychologii Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie kieruje Zakładem Psychologii Twórczości, redaktor naczelny „Journal of Creative Behavior”. Autor kilkuset prac naukowych poświęconych uwarunkowaniom, rozpoznawaniu i wspieraniu rozwoju kreatywności dzieci, młodzieży i dorosłych.

Z taksówki wysiadam mądrzejszy

Unikanie zdania przeciwnego to wyraz naszej słabości i strachu ALBO Popper zostałby u nas okrzyknięty symetrystą



Marcin Matczak

Niektóre aplikacje do nauki języków obcych przez internet mają liczniki pokazujące procent czasu, kiedy mówisz ty, i procent czasu, gdy mówi twój nauczyciel. Wygląda to jak informacja o posiadaniu piłki w czasie meczu. Chodzi oczywiście o to, żeby mówić więcej i częściej niż nauczyciel, bo on język, którego się uczysz, już zna, a ty nie.

Nieraz chciałbym taki licznik zamontować w taksówce, żeby mierzył proporcję czasu, kiedy mówię ja i kiedy mówi taksówkarz. Bez względu na kraj taksówkarz zdecydowanie wygrywa w posiadaniu głosu, i to przynajmniej – pewnie 80 do 20, a w porywach i więcej. Inaczej niż w przypadku nauki języka dla mnie to dobrze. Ja dowiaduję się o świecie sporo od niego, on niewiele, nie jest zresztą zazwyczaj zainteresowany. Ja po kursie wysiadam mądrzejszy, on kończy kurs tak samo mądry, jak zaczynał.

Piszę o taksówkarzu, ale myślę o wymianie myśli. Kiedy cały czas mówisz, tylko potwierdzasz to, co już wiesz. Podobnie, kiedy wprowadzisz słuchasz, ale tylko kogoś, z kim się zgadzasz. To także sposób mówienia do siebie, tyle tylko, że ustami innego człowieka. To takie mówienie do lustra, groźne podobnie jak picie do lustra.

Napisał mi czytelnik, że go zawiodłem: „Jeszcze niedawno szukałem Pana w mediach, a te-

raz unikam”. Dlaczego szukał, a teraz unika? Pewnie dlatego, że kiedyś słuchało i czytało mu się komfortowo, więc tego komfortu szukał. A było komfortowo, bo się zgadzaliśmy. Szukał więc tak naprawdę potwierdzenia, że ma rację. A teraz, kiedy różnimy się w opiniach, woli szukać potwierdzenia, że ma rację, gdzie indziej. I unika dyskomfortu zderzenia z inną myślą.

Szukanie potwierdzenia, że ma się rację, to prosta droga do błędów poznawczych. To takie gadanie do siebie albo o sobie, jak to gadanie taksówkarza, typowe dla współczesnych baniek informacyjnych. One są jak studnie, w których słyszymy jedynie odbicie swego własnego głosu. Nawet jeśli technicznie to głos innych, chcemy, żeby mówił to samo co my. W ten sposób jest komfortowo, ale niezbyt mądrze. Bo pływamy ciągle w tej samej, coraz bardziej mętnej wodzie idei, uprawiamy upośledzający myśli wsobny chów opinii.

Nie bez powodu sir Karl Raimund Popper, ten sam austriacki myśliciel, który napisał jedną z najważniejszych antytotalitarnych książek XX wieku, czyli „Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie”, zajmował się także metodologią nauki – a więc po ludzku tym, jak poszukiwać prawdy.

Popper pisał, że rolą nauki jest nie potwierdzać, ale falsyfikować – a więc zadawać kłam twierdzeniom, szukać dowodów na to, że są błędne. Dlatego naukowcy powinni się skupiać na szukaniu dowodów przeciwko swoim tezom – kiedy skupiają się na ich potwierdzeniu, łatwo popadają w efekt, nomen omen, potwierdzenia: przeceniają argumenty wykazujące genialność ich myśli, nie doceniają tych, które wykazują tych myśli wybrakowanie.

„Dobre testy zabijają błędne teorie – my pozostajemy przy życiu, żeby zgadywać dalej”. Jest w tym podejściu dużo pokory i świadomości, że świat jest trudny do zrozumienia, a nauka jest naszym wspólnym wysiłkiem, w którym wspieramy się nie klepaniem się po plecach, ale krytyką.

To samo dotyczy dyskusji nienaukowych – tych w taksówce i w mediach społecznościowych. Gdy mówimy, zamiast słuchać, nie usłyszymy krytyki. Gdy szukamy potwierdzenia tego, co już wiemy, zamiast poddawać to ciągłym testom, ryzykujemy, że będziemy trwać w błędzie. Ciągłe jednak wolimy czytać i słuchać ludzi, z którymi się zgadzamy, ciągle trwamy w tych studniach, w których odbija się nasz własny głos. Dlaczego?

Bo kontakt z innością boli. Może wymagać czasami przyznania, że jesteśmy idiotami, że – choć wydawało się, że mamy niepodważalną rację – było inaczej i rację miał ten po drugiej stronie. A to przecież takie niemiłe przyznać się do błędu. Szukanie potwierdzenia to wyraz naszej słabości i strachu. Unikanie zdania przeciwnego to tak naprawdę drżenie, że ktoś może mi wykazać, że jestem głupcem. A tego przecież nikt nie chce.

W dobie baniek internetowych trzeba się nieźle napracować, żeby w stęchłej studni własnych myśli i słów mieć dostęp do świeżego powietrza odmienności. Czy na twoim biurku obok „Wyborczej” leży „DoRzeczy”? A może powinno? Żeby sprawdzić, co myśli ten „inny”? Z drugiej strony czy zagorzały miłośnik TV Republika powinien wynieść ze szkoły, że dla płodozmianu myśli warto co drugi dzień obejrzeć „Fakty” w TVN? Pewnie tak.

Jest jednak inaczej. Mamy nasze teorie i będziemy się ich trzymać, nawet jeśli są błędne. Bo przecież są nasze. I nawet jeśli zgadzamy się, że trzeba promować krytyczne myślenie, w praktyce stosujemy je do innych, nie do siebie.

Popper zostałby z pewnością u nas okrzyknięty symetrystą. Kariera tego słowa, które nic nie wyjaśnia, a wszystko zamazuje, jest dowodem, jak bardzo nie umiemy myśleć w sposób złożony. Symetrysta dla Poppera to byłby ktoś, kto dopuszcza możliwość, że jesteśmy w błędzie – a więc ktoś, kto szuka prawdy. Tymczasem symetrysta u nas to człowiek, który jakoby prawdę zaciemnia. Bo przecież wia-

domo, że ta jest tylko jedna – czyli nasza. I nikt z drugiej strony, nawet w tym stopniu, nawet kawałek racji mieć nie może.

Jest w tym oczywiście jakaś smutna racjonalność, bo ten po drugiej stronie, jak mu się rację w 1 procencie przyzna, od razu krzyczy: „A nie mówiłem?! Mam ją w 100 procentach!”. Ale tak już jest, jak normalna debata zamienia się w wojnę religijną, w której najmniejsza różnica zdań staje się od razu herezją i prowadzi do schizmy. W niczym to samozadowolenia ze swoich poglądów nie uzasadnia.

Zakończę w tonie osobistym. Szanowny Czytelniku, który w komentarzach coraz częściej każe mi się zamknąć, rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady – może jednak powinienes zacisnąć zęby i hartować rozum inną myślą, tak jak morsy hartują się zimną wodą?

Ja oczywiście mogę pisać komfortowo, podlizując Ci się i szukając intelektualnego sojuszu, ale po co? Od tego masz innych ludzi. Przecież ja to robię dla Twojego dobra. I jeszcze mi kiedyś za to podziękujesz. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „Kraju, w którym umrę”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl. Poprzednia – „Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości” – nadal w księgarniach i w wersji cyfrowej na Publio.pl. A już w środę 11 września nakładem Znaku ukaże się kolejna – wspólna książka Marcina Matczaka i Marcina Makowskiego „Jak zatrzymać koniec świata. Rozmowy o religii, prawie i polityce”.



Okazałość

„Pani” i „pan” mogą być komplementami, jednak „pani” Kaczyńskiego to nonplement



Michał Rusinek

Wyjedzie człowiek na mikrourlop, odetnie się na tydzień od wiadomości z Polski, ale zaraz po powrocie runie na niego z głuchym łoskotem metafora prezydenta Andrzeja Dudy, który w kondolencjach po tragicznej śmierci strażaków w Poznaniu napisał, że „nadzieja na odnalezienie ich żywych tliła się do samego końca”. Niefortunność tego stwierdzenia dzielnie konkuruje z niefortunnością frazy pewnego dziennikarza chwalejącego niegdyś brawurę męzczyzny, który „wyniósł z pożaru swoją świeżo upieczoną małżonkę”. Naprawdę, warto czytać to, co się napisało, zanim się wcisnie enter. Zwłaszcza jeśli się pisze o prawdziwej tragedii.

Przywrócił mnie też gwałtownie do rodzimej rzeczywistości Jarosław

Kaczyński, który na antenie Radia Maryja podjął się zdefiniowania idealnego kandydata na prezydenta RP w przyszłorocznych wyborach. Właśnie kandydata, a nie kandydatki, gdyż nie widzi w tej roli kobiety. Uzasadnił to następująco: „W tym czasie wojennym wydaje nam się, że kobieta nie miała by wielkich szans. Trudno mi nawet wyobrazić sobie model tej pani, która byłaby kandydatką”. Czy to znaczy, że kobieta prezydentka nie miałaby szans, gdyby wybuchła wojna? Czy też chodzi o to, że w sytuacji zagrożenia wojną wyborcy i wyborczynie woleliby mieć męczyznę za prezydenta? Cóż, historia podpowiada, że kobiety stały na czele państw biorących udział w wojnach, a nawet nieźle sobie radziły, chodzi więc raczej o stereotyp: wojna to rzecz męska. Wydaje mi się, że Kaczyński czyta i ogląda wiadomości międzynarodowe, powinna mu się więc rzucić w oko kampania prezydencka w Stanach Zjednoczonych, w której kobieta nie tylko bierze udział, ale i wysuwa się na prowadzenie w sondażach. On jednak nie tylko nie wyobraża sobie pisowskiej odpowiedniczki Kamali Harris, ale i jej „modelu”. Czy to oznacza, że ma tak niskie mniemanie o członkiniach swojej partii i uważa, że wśród nich nie ma takiej, która pasowa-

łaby na to stanowisko w obecnych czasach? Czy też w ogóle nie sądzi, by kobieta nadawałaby się do roli prezydenta, a właściwie – za przeszczeniem – prezydentki? Sugeruje to wyraz „pani”, który w tym przypadku jest wyrazem neggingu, czyli dwuznacznym komplementem zwanym nonplementem. Teoretycznie bowiem mówienie o kobietach „panie” jest wyrazem uprzejmości, ale tylko jeśli równocześnie o męczyznach mówi się „panowie”.

Kiedy jednak mówimy z jednej strony o „kandydacie na prezydenta”, a z drugiej o „pani”, której sobie w tej roli nie wyobrażamy, to jest już rodzaj – łagodnie rzecz ujmując – pobłażliwości. Wyobrażmy sobie sytuację odwrotną: gdyby ktoś powiedział w tym samym zdaniu o „kandydatce na prezydentkę” i „panu, którego modelu nawet sobie nie wyobraża”, jak byśmy to odebrali? „Pani” i „pan” brzmią uprzejmie, mogą nawet być komplementami, ale w tym przypadku są nonplementami. Słownikowym przykładem nonplementu jest powiedzenie komuś, że wygląda świetnie jak na swój wiek albo że świetnie prowadzi kampanię prezydencką jak na kobietę. Słowo „nonplement” pojawiło się stosunkowo niedawno, choć zjawisko neggingu wcale nowe nie jest. Wprawdzie „nonplement” nie został jeszcze słowem roku, ale jeśli kiedyś zostanie, to prezes PiS ma szansę być wówczas intensywnie

cytowany – jako polityk, który opowiadał sztukę nonplementowania do perfekcji.

Nie wybiegajmy jednak w przyszłość. Wróćmy do wypowiedzi Kaczyńskiego, który – odrzucając myśli o kandydatce na najważniejszy urząd w państwie – skupił się na modelu kandydata: „Z mężczyzną to wiadomo. Musi być młody, wysoki, okazały, przystojny”. Brzmi to jak szkolny opis wyglądu zewnętrznego bohatera powieści, choć wyobrażam sobie, że gdyby Kaczyński napisał tak w wypracowaniu, to nauczyciel lub nauczycielka zakreśliliby na czerwono przymiotnik „okazały” jako nieadekwatny. Człowiek nie może być bowiem „okazały”; przymiotnik ten dotyczy jakości, wielkości lub intensywności materii: „okazały” może być strój, ołtarz, nagrobek czy portal. „Okazały” oznacza „mający imponujące rozmiary; potężny, okazały”, więc ewentualnie może dotyczyć jakiejś części ciała człowieka. Nie wnioskujmy, że zauważamy, że Freud także zaznaczyłby ten przymiotnik na czerwono i uznałby go za znaczącą czynność pomyłkową. Pomijając konteksty erotyczne, zapewne potraktowałby całą wypowiedź Kaczyńskiego jako swego rodzaju projekcję ego autora. Pisarskie fantazjowanie ponoć polega na tym, że wyobrażamy sobie swojego bohatera jako kogoś, kto ma te cechy, które sami chcielibyśmy mieć. I nie dotyczy to wyłącznie fizjonomii. Kaczyński snuje

dalej swoją wizję: „Musi też mieć rodzinę. Musi znać bardzo dobrze język angielski. Najlepiej, jakby znał dwa języki. Mamy kandydatów, którzy są doskonali i w angielskim, i francuskim”. Co więcej: „Musi być obyty międzynarodowo. To powinien być człowiek, dla którego świat nie jest czymś obcym, który bywał na konferencjach, wykładach”. Cóż, delikatnie mówiąc, Jarosław Kaczyński nie opisuje tu sam siebie. Ewentualnie – jakiegoś swojego awatara, choć nie sprawa on wrażenia człowieka, który gustowałby w grach RPG. Podejrzewalbym go już raczej, że mógł oglądać filmy Jamesa Camerona.

W pewnej chwili Kaczyński orientuje się jednak, że pod wpływem jego słów przed oczami słuchaczy Radia Maryja zaczyna majaczyć wysoce niepożądana postać Rafała Trzaskowskiego! Postanawia więc jednym gwałtownym, acz dość nieporadnym gestem wywołaną przez siebie fatamorganę rozwiązać: „Tak jak ten prawdopodobny przeciwnik w drugiej turze”. Dodaje później, że „z naszych badań wynika”, że Trzaskowskiego oceniają dobrze wyłącznie ludzie, którzy nie mieszkają w Warszawie, gdzie jest prezydentem, a to „wielkie nieporozumienie”. W domyśle: w przeciwieństwie do obecnego prezydenta RP, uwielbianego zarówno w kraju, jak i w samej stolicy. Prezydent kolejny powinien po prostu być jego ulepszoną – fizycznie i językowo – wersją. ●

TAŃCZY, ŚPIEWA, SPRZEDAJE



Nie jestem w stanie zgłębić fenomenu Julii Żugaj. Największym jej atutem jest to, że w ogóle istnieje i daje się wielbić dzieciakom. Za odpowiednią opłatą.

Jarek Szubrycht

Kto może być największą gwiazdą kolejnej edycji „Tańca z gwiazdami”? Majka Jeżowska, Olga Bończyk i Maciej Zakościelny to znane twarze, obstawiałbym jednak Julię Żugaj, która ma legion wiernych żugajek czekających na każdy jej rozkaz.

Dziś mało to ciekawe, czyli Julia Żugaj śpiewa

Ma 24 lata i dwie dekady doświadczenia na scenie.

Zaczynała jako czterolatka w zespole dziecięcym Wesołe Nutki działającym w jej rodzimych Żorach. W 2018 roku za-

częła regularnie karmić internet filmikami nagrywanymi z młodszą siostrą Sonią. Korzystały z platformy Musical.ly, później wchłoniętej przez TikToka.

Można więc powiedzieć o Żugaj, że jest tiktokerką od zawsze, czuje się w tej formule jak ryba w wodzie – tańczy, wygłupia się, prezentuje ciuchy, makijaże oraz przedmioty, do których kupna zachęca swoich odbiorców. A tylko w tym jednym serwisie obserwuje ją 3,8 mln ludzi. Co dziesiąty Polak.

Oczywiście, nie takie zasięgi zbudowano. W maju 2018 r. miała na Musical.ly 100 tys. obserwujących, we wrześniu tego samego roku podpisała swój pierwszy kontrakt z agencją promującą internetowe sławy, w 2019 r. już jeździła po Polsce na spotkania z fanami w centrach handlowych.

Jej rozpoznawalność skoczyła w 2020 r., kiedy została częścią Team X, konkuren-

cji słynnej Ekipy. Jedni i drudzy bawili się w youtube'ową mutację „Big Brothera” – internetowi celebryci mieszkali w luksusowej willi i dawali się podglądać ciekawskim dzieciakom.

Team X została zmieciona przez pedofilską aferę zwaną Pandoragate, ale Żugaj nie była w to zamieszana. Była już zresztą na swoim, pozycjonując się przede wszystkim jako piosenkarka. Nie, żeby muzyka miała przynieść Julii sławę, bo przecież była popularna – zdaje się, że śpiewanie miało być treścią, która wypełni tę formę. A przy okazji kolejnym źródłem dochodu: za samą wejściówkę na koncert trzeba było zapłacić ponad 100 złotych, a jeśli ktoś chce spotkać Julię, musi uiścić dodatkową opłatę, znacznie wyższą. Mimo słonych cen bilety są rozchwytywane. Już pierwsza trasa świeżo upieczonej wokalistki przyciągnęła ponad 10 tys. widzów. W większości małoletnich i fanatycznie zakochanych w niej dziewcząt nazywających same siebie żugajkami.

Choć Żugaj nagrywa piosenki, kręci teledyski, wydaje płyty i koncertuje, muzyka nie jest jej żywiołem. Po przesłuchaniu „Miłostek”, debutującego minialbumu artystki z 2022 r., człowiek tęskni za dojrzałością sanah, charyzmą Blanki i głębią tekstów Young Leosi. „Zaczęło się od kilku wspólnych zdjęć/ W tych samych miejscach spotykałam cię/ Niby przypadkiem, ale jednak nie/ Zabrałeś mnie na kawę/ Dziś mało to ciekawe” – eee, nie, skąd. Bardzo fascynujące.

Podstawowa różnica pomiędzy wspomnianymi paniami a bohaterką tego tekstu polega na tym, że Żugaj nie kreuje się na królową podkreślonego używkami ba-

lu, nie epatuje seksualnością. Produkowany przez nią content jest może i nijaki, ale za to family friendly, czyli – tłumacząc branżowy żargon – treści są odpowiednie nawet dla nieletniego odbiorcy, dla całej rodziny. Dosłownie – na początku 2023 r. ukazał się singel „Rodzina”, którego refren nie pozostawia wątpliwości: „Tak mi dobrze, kiedy mam tu was/ Za wiarę w marzenia moje/ Jestem od serca wdzięczna wam/ A kiedy przyjdzie nowe/ Siłę w sobie mam”.

W sielskim teledysku wystąpiła Julka z mamą i siostrą, choć w rolach głównych są stroje wszystkich pań. „Podobają Wam się ubrania w teledysku? Kupicie ją na mojej szafie Vinted. Obserwujcie moją szafę...” – czytamy pod klipem. W tekście zresztą też pada nazwa serwisu, kompletnie bez sensu, ale nie sposób tego przeoczyć: „W końcu mogę czuć się sobą/ Chodź tych masek tyle mam/ Jak na Vinted życie nowe/ Zobacz jak”.

Tak miało być

Popularność to waluta, którą Julia Żugaj wymienia na środki płatnicze, podpisując szereg kontraktów reklamowych. Promowała już internetowe platformy sprzedażowe, smartfony i podpaski, była ambasadorką parówek, wyśpiewywała zalety mlecznych koktajli jednej z sieci fast foodów. Swoją twarzą firmuje też kosmetyki, m.in. krem do rąk z ekstraktem z pomarańczy i balsam do ust o zapachu lodów waniliowych. A właśnie, w ubiegłym roku duża sieć handlowa wprowadziła do sprzedaży lody na patyku firmowane przez Żugaj – o smaku kwiatu pomarańczy i czekolady.

W księgarniach można znaleźć „Tak miało być”, czyli debutującą powieść Julii Żugaj napisaną niby przez Przemka Corso, ale ponoć według jej pomysłu, więc przede wszystkim przez nią firmowaną. Bohaterką książki jest nastoletnia Mia mieszkająca w New Jersey. Jej pasją jest baseball, a jej

życie odmienia sprowadzenie się do miasteczka tajemniczego rodzeństwa...

To oczywiście literatura young adult, przez krytyków wysmiewana lub ignorowana, przez młodych czytelników rozchwytywana.

Kolejnym biznesem influencerki jest oferta turystyczna skierowana wyłącznie do żugajek. Majówkę z Julią Żugaj można było w tym roku spędzić za 1899 złotych, za obozy tygodniowe – letnie i zimowe – trzeba zapłacić blisko 3 tysiące. Oczywiście, nie oznacza to nielimitowanego kontaktu z idolką, ale spotkanie, owszem, zawsze jest w planach, a na nim możliwość zadania pytania, do tego 15 sekund na nagranie wspólnego TikToka (z ustalonymi wcześniej układami tanecznymi) i kilka kolejnych na zrobienie zdjęć. Na ostatniej majówce dokładnie czterech. Dwa z Julką i Kamilem (owczarkiem, tiktokerem, przyjacielem Żugaj), jedno z Julką i jedno dodatkowe, np. selfie z Julką.

Z internetowych filmików dowiadujemy się, jak to wygląda: główna bohaterka stoi pod okolicznościową ścianką, w kolejce czeka zastęp fanek i każda ma do wykorzystania kilkanaście sekund. Może zdecydować, jak zapoznać z idolką, czy chce „przytulaskę”, „duże serduszko”, „małe serduszko” czy może „rączkę”. Jeśli jakieś zdjęcie nie wyszło, można powtórzyć dopiero po usunięciu nieudanego. Nasz klient, nasz pan, ale porządek musi być.

Tego rodzaju spotkania z Żugaj, podczas których można nabyć słodkie zdjęcie z influencerką i jej autograf, odbywają się też po koncertach, organizowane są również w galeriach handlowych jako osobna atrakcja. Setki polskich nastolatków mają już wspólną fotę z Julką, na której wyglądają jak najlepsze psiapsi.

Łatwo to obśmiać, ale choć wspólny czas z idolką jest na wspomnianych obozach ściśle reglamentowany, dzieciaki

Co mnie urzekło

Dlaczego flamingi są różowe

Nie zdecydowaliśmy się na
świnę morską z grilla.

PRZEMYSŁAW URBĄCZYK

Raz na kilka(naście) lat zakwita, przekształcając się w pokryte milionami różowych, żółtych i fioletowych kwiatów desierto florido. To skutek El Niño – ulewnych deszczów, które budzą uśpione w ziemi nasiona. Trzeba mieć dużo szczęścia, aby zobaczyć to nieprzewidywalne zjawisko w wielkiej skali – ostatnio w listopadzie 2015 r.

Rośliny piją mgłę w Atacamie

Atacama jest terenem bardzo zróżnicowanym, obejmuje kilka stref wysokościowych, a więc i klimatycznych, rozłożonych od nadmorskich równin do Puna de Atacama, czyli pustyni wysokogórskiej obramowanej szczytami pokrytymi całorocznym śniegiem. Daje to imponującą średnią wysokość aż 2240 m n.p.m.

Turyści często o tym zapominają, gdy wyjeżdżają latem z upalnego San Pedro de Atacama – administracyjnej stolicy regionu. A kiedy nabiera się szybko wysokości, odczuwa się nieuchronnie szybki spadek temperatury. Mnie to też zaskoczyło, kiedy chciałem się obmyć w pozostałym po niedawnym deszczu górskim oczku wodnym, które okazało się pokryte warstwą lodu.

Atacama to jeden z najsuchszych rejonów Ziemi – niektóre miejsca są wręcz pustynią absolutną, bo nigdy (!) nie zanotowano tam opadów. Występujące wyspowo trawy i porosty czerpią wodę niemal wyłącznie z częstej tam mgły, która też trochę nawilża cienką warstwę glebową. Nie poprawiają sytuacji hydrologicznej duże jeziora, bo są to solanki. Te, które nie są odpowiednio zasilane góorskimi wodami roztopowymi, zmieniają się w biologicznie martwe białe pokłady soli.

Podobnie jak z kwiatami pustynia nie kojarzy się nam też z bogactwem świata zwierzęcego. I w tym też Atacama jest specyficzna. O ile odporne na upływ czasu formy przetrwalnikowe pozwalają utrzymać się tam roślinom ewolucyjnie przystosowanym do życia, o tyle na dłuższe przeczekanie nie mogą liczyć zwierzęta, bo cały czas muszą podtrzymywać swoje funkcje życiowe. O dziwo jest ich tam całkiem sporo i łatwo je dostrzec.

Lama pluje na zorro

Najpospolitsze są lamy, które trzymają się raczej niższych partii. W dużo większych wysokościach (powyżej 3500 m n.p.m.) gustują alpaki. Ich wełna jest ceniona, bo pozbawiona lanoliny ma właściwości hipoalergiczne.

Jedne i drugie darzą naturalną awersją drapieżniki psowate, np. duże pustynne lisy, czyli zorro, przed którymi bronią się, kopiąc i pluąc. Pełnią więc czasem funkcję strażników owczych stad.

Najtrudniej spotkać przedstawicieli trzeciego gatunku tamtejszych wielbłądowatych, czyli wikunie, które czasem zapuszczają się na tereny wyglądające na całkowicie jałowe. Tkaniny z ich niezwy-



• Pustynia Atakama w Chile: flamingi w słonej Lagunie de Lija (4300 m n.p.m.)

FOT. PRZEMYSŁAW URBĄCZYK

kle delikatnej i trudno dostępnej wełny biją rekordy cenowe, a za wykonaną z nich odzież trzeba zapłacić co najmniej kilkanaście tysięcy euro!

Atacama obfituje w ciekawą awifaunę, uprzywilejowaną posiadaniem skrzydeł, które w razie potrzeby pozwalają ptakom sprawnie zmienić środowisko na bardziej przyjazne. Z jakiegoś powodu nie korzystają jednak z tej opcji i trzymają się zimnej pustyni, jak para mew andyjskich, która na prawie 4000 m n.p.m. stawiała czoła porywistemu wiatrowi, stojąc na częściowo pokrytej lodem wysepce słonego jeziora Salar de Talar. Podobne upodobanie w zimnie mają gęsi andyjskie.

Wyżej, bo ponad 4300 m n.p.m., leży słona Laguna Leija, którą upodobały sobie różowe flamingi znane z tego, że łączą się w pary na całe życie i organizują żłobki dla swoich piskląt.

Jeszcze wyżej położone jest kalderowe jezioro Salar de Tara. Tamtejszy rezerwat przyrody nie bez powodu nazwano Reserva Nacional los Flamencos, bo roi się tam od brodzących w płytkiej wodzie flamingów chilijskich. Niewątpliwie do słonych jezior przyciąga je obfitość pożywnych skorupiaków, które odfiltrowują sobie z wody z pomocą wyspecjalizowanych w tym celu dziobów. Co ważne, te drobne organizmy solankowe zawierają karotenoidy, które nadają flamingom ich charakterystyczne różowe ubarwienie.

Futrzaną tukotuko dba o dzieci

Jednak naszą uwagę przyciągnęły tam nie te duże zwierzęta i ptaki, lecz niepozorny gryzoń, który nie przejmując się naszą obecnością, nerwowo wybiegał z i wbiegał do swojej nory, a zimny, porywisty wiatr rozwiewał mu futerko. Gdyby nie owłosiony ogon, przypominałby kształtem ciała dobrze nam znaną w Polsce wielką świnkę morską, którą od niedawna należy nazywać kawią domową (*Cavia porcellus*).

Na obszarze andyjskim kawie hodowane są na mięso jak nasze kurczaki i widok kobiety z workiem kwiczącego towaru na

nikim nie robi tam wrażenia. Tylko turyści mają opory przed zamówieniem w restauracji lokalnego przysmaku chupa de cuy, czyli zupy kawiowej, lub robiącego upiorne wrażenie całego zwierzątka upieczonego razem z głową na grillu.

Tubylec zapytany o zwierzę, które zobaczyliśmy w Salar de Tara, nazwał je chululo, co chyba można przetłumaczyć na „psotnik”. Po powrocie sprawdziłem, że był to andyjski gryzoń o wdzięcznej nazwie tukotuko płowy (*Ctenomys fulvus*).

Na nas ten futrzasty mieszkaniec zimnego pogórza zrobił wrażenie uroczego szaleńca, który nie zważając na zimno, wichurę i kręcących się w pobliżu ludzi, zapamiętał się w mechanicznie powtarzanych czynnościach. Dopiero bliższa obserwacja ujawniła, że zwierzątko (o nieustalonej płci) systematycznie znosiło do nory żdzbla zrywanej w pobliżu trawy, niewątpliwie moszcząc pod ziemią wygodne legowisko dla siebie i swoich dzieci.

Porywisty wiatr, rozwiewający jego/jej futerko, ujawnił charakterystyczne dla wielu dzikich zwierząt umaszczenie nazywane aguti, od zwierzęcia występującego w całej Ameryce Łacińskiej. Strefowe rozmieszczenie we włosach barwiących je melanin daje specyficzne warstwowanie kolorystyczne z ciemnym poszyciem i płową powierzchnią futra.

Przez dłuższą chwilę patrzyłem jak urzeczony na zwierzątko, który był tak zajęty swoimi pilnymi sprawami, że nie zwracał uwagi na stojącego w pobliżu dwunogiego olbrzyma. Był uroczy w swoim zapamiętaniu. W przeciwieństwie do mnie nie miał problemów ani z rozrzedzonym powietrzem, ani z zimnem, ani z pozornie niegościnnym krajobrazem.

Całkowicie inne zaskoczenie czekało nas w miasteczku Talabre Viejo, gdzie do sklepu spożywczego wkroczyła nagle niewielka kózka. Okazało się, że z jakiegoś powodu nabrała cech psa i przez cały dzień towarzyszy swojej pani, nie odstępując jej na krok.

Czyż fauna Atacamy nie jest fascynująca? ●

się nie nudzą. Uczestniczą w warsztatach tworzenia biżuterii, tańczą i śpiewają, poznają tajemnice social mediów i podstawy influencerskiego fachu... Wnioskując z komentarzy rodziców, wracają do domów zadowolone, a miejsca na kolejne obozy wyprzedają się w kilka minut.

Czy żugajki obsługują piloty?

Oczywiście, od miłości do nienawiści niedaleka droga. „Nie mogę, myszeczko, pozdrowić dzisiaj, tylko podpisy” – powiedziała Żugaj małoletniej fance proszącej o nagranie pozdrowienia dla koleżanki. Było to wiosną 2024 r. na targach książki w Poznaniu. Gwiazda umówiła się z organizatorem, że nie będzie spełniać wszystkich życzeń, żeby rozładować tasiemcową kolejkę, ale wrzucony do sieci filmik nie pokazuje kontekstu. Część żugajek poczuła się dotknięta i pod postami Julii zaroilo się od złośliwych komentarzy w rodzaju: „Przepraszam, myszeczko, nie mogę dzisiaj polubić”.

Podobno influencerka ciężko znosi tego rodzaju przygody, mimo lat spędzonych w internecie nie przywykła też do bezinteresownego hejtu. Pewnie zdaje sobie sprawę z tego, że kontrowersje napędzają zainteresowanie, które daje jej chleb, ale ona ma być z założenia niekontrowersyjna, ma być dla swoich wielbicieli żywą maskotką. Przytulasek, serduszko, rączka.

Julia Żugaj jest wielka w sieci, uwielbiają ją dzieci i nastolatki, ale czy jej magia zadziała przeniesiona do starej, pocziwej telewizji i „Tańca z gwiazdami”? Czy żugajki potrafią obsługiwać piloty od telewizorów i będą chciały zasiadać na kanapach do oglądania programów o konkretnych godzinach, jak robią to starzy ludzie w ich domach? Obserwowanie tego eksperymentu może być znacznie ciekawsze niż zwracanie uwagi tylko na to, czy influencerka prawidłowo wykonała wszystkie figury w paso dobre. ●

JESSE PLEMONS POTRAFI PRZERAZIĆ

Zapada w pamięć,
nawet gdy pojawia
się tylko na parę
minut



FOT. COREY NICKOLS/GETTY IMAGES

Piotr Guskowski

Połączyła ich zbrodnia w mroźnej Minnesocie. Kirsten Dunst i Jesse Plemons poznali się w 2015 r. przy pracy nad drugim sezonem „Fargo”. Byli na różnych etapach kariery. Ona dawno zbudowała swoją markę w Hollywood, on dopiero to robił. Zagrali małżeństwo z sennego miasteczka, które niespodziewanie znajduje się w środku mafijnych porachunków. Rzeźnik Ed Blumquist jest tak beznadziejnie zakochany w żonie, niespełnionej fryzjerce Peggy, że gotów zrobić dla niej wszystko. Nawet jeśli w grę wchodzi morderstwo i zacieranie śladów.

Jesse Plemons i Kirsten Dunst. Obojgu się udało

Jeszcze na planie, zanim po kilku miesiącach zaczęli się spotykać, Dunst i Plemons rozmawiali o tym, ile mieli szczęścia. Byli dziecięcymi aktorami i obojgu się udało. Przy czym Plemons twierdzi – i trudno nie przyznać mu racji – że miał zdecydowanie łatwiej. Nie osiągnął statusu gwiazdy, z którym Dunst musiała się mierzyć, odkąd w wieku 11 lat wystąpiła w „Wywiadzie z wampirem”. Poza tym dorastał w innych warunkach.

Po kilku miesiącach spędzonych na castingach i zdjęciach w Hollywood wrócił do zwyczajnego życia. Dwa tysiące mieszkańców (a według ostatniego spi-

su powszechnego nawet mniej: 1748), jedno skrzyżowanie ze światłami, poza tym otwarta przestrzeń i konie – tyle w skrócie można powiedzieć o Mart, rodzinnym miasteczku aktora położonym niedaleko Waco w Teksasie. W domu czekała szkolna rutyna i obowiązki, jak rąbanie drewna i zbieranie siana.

– Nie mogłem myśleć, że jestem lepszy od innych, ani zrobić niczego, zanim nie byłbym na to gotowy – przyznaje Plemons.

Urodził się w 1988 r. w Dallas, a wychował na 36-akrowym ranchu, z ganku rozpościerał się widok na rozległe pastwiska, w oddali z rzadka mknął drogą jakiś samochód. Mały Jesse nie ruszał się nigdzie bez liny i zabawkowego pistoletu. Uwielbiał miniserial „Na południe od Brazos” z Robertem Duvallem i Tommym Lee Jonesem w rolach emerytowanych strażników Teksasu. Na ekranie zobaczył świat,

który dobrze znał. Tata, strażak, brał udział w zawodach łapania bydła na lasso, a na rodzinnych spotkaniach śpiewał piosenki country z repertuaru Gartha Brooksa. Kuzyn ujeżdżał dzikie konie.

Zdarzało się, że Plemonsowie statystowali w westernach. Jesse miał dwa i pół roku, kiedy po raz pierwszy pojawił się przed kamerą. To była reklama Coca-Coli. Wystąpił, rzecz jasna, w stroju kowboja.

Dekadę później latał do Los Angeles już regularnie. Zagrał brata Paula Walkera w „Luz blues”. Dostał też rolę w „Rącznych koniach” według Cormaca McCarthy’ego. W retrospekcjach z dzieciństwa wcielał się w młodszą wersję bohatera Matta Damona. Dumna mama zorganizowała w lokalnym kinie specjalny pokaz premierowy. Jesse nie wiedział, że sceny z jego udziałem wypadły z filmu. Odkrył to dopiero w trakcie seansu. Najadł się wstydu. Jedno to rodzina i znajomi, ale zabrał

ze sobą dziewczynę, która bardzo mu się wtedy podobała.

Dostrzegamy w nim siebie

Zdarza się, że ludzie mylą Plemonsa z Damonem. To podobieństwo, które – jak twierdzi, w ogóle go nie dostrzega – prześladowa go od lat. Fani „Breaking Bad” nadali aktorowi przydomek: Meth Damon. Plemons pojawił się w ostatnim sezonie serialu. Jego Todda poznajemy jako pracownika firmy od dezynsekcji specjalizującej się przy okazji w kradzieżach. Sprawia niepozorne wrażenie, ale okaże się psychopatą, który mocno namiesza w narkotykowym biznesie Waltera White’a.

Przełom nastąpił kilka lat wcześniej, w 2006 r. Plemons miał 18 lat, kiedy dostał angaż do „Friday Night Lights”, serialu stacji NBC ukazującego perypetie licealnej drużyny futbolowej. W szkole sam był gwiazdą futbolu. Tutaj musiał poczekać

Zdarza się, że ludzie mylą Plemonsa z Damonem. To podobieństwo, które – jak twierdzi, w ogóle go nie dostrzega – prześladowa go od lat. **Fani „Breaking Bad” nadali aktorowi przydomek: Meth Damon.**

do drugiego sezonu, zanim wszedł do składu. Grał kumpla głównego bohatera, przebojowego rozgrywającego, ale z czasem serial coraz bardziej opierał się na jego postaci i talencie.

Już wtedy Plemons udowodnił, że nie potrzebuje wiele materiału do zbudowania postaci. Pasował mu surowy sznyt „Friday Night Lights”. Potrafił nadać linijkom tekstu dodatkowego realizmu. Dostrzegł to Paul Thomas Anderson i obsadził Plemonsa w „Mistrzu” u boku Philipa Seymoura Hoffmana. Zapowiadało się, że przyłgnie do niego latka aktora charakterystycznego.

Plemons brał udział w castingach do roli Finna w filmie „Gwiazdne wojny: Przebudzenie Mocy”. Znalazł się nawet w wąskim gronie kandydatów, wybrano jednak Johna Boyegę. Wystąpił za to u Stevena Spielberga („Most szpiegów”, „Czwarta władza”).

„Nie powinniśmy z nim sympatyzować – jest upadłym bohaterem, oszustem – ale to robimy, a wszystko dzięki występowi Plemonsa” – pisał „Interview Magazine” o jego roli w biograficznej „Strategii mistrza”. Zagrał skompromitowanego kolarza Floyd Landisa z ekipy Lance’a Armstronga.

Poza tym okazał się idealnym wyborem do roli lekceważonego programisty, który odgrywa się na współpracownikach w symulacji przypominającej „Star Trek” w jednym z odcinków „Czarnego lustra”. Zebrał też dobre recenzje za kreację niepokojącego sąsiada policjanta z „Wieczoru gier”.

Reżyser Scott Cooper stawia Plemonsa w jednym rzędzie z ikonami kina lat 70., takimi jak Robert Duvall, Gene Hackman, Dustin Hoffman czy John Cazale. – Ci aktorzy wyglądali jak prawdziwi ludzie. Myślę, że to część uroku Jesse’ego. Dostrzegamy w nim siebie – mówił „Guardianowi”. Cooper nakręcił z Plemonsem trzy filmy („Pakt z diabłem”, „Hostiles”, „Poróż”). Według niego aktor „wkłada mnóstwo pracy, aby stworzyć te proste, wiarygodne i bardzo ludzkie kreacje”.

Zazwyczaj powściągliwy, szuka w aktorstwie czegoś czystego, bliskiego podejściu dziecka. Za cel stawia sobie dążenie do prawdy, jak największy naturalizm. W rozmowie z „New York Timesem” przyznał: – Uwielbiam aktorów, w przypadku których nie widać, że grają. Nie można ich przylapać na fałszu.

Jak to osiągnąć? Jesse Plemons stara się oszukać samego siebie, że nie jest świadomy obecności kamery. Oczywiście, im większe doświadczenie, tym trudniej.

Jeszcze dodatkowy warunek: żeby się udało, powinien być zrelaksowany.

Tylko bądź tu zrelaksowany, kiedy na tylnym siedzeniu samochodu, który prowadzisz, jadą Al Pacino i Robert De Niro. Plemons miał wrażenie, że Martin Scorsese zarządził część dubli właściwie tylko po to, żeby w końcu zeszło z niego ciśnienie. Mowa oczywiście o scenie z „Irlandczyka”. Bohater Plemonsa nie ma świadomości, że właśnie wiezie Jimmy’ego Hoffę – szefa związków, który był mu jak ojciec – na egzekucję.

Wyzwaniem okazał się plan „Może pora z tym skończyć” Charliego Kaufmana. Do rozpoczęcia zdjęć pozostało zaledwie kilka dni, a Plemons czuł się zagubiony jak nigdy. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego w ogóle został obsadzony w roli Jake’a (bohater zabiera swoją dziewczynę na spotkanie z rodzicami). Poza tym nadal nie wiedział, o czym właściwie jest ten film. W końcu na wspólnej kolacji z obsadą Kaufman przyznał: „Musimy zaakceptować to, że nie wiemy, i pogodzić z tym, że możemy ponieść porażkę”. Odpowiedź, która innych aktorów mogłaby przyprawić o atak paniki, Plemonsowi pozwoliła pozbyć się wątpliwości. W końcu po to uprawia ten zawód, żeby, jak mówi, być wciągany do króliczych nor.

Na planie Plemons zawarł pakt z Jessie Buckley. Umówili się, że jeśli jedno zapomni tekstu, drugie będzie siedziało w mil-

czeniu – bo tak pewnie zachowałyby się ich postaci – dopóki sobie nie przypomni. Kilka dni spędzili w aucie, kręcąc scenę śnieżycy. Ekipa techniczna bujała samochodem i sypała sztucznym śniegiem na przednią szybę.

Był w Atlancie, bo miał się zająć dziećmi

Ze Scorsese spotkał się ponownie przy „Czasie krwawego księżycy”. Film dotyka przemilczanego tematu zbrodni dokonanych na Indianach z plemienia Ose-dżów, którzy wzbogacili się na ropie. Reżyser powierzył Plemonsowi rolę nieprzejednanego agenta federalnego, który pojawia się na ekranie dopiero w trzeciej godzinie filmu. Puka do drzwi niezbyt rozgarniętego złoczyńcy granego przez Leonardo DiCaprio. W krótkiej rozmowie Plemons buduje napięcie, zawieszając jedną z kwestii w milczeniu. Jakby musiał się zastanowić nad odpowiedzią, którą przecież dobrze zna.

Widz z kolei nigdy do końca nie wie, co kryje się za popisowym uśmiechem Jesse’ego Plemonsa: człowiek prostoduszny czy bezwzględny, bystry czy gamoniowaty. Potrafi przerazić do szpiku kości.

Najlepszym dowodem niech będzie „Civil War” Alexa Garlanda. Co ciekawe, Plemons dostał tę rolę przypadkiem. Tydzień przed zdjęciami okazało się, że aktor, którego wybrał, rezygnuje. Kiedy reżyser przekazał złe wieści obsadzie, Kirsten Dunst, która grała główną rolę uznanej fotoreporterki wojennej, zaproponowała: „Może zapytajmy Jesse’ego?”. W końcu i tak był na miejscu. Do Atlanty przyjechali razem: ona na próby, on zajmował się w tym czasie dziećmi.

Plemons przyjął propozycję. Zapada w pamięć, choć pojawia się na ekranie tylko na parę minut: w mundurze polowym, czerwonych okularach przeciwsłonecznych, z odbezpieczonym karabinem. I pyta jak gdyby nigdy nic: „Jakim rodzajem Amerykanina jesteś?”. Brzmi absurdalnie, ale w jego ustach w tej sytuacji słowa nabierają grozy.

Dunst, która wystąpiła w tej scenie z mężem, nie kryła zachwyty: – Pomyślałam: „Mój facet miałby tę rolę”. Tak się poczułam, kiedy obserwowałam Jesse’ego. „K**wa, jaki z niego dobry aktor” – mówiła na łamach „Los Angeles Times”.

To był ich trzeci wspólny występ: po „ Fargo ” (2015), od którego wszystko się zaczęło, oraz „Psich pazurach” (2021), za które oboje zdobyli pierwsze w karierze nominacje do Oscara. Antywestern Jane Campion opowiadał o losach zamożnych ranczerów z Montany. Bracia Burbankowie popadają w konflikt, kiedy młodszy z nich bierze ślub z prowadzącą karczmę wdową. Plemons z Dunst zagrali małżeństwo George’a i Rose, a w grubiańskiego Phila wcielił się Benedict Cumberbatch. Campion miała pomysł, w jaki sposób wyznaczyć odpowiednią dynamikę w relacji braci, a zarazem zbudować fizyczną bliskość pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy od dziecka spali w jednym łóżku. Poleciała aktorom, żeby na próbach ze sobą tańczyli: Cumberbatch prowadził, Plemons podążał za nim.

Jesse u Lanthimosa. „To nie jest film, który da się opowiedzieć”

Chyba jeszcze nigdy nie przyciągał takiej uwagi mediów jak w tym roku. W marcu na festiwalu SXSW premierę miało „Civil War”, dwa miesiące później w Cannes zdobył Złotą Palmę



• **Plemons robił wszystko, żeby trafić na „orbitę Lánthimosa”. W końcu dostał rolę w „Rodzajach życzliwości”. Za tę rolę dostał Złotą Palmę w Cannes. Na zdjęcia z Margaret Qualley i Willemem Dafoe**

FOT. NOWE HORYZONTY / MATERIAŁY PRASOWE

• **Kirsten Dunst i Jesse Plemons poznali się w 2015 r. przy pracy nad drugim sezonem „ Fargo ”. Są małżeństwem, mają dwoje dzieci**

FOT. JACOPO RAULE/GETTY IMAGES



dla najlepszego aktora za „Rodzaje życzliwości” Yórgosa Lánthimosa.

Nie mógł być na gali zamknięcia, kręcił w Nowym Jorku serial Netflixa, thriller polityczny „Zero Day” z Robertem De Niro. Zaraz po zdjęciach miał lot. Dopiero kiedy po wylądowaniu wyłączył tryb samolotowy, zobaczył na telefonie wiadomości o nagrodzie.

Plemons nie ukrywa, że robił wszystko, żeby trafić na „orbitę Lánthimosa”, odkąd kumpel, aktor Caleb Landry Jones, polecił mu „Kła”. Jednak kiedy dostał w końcu wymarzony scenariusz, był w kropce.

– Jako aktor, jako człowiek instynktownie starsz się nadać historii jakiś sens, ale w tym przypadku trzeba było niemalże poddać się poczuciu zagubienia – powiedział „Guardianowi”.

„Streszczenie fabuły »Rodzajów życzliwości« nie trzyma się kupy. To nie jest film, który da się opowiedzieć. Ważniejsze są jego energia, nieoczekiwane zwroty akcji, nieustanne prze-

lamywanie konwencji” – pisał Krzysztof Kwiatkowski w recenzji z Cannes. Na film składają się trzy nowele połączone obsadą i klimatem bliskim wcześniejszej twórczości greckiego reżysera. W każdej z tych nowej Plemons gra inną rolę: pracownika korporacji próbującego odzyskać kontrolę nad życiem, które umeblował mu szef, policjanta podejrzewającego, że szczęśliwie uratowana kobieta wcale nie jest jego żoną, oraz członka sekty.

Nie zdziwię się, jeśli Jesse Plemons wkrótce zdobędzie drugą nominację do Oscara. Zrobi kolejny poważny krok, żeby dołączyć do takich sław jak Sissy Spacek, Tommy Lee Jones czy Matthew McConaughey i wpisać się na stałe w poczet znakomitych aktorów pochodzących z małych teksaskich miasteczek.

W kwietniowym wydaniu „Texas Monthly” aktor zdradził zresztą, że razem z żoną remontują dom w Austin. Zamierzają się przeprowadzić. Być może na stałe.

Często odwiedzają rodzinną farmę Plemonsa. Kirsten Dunst docenia tutejsze powietrze. Ich synowie, sześciolatek Ennis i młodszy o trzy lata James, też przyzwyczaili się już do życia w Teksasie. Jest prostsze. – Ludzie patrzą na ciebie w inny sposób. Nie są jak chomiki w kołowrotku – mówi Plemons. Pomogło mu to na początku kariery. Dlaczego więc teraz, kiedy wspiał się znacznie wyżej, nie miałoby pozwolić dalej stąpać twardo po ziemi? ●

Co zrozumiał Trump

MODLĘ SIĘ, WIĘC GŁOSUJĘ



• Czerwiec 2018,
Radecznice na Zamojsz-
czyźnie, odpust w sanktu-
arium św. Antoniego

FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA
WYBORCZA.PL

Biedni zaprzyjaźniają się z bogatymi nie w szkole czy pracy, ale w kościele.

Jarek Gryz

Adam Smith, szkocki filozof i ekonomista czasów oświecenia, uważany jest za ojca kapitalizmu, a jego traktat „Bogactwo narodów” za pierwsze dzieło ekonomii jako dyscypliny akademickiej, ale niewielu czytelników Smitha pamięta zapewne jego przenikliwe obserwacje na temat religii. Otóż religia, albo raczej jej instytucjonalna emanacja, czyli Kościół, podlega według Smitha takim samym prawom rynkowym jak każdy inny działający na nim podmiot. Kościół oferuje klientom takie produkty i usługi, które pozwolą mu maksymalizować zyski. Jak każdy biznes, nie lubi konkurencji i jeśli to możliwe, stara się uzyskać pozycję monopolisty. Zabiega w tym celu o protekcję państwa, oferując

Każda religia, uważał Smith, przechodzi przez podobne etapy rozwoju. Na początku jest dynamizm, nowatorskie przesłanie i kokietowanie potencjalnych wyznawców. Te ruchy religijne, którym udaje się pociągnąć znaczną liczbę sympatyków, wzbudzają zainteresowanie rządzących, którzy

za ideologiczne poparcie oferują im przywileje i opiekę. To jednak sprawia, że przywódcy duchowi przestają zwracać uwagę na wiernych i tracą ich na rzecz kolejnych, bardziej dynamicznych ruchów religijnych. I tak cykl zaczyna się od początku.

Jak destrukcyjny dla religii może być mariaż z państwem, pokazuje historia Kościołów katolickich w Hiszpanii i Irlandii.

W Hiszpanii generała Franco Kościół miał pozycję absolutnego monopolisty, państwo płaciło pensje księżom, a religia w szkołach była obowiązkowa. W zamian duchowieństwo przez dekady wspierało dyktaturę. A po śmierci Franco zaczął się dramatyczny spadek autorytetu Kościoła. Na koniec XX wieku już tylko 45 proc. Hiszpanów przyznawało, że religia jest dla nich ważna, jeszcze mniej było skłonnych zwracać uwagę na zalecenia kleru w kwestiach moralnych czy obyczajowych.

W Irlandii z różnych względów historycznych organy państwa i Kościoła zaczęły się przenikać już w połowie XIX wieku. Wiele szpitali, szkół i wydawnictw było wprost kontrolowanych przez Kościół, a rozwody, antykoncepcja, homoseksualizm i aborcja zakazane aż do końca XX wieku (przerwanie ciąży aż do 2018 r.).

Kiedy w latach 90. zaczęły wychodzić na jaw skandale obyczajowe czy wręcz przestępstwa popełniane w instytucjach kontrolowanych przez Kościół, ów, przyzwyczajony do bezkarności zapewnianej mu przez dziesiątki lat przez państwo, niewiele

sobie z tej krytyki robił. Na efekty nie trzeba było długo czekać: jeszcze w latach 90. 83 proc. Irlandczyków twierdziło, że religia jest dla nich ważna, 15 lat później już tylko 66 proc.

Historia Kościołów hiszpańskiego i irlandzkiego nie jest osobna czy przypadkowa. Już 20 lat temu para socjologów harwardzkich, Robert J. Barro i Rachel M. McCleary, przeprowadziła analizę statystyczną danych na temat religijności w 59 krajach świata o kilkunastu różnych wyznaniach. Okazało się, że uczestnictwo w nabożeństwach jest aż o 21 proc. wyższe od przeciętnej w krajach, gdzie istnieje religia państwowa (jak w Hiszpanii i Irlandii).

Pozornie przeczyłoby to tezie Smitha, że brak konkurencji usypia duchownych i obniża jakość usług religijnych, a tym samym zainteresowanie religią. Rzecz w tym, że przywileje i subsydia, jakimi cieszy się religia państwowa, przynoszą korzyści wszystkim wyznawcom i przyciągają ich do Kościoła, ale kiedy je odebrać, natychmiast spada religijność wiernych.

Jak korzystne dla Kościoła może być poparcie polityczne, pokazuje dobitnie prezydentura Donald Trumpa. Mianowanie przez niego trzech konserwatywnych sędziów do Sądu Najwyższego zagwarantowało, że przez długie lata ten najważniejszy sąd będzie podejmował decyzje korzystne dla religijnej prawicy.

Pierwszym dowodem było uchylenie ustanowionego w 1973 r. federalnego prawa do aborcji. Drugim, równie symbolicznym gestem, było uchylenie ustawy stanu

Nowy Jork ograniczającej dostęp do broni palnej.

Trump zadbał też o dostatek popierających go pastorów. Od 70 lat obowiązuje w USA poprawka Johnsona, która zakazuje instytucjom korzystającym z ulg podatkowych, a więc również Kościołom, prowadzenia jakiegokolwiek kampanii politycznej.

Trump nie miał dość poparcia w Senacie, by poprawkę odrzucić, więc wydał rozporządzenie, które frywolnie opisał jako „promujące wolność słowa i swobodę religijną”, a które zakazywało administracji ścigania organizacji religijnych za nieprzestrzeganie poprawki Johnsona.

O ile oczywiste jest, dlaczego Kościół zabiega o poparcie polityczne, o tyle nie do końca może być jasne, dlaczego poparcie Kościoła przekłada się na lepszy wynik w wyborach. Putin, Erdogan, Trump, a więc politycy z krajów o zupełnie różnych wyznaniach, kulturach i poziomie religijności, równie aktywnie starają się o poparcie lokalnych autorytetów religijnych.

Swoje robi rzecz jasna pokrewieństwo ideologiczne; wszyscy ci politycy są konserwatystami, a Kościoły ze swej natury są zachowawcze. Niemniej jest jeszcze jeden, równie ważny powód: ludzie religijni są bardziej aktywni politycznie. Uczestniczący co tydzień w nabożeństwie głosują 10-15 proc. częściej niż ci, którzy tego nie robią. Każde dodatkowe 2,5 tygodnia wizyt w Kościele rocznie przekłada się na 1-procentowy wzrost udziału w wyborach.

Przez długi czas sądzono, że to tylko przypadkowa korelacja spowodowana przez jakiś trzeci czynnik, na przykład większe zaangażowanie społeczne ludzi religijnych, aż kilka lat temu grupa naukowców amerykańskich przeanalizowała wpływ, jaki miało na aktywność religijną uchylenie zakazu handlu w niedziele w kilkunastu stanach USA. Okazało się, że przywrócenie go spowodowało spadek uczestnictwa w nabożeństwach o 5 proc., a to z kolei mniejszą partycypację w wyborach. Wzmacnia tę obserwację fakt, że wybory w USA są we wtorki, więc niedzielne zakupy nie mogły mieć na nie bezpośredniego wpływu.

Teza Smitha o wzajemnym upodobaniu polityków i duchownych wygląda na dobrze potwierdzoną, ale jego interpretacja religii w kategoriach ekonomicznych może się wydawać – nawet dla jej krytyków – przesadzona czy wręcz karykaturalna. Bo jakie produkty oferuje religia? I jak porównywać ich jakość, by sensownie mówić o konkurencji między religiami?

Wbrew pozorom nie jest tym produktem doktryna. To, co religia ma do powiedzenia o tym, jak zorganizowany jest świat materialny i duchowy oraz jaki jest sens tego świata i naszej w nim drogi, jest dla większości wierzących kwestią drugorzędną. Brytyjski filozof John Gray w książce „Siedem typów ateizmu” wyszydza jako chybione tezy współczesnego ateizmu kwestionującego wiarygodność doktryn religijnych. Twierdzi, że dla większości wyznawców, religia zawsze stanowiła zbiór rytuałów, a nie przekonań i dla nich dyskusje o przedmiocie wiary były nieistotne. Było tak w religiach pogańskich i nadal jest w religiach Indii i Chin. Nawet w judaizmie wierzenia nie były tak istotne jak właściwe obrzędy i rytuały.

Idea religii jako zestawu wierzeń, które trzeba zaakceptować, by być przyjętym w poczet jej wyznawców, jest pomysłem chrześcijańskim (stąd „Skład apostołski”, potocznie nazywany wyznaniem wiary). Zapał, z jakim Kościół chrześcijański zwalczał herezje, a więc odstępstwa od obowiązującej doktryny, jest wyrazem wagi, jaką przywiązywał do treści wierzeń.

Rzecz w tym, że dla większości wyznawców te odstępstwa są często niezrozumiałe, a co ważniejsze – dość obojętne. Zapewne żaden z praktykujących chrześcijan – poza teologami – nie zna doktrynalnych przyczyn rozpadu Kościoła chrześcijańskiego na wschodni i zachodni, ale wszyscy wiedzą, jakie są różnice rytualne między nimi.

Ale same rytuały, choć dla religii niezbędne i dla wyznawców ważne, też nie wystarczą do przyciągnięcia wiernych.

Religia jest zjawiskiem społecznym i każda decyzja o wstąpieniu do zgromadzenia wyznaniowego jest decyzją o przystąpieniu do konkretnej społeczności. Obrzędy religijne są spoiwem wspólnoty, ale oczekujemy od niej dużo więcej niż tylko cotygodniowego nabożeństwa. Od setek lat organizacje buddyjskie, chrześcijańskie, islamskie czy żydowskie zapewniają także wyznawcom wachlarz usług edukacyjnych, finansowych, zdrowotnych czy nawet rozrywkowych. Dzieje się tak do dziś i nie dlatego, że państwo jest zbyt ubogie, by te usługi zapewnić, ale dlatego, że wierni wolą na przykład, by ich dzieci uczyły się w jesziwie czy madrasie zamiast w szkole publicznej. Rolą lokalnej gminy religijnej czy kongregacji, synagogi lub meczetu jest przy tym nie bezpośrednia organizacja takich usług, ale zapewnienie platformy do działalności jej członków.

Brytyjski ekonomista Paul Seabright uważa, że to właśnie jest model biznesowy, jaki reprezentuje religia. Platforma to instytucja, która inicjuje i wspomaga relacje między ludźmi. Platformami są media społecznościowe, takie jak Facebook czy Instagram. Przykładem fizycznej platformy jest dyskoteka, a kiedyś była nią swatka. Co jest wyjątkowe dla modelu platformy, to fakt,

że jej uczestnicy czy członkowie są nie tylko jej klientami, ale także częścią jej oferty. Kapitał ludzki obecny w platformie służy do kreowania relacji między jej członkami. Znakomicie z tego zadania wywiązują się właśnie wspólnoty religijne.

Dwa lata temu kilku amerykańskich ekonomistów przeanalizowało facebookowe konto 70 mln Amerykanów. Interesowało ich, jaką drogą ludzie ubodzy zawierali znajomość (friend na FB) z ludźmi zamożnymi. To istotne z punktu widzenia polityki społecznej, bo osobiste relacje z członkami wyższej klasy społecznej sprzyjają awansowi ekonomicznemu. Szukali więc miejsc, w których fizyczne spotkanie dwóch osób z różnych klas mogło doprowadzić do zawarcia znajomości na FB.

Okazało się, że wspólna szkoła, miejsce pracy i zamieszkania czy członkostwo w tym samym klubie lub stowarzyszeniu dawały zdecydowanie mniejszą szansę na taką znajomość niż wspólnota religijna. Religia nie tylko umożliwiała spotkanie, do którego w innym trybie mogłoby nie dojść, ale także obniżała bariery psychologiczne, które w normalnych warunkach utrudniałyby zawarcie znajomości (bogaci zazwyczaj nie chcą się kolegować z biednymi).

A tym, co umacnia tę niezwykłą spójność wspólnot religijnych, są rytuały. Jak wielokrotnie udokumentowano w badaniach, wspólny śpiew, taniec i procesje mają ogromny wpływ nie tylko psychologiczny, ale i fizjologiczny na ich uczestników. Wzajemna synchronizacja takich zachowań umacnia kooperację i poczucie więzi. Platforma religijna służy więc nie tylko grzecznościowej wymianie numerów telefonów i adresów na TikToku, lecz także stworzeniu autentycznej tożsamości grupowej. A elementy doktrynalne – nawet jeśli nie potrafimy ich wyartykułować – dają poczucie wspólnego, acz odrębnego dla grupy widzenia świata. Wojny religijne nie toczą się o obronę prawd wiary, ale o zachowanie tożsamości grupowej, u której podwalin te prawdy wiary leżą.

Zapewne wielu czytelników uzna w tym miejscu, że teza, jakoby religia była platformą służącą budowaniu wspólnoty, jest – przynajmniej na gruncie polskim – fałszywa, bo próżno by u nas szukać parafii, która spełniałaby jej warunki. Rzecz w tym, że Seabright opisuje sytuację, w której istnieje wolny rynek usług religijnych – a takiego w Polsce nie ma. Opieka, jaką roztacza nad Kościołem państwo, dała mu status quasi-monopolisty i Kościół polski – tak jak kiedyś hiszpański – jest zbyt rozleniwiony, by angażować się w jakąkolwiek inną działalność niż pusta obrzędowość. Z ekonomicznego punktu widzenia to zachowanie w pełni racjonalne.

Koncepcja Seabrighta może budzić jeszcze jedną wątpliwość: żeby religie mogły ze sobą konkurować, ich klienci powinni móc swobodnie wybierać i przystępować do nowych denominacji. A to wydaje się psychologicznie trudne, bo wymaga zerwania relacji z członkami istniejącej wspólnoty i ich mozolnego budowania w nowym środowisku. Zdecydowanie łatwiej dokonać takiej zmiany przez całą wspólnotę. To właśnie zdarzyło się ponad pół wieku temu w wiejskiej parafii w Wierzbicy koło Radomia.

W 1960 r. trafił do niej prosto z seminarium ksiądz Zdzisław Kos. Młodemu wikarremu tak leżał na sercu ideał miłości bliźniego, że nie brał od ubogich pieniędzy za posługi kościelne. Wzbudziło to podziw, a wkrótce uwielbienie parafian i niezadowolenie proboszcza. Na plebanii narastał konflikt, aż proboszcz miał dość podrywania swego autorytetu i postanowił pozbyć się wikarego. Lokalna społeczność ani myślała na to pozwolić i siłą usunęła proboszcza. To samo spotkało jego następcę przyślanego przez kurię w Sandomierzu. Od tego momentu parafią zarządzał komitet społeczny z Kosem jako jedynym księdzem.

Parafianie kilkakrotnie zwracali się do kurii o mianowanie go proboszczem, ale biskup był nieugięty, więc 5 listopada 1962 r. kilkusetosobowa delegacja buntowników pojechała do Sandomierza osobiście rozmówić się z biskupem. Ten po raz kolejny potraktował ich arogancko, więc wobec fiaska negocjacji zdesperowana delegacja postanowiła biskupa...porwać.

Na szczęście dla wszystkich milicja odbiła go jeszcze w drodze do Wierzbicy. Ale Rubikon został przekroczony. Następnego dnia wysłano do biskupa list, w którym ogłoszono Wierzbicę niezależną parafią i zerwano wszelkie stosunki z kurią. List podpisało 85 proc. parafian! Wspólnota była tak zdeterminowana, że kiedy dwa lata później na polecenie papieża przyjechał do Wierzbicy kardynał Stefan Wyszyński, parafianie bezceremonialnie zablokowali drogę do kościoła i Prymas Tysiąclecia musiał odprawić mszę w zagrodzie jednego z lojalistów. Konflikt trwał jeszcze kilka lat i dopiero w 1968 r. kuria przejęła władzę w parafii. Buntowników przygarnął Kościół Starokatolicki Mariawitów, którego zbór wciąż działa w Wierzbicy.

A więc mieszkańcom Wierzbicy łatwo przyszło porzucić katolicyzm – a przynajmniej jego licencjonowaną formę – kiedy szło o dobro i spójność ich wspólnoty. Gdyby istniał wówczas, a tym bardziej teraz, wolny rynek religijny w Polsce, takich konwersji byłoby więcej.

Model platformy, jaki proponował dla religii Seabright, miał zastosowanie tylko do elementarnej jednostki religijnej, czyli parafii, zboru czy gminy, ale religie, kiedy się rozrosną, muszą organizować się także w większej skali. I tak Kościół katolicki przyjął strukturę korporacji ze ściśle zdefiniowaną hierarchią i jednoosobowym zarządem. Kościół Zielonoświątkowców (skądinąd najszybciej rozwijająca się religia na świecie) działa na zasadzie franczyzy, gdzie indywidualne zbory kopiują elementy doktryny i rytuałów swych założycieli. Z kolei w systemie rozproszonym działa większość Kościołów protestanckich, dla których jedynym wspólnym mianownikiem jest ta sama święta księga.

Niezależnie od rozmiarów wszystkie religie stosują marketing, by reklamować swoje przesłanie. Najbardziej bezceremonialne są pod tym względem protestanckie Kościoły w USA. Od wielu lat istnieje tam zawód kościelnego konsultanta, który za opłatą doradza pastorom, jak skutecznie walczyć o dusze i portfele wiernych.

Bardziej subtelne strategię stosuje Kościół katolicki – Barro i McCleary wykazały, że liczba kanonizacji i beatyfikacji w krajach katolickich jest wyraźnie skorelowana z konkurencyjną presją ze strony protestantyzmu (a ostatnio ateizmu) w tym samym czasie i miejscu. Medialny szum, jaki powstaje wokół nowych świętych, ma bowiem dopingować wiernych i zniechęcać ich do porzucenia prawdziwej wiary w czasach kryzysu.

Kościół katolicki był też jedyną organizacją religijną w historii, która z racji struktury i skali mogła pozwolić sobie na formułowanie długoterminowych strategii finansowych. Było to wręcz konieczne, bo już pod koniec VI wieku księża i zakonnicy stanowili 2 proc. populacji Europy Za-

Kościół niczym nie różni się od innych instytucji religijnych. Organizacje buddyjskie, islamskie czy żydowskie też zapewniają wyznawcom cały wachlarz usług edukacyjnych, finansowych, zdrowotnych i rozrywkowych

chodniej (to tyle, co całe ówczesne wojsko) i im wszystkim należało zapewnić środki do życia.

Najbardziej stabilnym źródłem dochodu w tamtych czasach była oczywiście ziemia wraz z pracującymi na niej chłopami. Kilka lat temu amerykański profesor antropologii Joseph Henrich przedstawił zaskakującą hipotezę tłumaczącą, jak Kościół zamierzał tę ziemię zdobyć.

Od początku Kościół energicznie zwalczał klanowość społeczeństw pozostających pod jego kontrolą. Robił to głównie przez wprowadzanie niespotykanych wcześniej ograniczeń dotyczących zawierania małżeństw. W 506 r. synod w Agde zakazał małżeństw między kuzynami pierwszego i drugiego stopnia. Pięćset lat później synod w Selingenstadt zakazał już małżeństw między kuzynami szóstego stopnia. Za złamanie tych zakazów Kościół rutynowo stosował ekskomunikę. Jak się nietrudno domyślić, nie chodziło o dobro dzieci. Prawdopodobieństwo wystąpienia wad genetycznych u potomstwa kuzynów szóstego stopnia jest znikome.

Henrich uważa, że walka z „kazirodstwem” była elementem strategii finansowej. W większości społeczeństw o silnych związkach klanowych ziemia jest wspólną własnością całego rodu. Nie do pomyślenia jest jej sprzedaż czy odstąpienie, bo wymagałoby to zgody wszystkich zainteresowanych. Własność indywidualna ziemi staje się możliwa, dopiero gdy związki plemienne zostają zerwane. W takiej społeczności dziedziczenie ziemi odbywa się w ramach nuklearnej rodziny za pośrednictwem męskiego następcy. Kiedy takiego następcy zabraknie, nakłonić można bezpotomnych a bogobojnych chrześcijan do przekazywania majątku Kościołowi.

Niezwykłe pomocna okazała się tu przypowieść Jezusa o uchu igielnym, przez które łatwiej przejść wielbłądowi, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego. Żyjący w IV wieku św. Ambroży nadał tym słowom bardziej przyjazny wymiar. Otóż nie trzeba być biednym całe życie, wystarczy pozbyć się majątku na łożu śmierci. Pomysł chwycił wybornie, bo chrześcijaństwo nie musieli już żyć w biedzie, żeby zapewnić sobie miejsce w królestwie niebieskim.

Jeśli opisana tu strategia wydaje się zbyt misterna i diaboliczna zarazem, wystarczy spojrzeć na jej efekty. Już w 900 r. Kościół był właścicielem 35 proc. ziemi uprawnej na terenie dzisiejszych Niemiec i 44 proc. we Francji.

Podobnie działało się w Polsce. Weźmy choćby Wierzbicę: w 1190 r. jej bezdzietny właściciel Otton ofiarował ją na łożu śmierci klasztorowi cystersów w Wąchocku.

Choć przesłanie religii dotyczy innego świata, musi ona funkcjonować w tym świecie. Meczety, synagogi i kościoły to fizyczne struktury z pracującymi w nich ludźmi, którzy muszą wykonywać wiele prozaicznych czynności, by ich głos dotarł do jak największej liczby wiernych. Te religie, które działają bez mecenatu państwa, wystawione są ponadto na konkurencję ze strony innych wyznań i muszą walczyć o przetrwanie. Nebo, Ozyrys, Baal czy Pluton to bogowie, którzy już nie żyją, bo zbankrutowały religie, które podtrzymywały ich przy życiu.

Traktowanie religii jako biznesu jest potrzebne także dlatego, że to ważna część gospodarki. Dochody organizacji religijnych w USA w 2016 r. to 378 miliardów dolarów, a to więcej niż dochody Apple'a i Microsoftu razem wzięte.

A więc przesłanki ekonomiczne mogą nie tylko rzucić interesujące światło na wiele zdarzeń w historii religii, ale także objaśnić nam wiele współczesnych, na pozór irracjonalnych zjawisk. Adam Smith się nie mylił: religia to także biznes. ●

● Jarek Gryz jest profesorem informatyki i filozofii na York University w Toronto

BOŻE ZACHOWAJ NASZEGO FÜHRERA



• Hitler wita się z arcybiskupem Alberto Vassallo di Torregrossa, nuncjuszem apostolskim w Bawarii. Monachium, jesień 1933 r. FOT. BE&W

Oddany Bogu chrześcijanin i katolik miał być antysemitą

Anna Wolff-Powęska*

W długiej historii Kościoła katolickiego w Niemczech na lata 20. i 30. XX wieku przypada jeden z najmroczniejszych rozdziałów. I wojna światowa i upadek cesarstwa wywołały w Kościołach protestanckich i katolickim, zorientowanym narodowo i monarchistycznie, głęboki kryzys. Monarchia była dla nich ostoją tradycyjnego porządku i wartości, a nowy porządek Republiki Weimarskiej wywoływał niepokój motywowany głęboką nieufnością wobec „konstytucji bez Boga” i „państwa bez wartości”. Klimat rozczarowania pogłębił poczuciem upokorzenia traktatem wersalskim sprzyjał czarno-białej interpretacji nowego świata i poszukiwaniu kozła ofiarnego.

W obliczu realnych i wykreowanych zagrożeń rosła potrzeba identyfikacji chrześcijan z narodem, mobilizacji przeciw siłom zła, ciemności i chaosu. Najlepszym punktem odniesienia dla dychotomicznego obrazu świata był Żyd: repertuar inwektyw był niewyczerpany. W większości sprowadzały się one do propagowania tezy, że „istota żydowska jest całkowitą odwrotnością obyczajnej, szanowanej ludzkości. Żyd stawia wszystkie pojęcia na głowie; czyni godnym pogardy to, co dla innych jest święte, gloryfikuje to, co niemoralne i zepsute”.

Dla znacznej części duchowieństwa naturalnym sojusznikiem w jego zmaganiach w obronie rzekomo zagrożonej tradycji, rodziny, wiary było państwo nazistowskie. Historia kolaboracji Kościoła katolickiego z Hitlerem i III Rzeszą jest dobrze udokumentowana.

Po latach erupcji literatury na temat prześladowań Kościoła przyszła kolej na publikacje ujawniające wstydliwe zakamarki kościelnej działalności. Amerykański badacz Kevin P. Spicer w wydanej właśnie po polsku książce „Księża Hitlera. Kler katolicki i narodowy socjalizm” poddaje analizie ten skomplikowany problem przez pryzmat biografii 138 katolickich duchownych. Pokazanie kolejnych etapów dostosowywania przez nich nauki katolickiej do ideologii nazistowskiej, germanizacji katolicyzmu i wującego antysemityzmu pozwala m.in. na lepsze zrozumienie genezy ludobójstwa.

Nazizm był wyzwaniem dla Kościoła i katolicyzmu na różnych polach. Zagroził mu nie jako wspólnocie wiary, lecz jako instytucji. Autorytet teologii i Kościoła bowiem wykorzystano do niemoralnych celów etycznych i społecznych. Bezprzykładność hitlerowskiego zła, które przerosło miarę ludzkiej wyobraźni, niewiedza, oportunizm, egzystencjalny lęk, zakorzeniony antyjudyzm, nierozpoznanie w porę rozmiarów zagrożenia – wszystko to sprawiło, że Kościół zawiódł nie tylko jako instytucja. Zawiedli też ludzie.

Przyczyn, dla których narodowy socjalizm i postawa części duchowieństwa katolickiego okazały się kompatybilne, należy szukać głównie w obsesyjnym nacjonalizmie, fanatycznym rasizmie i nienawiści do komunizmu; to były główne przesłanki wyznaczające płaszczyznę porozumienia dla katolicyzmu i narodowego socjalizmu. Przyznawał to w 1967 r. ks. Richard Kleine: „Od dziecka wpajano mi żarliwą miłość do mego niemieckiego narodu i ojczyzny. Istotna była dla mnie zwłaszcza relacja pomiędzy Kościołem a Niemcami. Należę do ludzi, którzy niewzruszenie wierzyli, że ruch narodowosocjalistyczny broni narodowej i społecznej przyszłości mego ludu i stanowi nadrzędną alternatywę dla ideologii komunistyczno-bolszewickiej”. Ufał, że „obecność i współpraca chrześcijan w tym ruchu może wzmocnić i wzbogacić myśl chrześcijańską”.

Drogę utworzył kościelny antyjudyzm, pokutujący przez niemal dwa tysiąclecia w świadomości

i doktrynie Kościoła. W Kościele niemieckim posługiwano się długo podwójnym antysemityzmem. Tym, który zwalczał Żydów jako rasę określaną jako antychrześcijańska, i tym, który domagał się „szczęśliwego prawa do ochrony chrześcijańskiej ludności w obliczu szkodliwego napierania żydostwa” – chrześcijańskim antysemityzmem. Dobry antysemityzm skierowany był przeciw zewnętrznemu zagrożeniu.

W III Rzeszy Kościół nie wzbraniał się przed posługiwaniem się argumentami religijnego, społecznego, ekonomicznego i politycznego antysemityzmu o charakterze rasowym.

Kościół upowszechniał poglądy obciążające Żydów winą za wszystko, czego nienawidzili antysemita: konstytucję weimarską, demokrację, liberalizm, oświecenie, nowoczesność, oddzielenie Kościoła od państwa i finansjery przemysłowej. Powstanie republiki uznano za przejaw upadku moralnego narodu. Tylko tacy mogli skazać „swego Mesjasza na śmierć w swym zaślepieniu, uporze i nienawiści”. Akceptowano dyskryminację Żydów oskarżanych o zdradę podstawowych zasad swej religii objawionej na rzecz obsesyjnego umiłowania pieniędzy i dóbr materialnych.

Partia narodowosocjalistyczna jawiła się jako nadzieja na wyjście z chaosu republiki. Wyrażał ją m.in. biskup Rottenburga Johannes Sproll, dziękując władzom za „pokonanie bolszewizmu”, „odrzućcie licznych idei liberalnych, dążenie do prawdziwej wspólnoty narodowej”, a także „wzmocnienie siły moralnej ludu” i „ochronę wartości rodzinnych i konsekwentną politykę populacyjną”. Na publicznie postawione przez duchownego pytanie, czy kapłan katolicki może służyć Bogu i Kościołowi, a jednocześnie być dobrym nazistą, padała odpowiedź twierdząca. (Później jednak Sproll stał się przeciwnikiem nazistów).

Duchowni zanosili modły w intencji Hitlera, agituując jednocześnie przeciw żydowskim współobywatelom. Nowa religia miała być zgodna z nowym fundamentem społecznym, a zarazem patriotycznym i chrześcijańskim. W tym duchu agitowali wędrowni kaznodzieje. Nakaz miłości bliźniego nie od-

nosił się do żydowskich współobywateli. Chodziło o oczyszczenie „ludu germańskiego” i wyeliminowanie Żydów z życia publicznego. NSDAP miała wywołać „święty entuzjazm”, prowadzić do „zbawienia duszy niemieckiej”.

Wraz z umacnianiem się władzy partii narodowo-socjalistycznej narastała propaganda antyżydowska. Kościół uznał ratowanie dusz chrześcijańskich przed „zażydzeniem” za swój święty obowiązek. Przekonywano, że chrześcijański antysemityzm nie jest antysemityzmem, tylko „konieczną obroną przeciw duchowo-gospodarczemu wyobcowaniu, przeciw nieproporcjonalnie rozdętej władzy żydowskiej mniejszości i panowaniu we wszystkich dziedzinach duchowej i materialnej kultury”.

Wierni epatowani byli apokaliptyczną wizją świata bez Boga. Tytuły i hasła: „dusza chrześcijańska na łożu śmierci”, „triumf żydowskiej moralności”, zalew „narodów kulturalnych przez orientalnych nomadów i rabusiów” służyły jako usprawiedliwienie dla rosnącej przemocy. Coraz częściej sięgano po argumenty rasowe: otóż każda rasa i każdy naród ma „naturalne prawo i naturalny obowiązek obrony przed obcymi rasami. Istnieje prawo rasy do obrony przeciw mieszanii się z obcą krwią i ochrony przed dominacją i panowaniem obcej rasy”. Ks. Lorenz Pieper promował ją w przekonaniu, że to „sam Bóg stworzył różne ludy, wedle krwi, natury i rasy, i dlatego chce istnienia różnic opartych na krwi, różnic narodowych i rasowych”.

Głoszono apele o przeciwstawienie się żydostwu „w duchu Chrystusa”. Oddany Bogu chrześcijanin i katolik musiał być antysemitą. Do najbardziej radykalnych i wojujących kapłanów należał Philipp Ha-

**Ksiądz katolicki w III Rzeszy:
– To sam Bóg stworzył różne ludy,
wedle krwi, natury i rasy.
I dlatego chce istnienia różnic
opartych na krwi,
różnic narodowych
i rasowych**

euser. Jak wielu innych duchownych odwoływał się do sprawdzonych w dziejach stereotypów. W wielu tekstach teologicznych Żydzi przedstawiani byli jako „lud pogański, nieczysty, rozpustny, grzeszny, zdeprawowany”.

Pisma katolickie przedstawiały osobę Żyda jako niepodzielnego pana świata. „W życiu gospodarczym i politycznym chrześcijanin stał się jego niewolnikiem. Żyd, dzięki swemu sprytowi, bezwzględności i – niemal przykładowej – determinacji i konsekwencji podporządkował sobie prawie wszystkie narody i rządy, zmuszając je do niewolniczego posłuszeństwa”. Księża nawoływali do wierności „bohaterskiemu wojującemu Chrystusowi”. Służbę Hitlerowi łączyli ze służbą Chrystusowi. U progu lat 30. dominikanin i kaznodzieja z kościoła św. Jadwigi w diecezji berlińskiej Marianus Vetter, przemawiając do ponad 45 tys. wiernych zebranych na narodowej konwencji katolików, nazwał Hitlera boskim przywódcą, który jasno postrzeżenie nowy światopogląd. „Niemcy, obudźcie się – naprzód, ku Chrystusowi” – kraj miał się stać „prawdziwie świętą Rzeszą, królestwem Chrystusa”.

Wiernym kazano uwierzyć, że to Führer „zdjął zaćmę z oczu”; on nauczył nas widzieć „rzecz istotną, którą musimy na nowo ukochać – naszą jedność krwi, naszą niemiecką jaźń, homo germanicus”. Jawił się jako człowiek z silnie rozwiniętym poczuciem odpowiedzialności wobec Boga, „szczerze zatroskanego o pomyślność narodu niemieckiego opartą na pełnieniu woli Bożej”.

Jawnie agitowano za życiem zgodnym z nowym fundamentem ideologicznym. Modlitwa: „Boże zachowaj naszego Führera, prowadź go właściwą ścieżką i błogosław jego pracy” stała się integralnym elementem duchowego przesłania. Katolicy Niemcy mieli wybrać drogę walki. „Niebiański wódz” miał prowadzić swe zastępy do bitwy z wpływami żydowskimi. Hitler uznany został za „wielką duszę niemiecką i gwiazdę jaśniejącą na duchowym niebie narodu niemieckiego”. Naród ten „miał dość okazji, by uczyć się od niego etyki. Dlatego przemawia przezeń przede wszystkim siła moralna. To w nim, a nie w Żydzie, objawiła się potężna osoba chrześcijaństwa”.

Najbardziej zdeterminowani kapłani głosili teologiczną rewolucję heroicznego Chrystusa posłanego przez Boga na ziemię, by założył Kościół oczyszczony z żydowskich praktyk i tradycji. Ideologia narodowosocjalistyczna uznana została za „niemiecki światopogląd radości”, a brunatni księża uwierzyli, że ich wysilek „intelektualny” przyczynił się do „teologicznego ostatecznego rozwiązania” „kwestii żydowskiej” w katolickich kręgach teologicznych.

Apele głoszące, że Jezus to wódz walczący o Niemcy „poszukujące i walczące”, stanowiły motto niejednego z kazań. Chrześcijańscy kaznodzieje za jeden ze swych głównych motywów uznali przesłanie chrześcijańskie z punktu widzenia walki Chrystusa z judaizmem. Przekonywano, że to w Kazaniu na Górze Jezus rozpoczął swą kampanię przeciw Żydom. Jego dzieło miał kontynuować Hitler, uznany za dar Boga dla narodu niemieckiego. Niemcy mają naśladować Chrystusa, głosił w płomiennym kazaniu Josef Roth, teolog należący do oddziałów SA. Jednocześnie wzywał, by jego rodacy nie ulegali fałszywym naukom o miłości bliźniego. Jezus bowiem nie przyszedł na świat, by przynieść pokój, lecz by „przynieść miecz, by rzucić ogień na świat, by go spalić”.

Zamiast mówić o miłości i przebaczeniu, głoszono przesłanie zemsty i zniszczenia: „Niemcy muszą się wyzwolić z pęt traktatu wersalskiego, rozprawić z wrogami i trwać w wierności bohaterskiemu, wojującemu Chrystusowi”. Jeśli rzeczywiście wypełnią swą misję, to powstanie „nowy lud”, a „moc żydowskich pieniędzy i pchołków zagranicy” zostanie złamana. Biskup Paderborn Lorenz Jäger przekonywał, że „bezsparnie wielkiemu człowiekowi” Hitlerowi należało się modlitewne wsparcie w realizacji jego „wielkich planów”, by naród niemiecki „uzyskał miejsce na ziemi, które mu się należy”.

Wojna w Ukrainie, rozpychanie się skrajnej prawicy i kolejne kryzysy na świecie uświadamiają kruchość, nieprzewidywalność, złożoność rzeczywistości, którą z dumą określaliśmy jako cywilizację europejską. Postawa Kościoła w czasach totalitaryzmu uwiarydociła słabość człowieka wobec naporu agresywnego nacjonalizmu. W sytuacji, gdy Zachód stracił monopol na kreowanie humanitarnych wartości, rosnącej ofensywy przeciw liberalnej demokracji, kryzysu migracyjnego, wykluczania i dzielenia na swoich i obcych trzeba nam pytać, czy Kościół jest dzisiaj w stanie stawić czoła rozlicznym zagrożeniom i obronić podstawowe wartości chrześcijańskiej miłości bliźniego. Jakie są dziś możliwości oporu i przeciwstawienia się siłom promującym przemoc i nienawiść? Czy nie trzeba nam na nowo pytać, czego nauczyły nas dyktatury XX wieku?

Dzieje stosunku Kościoła w Niemczech do mniejszości żydowskiej i nazizmu potwierdzają uniwersalną prawdę o ludzkiej kondycji. Ani nagromadzona wiedza, ani sumienie, które może być fałszywie uformowane, ani katalog wartości chrześcijańskich wypisanych na sztandarach kościelnych nie stanowiły w warunkach dyktatury dostatecznej gwarancji dla uchronienia się przed pokusą pogardy i obojętności wobec pogwałcenia elementarnych praw drugiego człowieka.

Do nielicznych, którzy potrafili obronić własną niezależność i zachować wrażliwość wobec ludzkiej godności, należał Helmuth James von Moltke [czołowy działacz antyhitlerowskiego ruchu oporu], który za wierność przekonaniom zapłacił życiem. Głosił, że „zbrodniarze byli zawsze i wszędzie, ale zadaniem ludzi prawych jest trzymanie ich w ryzach; kto przed spełnieniem tego zadania się cofa, jest bardziej winnym zbrodni niż sam zbrodniarz”. To jego przekonanie nie straciło nigdy na aktualności. ●

*Anna Wolff-Powęska

• historyk idei, politolog, emerytowany pracownik UAM w Poznaniu.

FOT. ŁUKASZ CYNALOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



„Księża Hitlera. Kler katolicki i narodowy socjalizm”, Kevin P. Spicer, przeł. Marek Chojnacki, wyd. słowo/obraz terytoria. Książka dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



FOT. PIOTR WOJCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WIERSE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA 100. rocznica urodzin poety

Jerzy Ficowski*

Drzewo genealogiczne

*Skrzypi
szubienica krzaczasta,
karuzela umarłych
pod niebem malowanym
farbą płomienia.
Trzeszczą gałęzie
pod ciężarem powieszonych,
pęka kora bolesna.*

*Drzewo genealogiczne wolności,
śmiercią owocujące.*

*W jego cieniu
chowamy się od pokoleń
ze swoim smutnym uśmiechem.*

Pierwieści

Biecie

*izba niepamięci naszej
pełna jest
przedmitów
i jeszcze do niej
w podczas
dochodzą pierwieści
czułki snu ich doznają
w dzień wiedzą je pszczoły
muzyka im się modli
siano się rozlega*

*One idą z głęboka
z zadali
z podedna
i są tak podczerwone
że krew ich nie zazna*

*i tylko czasem słowo
gdy żywcem pojmane
intonuje ich ciszę*

***Jerzy Ficowski**
– 4 września 1924 – 9 maja 2006, poeta, prozaik, eseista. Badacz historii i folkloru Romów, tłumacz poezji romskiej („Pieśni Papuszy”), rumuńskiej i żydowskiej, autor szkiców o Brunonie Schulzu. Pisał wiersze i baśnie dla dzieci oraz teksty piosenek (np. „Jadą wozy kolorowe”). Był członkiem KOR-u. Utwory za: Ficowski, „Gorączka rzeczy”, wyboru wierszy dokonał Autor, „Złota kolekcja poezji polskiej”, PIW, Warszawa 2002.

Krzysztof Czyżewski**

a oni szli

Jerzemu Ficowskiemu

*nie chciałeś zasnąć rozpędzałeś mgły
coraz więcej było na nich ziemi
pożółkli od gwiazd*

wykruszył się rym

*do śmierci nie mogłeś zasnąć
co noc ustawiając się w kolejce
do pracy przy słowach
by ciszę ocalić*

****Krzysztof Czyżewski**
– ur. w 1958 r., animator kultury, poeta i eseista, współtwórca Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach. Wiersz z tomu „tykot”, który wkrótce ukaże się w Wydawnictwie a5.



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



Niemieckie zmagania ZE ZBRODNIĄ

W latach 60. Niemcami wstrząsnął proces załogi KL Auschwitz. Potem tysiące ludzi obejrzały napisany na jego podstawie dramat. A gdy 60 lat później został on zekranizowany, jego niedopuszczenie na Berlinale wywołało protesty.

PROCES

W 1963 roku we Frankfurcie nad Menem przed sądem stanęło 21 esesmanów i jeden więzień funkcyjny KL Auschwitz. Trwający półtora roku proces zainicjowany przez prokuratora generalnego Hesji Fritz Bauera (1903–68) był pierwszym etapem rozliczenia się Niemców z nazistowską przeszłością i największym procesem w historii RFN. Dla Niemców jest on pierwszym frankfurckim procesem oświęcimskim, dla Polaków – drugim (pierwszym był przeprowadzony w Krakowie w 1947 roku, w którym orzeczono 23 kary śmierci).

W połowie lat 60. Niemcy oczekiwali raczej nowego początku niż rozliczeń ze zbrodniczymi wojennymi. 18 października 1963 roku, ledwie dwa miesiące przed rozpoczęciem procesu, nowo wybrany kanclerz RFN Ludwig Erhard mówił: „Nasz wzrok winniśmy kierować do przodu. Nie tylko Republika Federalna, lecz cały świat stoi przed wyjściem z okresu powojennego”.

W większości miejsc terroru nazistowskiego mieszkańcy i lokalne władze zacierały ślady rządów NSDAP. Ludność okolic Dachau broniła się przed zachowaniem terenu obozu jako miejsca upamiętnienia zbrodni i jej ofiar (ostatecznie muzeum KL Dachau powstało w 1965 roku). Odwiedziny byłych więźniów w miejscach ich kaźni budziły irytację.

Nie było „lokalnych” nazistów, chętniej wspominano wypędzonych.

Ci, którzy podczas wojny pomagali Żydom, bali się do tego przyznać. W badaniach opinii publicznej przeprowadzonych w 1963 r. aż 60 proc. pytanych nie zaprzeczyło stwierdzeniu „Lepiej nie mieć żadnych Żydów w kraju” (a w 1952 r. było to aż 80 proc.).

W oświadczeniu w sprawie procesów zbrodniarzy nazistowskich wydanym 13 marca 1963 roku Rada Kościoła Protestantckiego w Niemczech zastrzegła: „Zadaniem sądów nie jest przeprowadzenie czegoś w rodzaju oczyszczenia całego naszego narodu za pomocą tych procesów; mogą one jedynie pociągnąć do odpowiedzialności poszczególnych zbrodniarzy i skazać ich”. Ale w innym miejscu stwierdziła:



◀ **Członkowie załogi obozu KL Auschwitz podczas procesu: 6 dostało dożywocie, 12 sąd skazał na kary więzienia – od 3 do 14 lat, 3 uniewinniono**

FOT. ROLAND WITSCHEL / DPA / PAP

służył w wywiadzie i był sędzią wojskowym. Zastąpił w procesie sędziego Hansa Forestera, wykluczonego jako potencjalnie stronnicy, gdy przyznał, że członkowie jego rodziny padli ofiarą nazistowskiego reżimu.

Proces trzeba było zorganizować we frankfurckim ratuszu, bo żadna sala sądowa nie pomieściłaby wszystkich zainteresowanych. Akta sprawy liczyły 75 tomów. Zeznawało 359 świadków, w tym 211 byłych więźniów obozu.

W ciągu 183 dni procesowych, od 20 grudnia 1963 do 20 sierpnia 1965 roku, gdy odczytano ostatni wyrok, rozprawie przysłuchiwało się 20 tys. ludzi, wśród nich uczniowie i studenci w zorganizowanych grupach.



▲ **Więzień Leo Scheidel zaprezentował model tzw. huśtawki Bogera, narzędzia tortur skonstruowanego przez gestapowca Wilhelma Bogera (na zdjęciu)**

FOT. AP/BEW

Elementem procesu była wizja lokalna na terenie byłego KL Auschwitz. Udało się ją zorganizować, choć PRL i RFN nie miały wówczas stosunków dyplomatycznych. Do Oświęcimia uczestnicy procesu lecieli przez Wiedeń (nie mogli przejechać przez terytorium NRD). Na terenie dawnego obozu 14 grudnia 1964 roku zweryfikowano zeznania świadków: czy mogli widzieć i słyszeć to, co zeznali. Okazało się, że mogli.

Jednym ze świadków w procesie był 64-letni Paul Leo Scheidel. Podczas rozprawy 20 marca 1964 roku przedstawił sądowi własnoręcznie wykonany model tzw. huśtawki Bogera, narzędzia tortur skonstruowanego przez jednego z głównych oskarżonych w procesie – gestapowca Wilhelma Bogera. Dziś ten

model znajduje się w zbiorach frankfurckiego Muzeum Historycznego. Na półmetrowej konstrukcji z drewna i metalu wisi szmaciana lalka ubrana w pasiak, ma nawet czerwony trójkąt (symbol więźnia politycznego) i numer obozowy: 94654.

W rzeczywistości torturowano na huśtawce więźnia rozebranego do naga. Jego ręce skrępowane kajdankami naciągano na kolana. Między ramionami a kolanami przeciągano poziomy drążek, na którym torturowany huśtał się bezbronny, z głową w dół, bicowany od tyłu. W internecie można zobaczyć archiwalny film z frankfurckiego procesu: świadek pokazuje na modelu, jak krępowano, a następnie uderzano więźnia. Ci, którzy przeżyli, mieli „zdarte ręce, pośladki w strzępach, twarz we krwi” – zeznał Scheidel.

Reporter „Spiegla” Gerhard Mauz odnotował reakcję oskarżonego na słowa świadka: „Kąciki jego ust wyginają się w uśmiechu”.

Przez 183 dni żaden z oskarżonych nie przyznał się do winy, nie wyraził skruchy i za nic nie przeprosił. Zasłaniali się niepamięcią i niewiedzą, koniecznością wykonywania poleceń lub wręcz robili z siebie ofiary – jeden z nich żalił się nawet, że bardzo schudł w areszcie.

20 sierpnia 1965 roku proces się zakończył: sześciu oskarżonych dostało dożywocie, trzech uniewinniono z braku dowodów, pozostali dostali od 3 do 14 lat więzienia. Bogerowi sąd wymierzył jedną z dwóch najsurowszych kar w tym procesie: dożywocie i dodatkowe 15 lat więzienia.

O ile na początku procesu jego najmocniej znienawidzonym uczestnikiem był prokurator Fritz Bauer, podczas gdy oskarżonym nazistom salutowano, to pod koniec Niemcy zastanawiali się, czy zasługują na to, by sędzia Hofmeyer zwracał się do nich per „pan”.

Frankfurcki proces sprowokował wielką debatę w Bundestagu (10 marca 1965) o przedawnieniu zbrodni nazistowskich, które miało nastąpić po 20 latach, czyli właśnie w 1965 roku. W wyniku parlamentarnej dyskusji wydłużono kompromisowo okres ich ścigania do 31 grudnia 1969 roku. Przedawnienie zbrodni morderstwa ostatecznie zniesiono w niemieckim prawie pod koniec lat 70.

Jednak dopiero w XXI wieku zmieniło się orzecznictwo. W 2011 roku skazano strażnika z Sobiboru Iwana Demianiuka za pomocnictwo w morderstwie, bez przypisywania mu konkretnych ofiar – do wydania wyroku wystarczyło udowodnienie mu udziału w zamordowaniu 28 tys. Żydów.



„Nawet obywatel, który nie był zaangażowany w zbrodnie, a nawet nic o nich nie wiedział, stał się współwinny, ponieważ był niedbały w swoim sprzeciwie wobec wypaczenia wszystkich standardów moralnych i norm prawnych w naszym narodzie”.

Prokurator Bauer nie chciał, by nazistów oskarżali prawnicy, którzy pracowali w służbie niemieckiego państwa przed 1945 rokiem. Wybrał więc Georga Friedricha Vogla i Joachima Küglera, obaj rocznik 1926, oraz dwa lata młodszego Gerharda Wiesego. Wiese żyje do dziś, po przejściu na emeryturę w latach 90. zajął się propagowaniem wiedzy o tym procesie, głównie wśród młodzieży.

W KL Auschwitz i jego podobozach od maja 1940 do stycznia 1945 roku pracowało około 8 tys. esesmanów i 200 nadzorczyń. Zbieranie materiału dowodowego trwało cztery lata. Prokuratorzy sporządzili akty oskarżenia przeciw 22 esesmanom i jednemu kapo – łącznie liczyły 700 stron. Trudność dla oskarżycieli stanowił fakt, że musieli udowodnić podsądnym konkretne morderstwa.

Głównym oskarżonym miał być SS-Sturmabführer Richard Baer (ur. 1911), ostatni komendant KL Auschwitz. Po jego nieoczekiwanej śmierci w areszcie 17 czerwca 1963 roku (wykluczono udział osób trzecich) najwyższym rangą oskarżonym stał się 68-letni SS-Hauptsturmführer Robert Mulka, adiutant komendanta Rudolfa Hößla, w 1947 roku powieszono go w Polsce. Oprócz niego na ławie oskarżenia zasiadło 21 funkcjonariuszy KL Auschwitz – tuż przed rozprawą wyłączono sprawę jednego z nich (z powodów zdrowotnych), a już w trakcie procesu kolejnych dwóch. Ostatecznie zapadło więc 20 wyroków.

Orzekąco pięciu sędziów zawodowych oraz sześcioro ławników: trzy gospodynie domowe, dwóch robotników i urzędnik. Składowi sędziowskiemu przewodniczył Hans Hofmeyer (1904-1992), doświadczony karnista i cywilista, który w latach 30. orzekał w sprawach przymusowej sterylizacji osób uznanych za psychicznie chore, a w czasie wojny



• **Wizja lokalna na terenie obozu Auschwitz. Udało się ją zorganizować 14 grudnia 1964 roku, choć Polska nie miała wówczas dyplomatycznych z RFN**



SZTUKA

Przebieg frankfurckiego procesu w literackiej formie oddał dramaturg Peter Weiss (1916-82), syn niemieckiego Żyda o węgierskich korzeniach, obywatela Czechosłowacji. Po emigracji rodziny do Szwecji Weiss mieszkał w Sztokholmie od 1939 roku aż do śmierci. Kwestia rozliczeń z nazistowskimi zbrodniarzami zafrapowała go już jesienią 1962 roku. Temat chwilowo zarzucił, ale wrócił do niego następnego lata i zajmował się nim aż do 1965 roku.

Weiss uważnie śledził medialne doniesienia z procesu, szczególnie te, które dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung” pisał Bernd Naumann (1922-71). Naumann, w czasie wojny żołnierz Wehrmachtu, relację z procesu opublikował także w formie książki, do dziś wznawianej. Dramaturg przyjechał ze Sztokholmu do Frankfurtu w kwietniu 1964 roku, by osobiście przysłuchować się rozprawie. Obserwował także sądową wizję lokalną w KL Auschwitz.

Sztukę „Dochodzenie. Oratorium w 11 pieśniach” Weiss zakończył w kwietniu 1965 roku, drukiem ukazała się w sierpniu, a wystawiona została zaledwie dwa miesiące po ogłoszeniu wyroku, jednego dnia, 19 października, w kilkunastu niemieckich teatrach, ale także w siedzibie energo-wskiego parlamentu. Fragmenty sztuki pokazano w telewizji już nazajutrz po premierze, a całość w formie filmu – w listopadzie.

Poza Niemcami sztukę Weissa wystawiono w dniu prapremiery w Londynie – jej publiczne czytanie w Royal Shakespeare Company reżyserował sam Peter Brook.

Niezwykłej premierze towarzyszyło około tysiąca publikacji, tylko 21 października w niemieckiej prasie ukazało się 48 omówień sztuki. Programy o niej nadawała telewizja, także publiczne radio wyemitowało ją w formie słuchowiska.

W kolejnych latach sztukę wystawiono także w Amsterdamie, Moskwie, Nowym Jorku, Sztokholmie, Pradze i w Warszawie.

W wywiadzie dla pisma literackiego „Les Lettres Françaises” w 1966 roku Weiss powiedział: „Początkowo napisałem »Dochodzenie« dla siebie, ponieważ odczuwałem potrzebę zrozumienia kompleksu zagadnień obozów, zrozumienia, jak do tego doszło. [...] Nie mogłem tego napisać w konwencji Kafkowskiej, w konwencji subiektywnego koszmaru. Byłbym się wówczas utożsamiał z więźniami. Dziś mam już raczej spojrzenie obiektywne”.

Swoją sztukę napisał więc w nurcie tzw. teatru dokumentalnego, w latach 60. XX wieku uznawanego za nowatorski. Poprowadził widza przez kolejne stacje cierpienia więźniów KL Auschwitz – od rampy przez ścianę straceń po piec krematoryjny, unikając środków stylistycznych mających potęgować grozę.

W dramacie Weissa zeznaje 28 świadków (beziemiennych, tylko ponumerowanych) i 18 oskarżonych (z nazwiskami) we frankfurckim procesie załogi KL Auschwitz. Dramaturg skompilował i zestawiał ich zeznania tak, aby podkreślić rozbieżności w relacjach ofiar i katów. Nadał ich wypowiedziom poetycki rytm i pozbawił całość znaków przestankowych.

Dramat budził mieszane uczucia wśród niemieckich widzów. Wybitny niemiecki reżyser i teoretyk teatru Erwin Piscator wystawił ją w Theater der Freien Volksbühne Berlin. W lutym 1966 roku na łamach pisma „Kürbiskern” podsumował: „Graliśmy tę sztukę 63 razy, przeważnie przy wypełnionej widowni. Rzecz zdawałoby się niemożliwa, okazała się dwójako możliwa: sztuka nie tylko wytrzymała próbę sceny, ale była grana na co dzień. [...] 31 aktorów prezentowało ją co wieczór z niesłabnącą precyzją i intensywnością. Im przede wszystkim należy się pochwała. Na ich



• Kadr z filmu „Die Ermittlung” („Dochodzenie”) w reżyserii RP Kahla, będącego adaktacją sztuki Petera Weissa. W kluczowej roli sędziego Rainer Bock FOT. LEONINE STUDIOS

„Byłoby lepiej, gdybyśmy nie musieli nakręcić tego filmu, gdyby Peter Weiss nie musiał napisać tej wspaniałej sztuki, bo wcześniej nie oglądałby pierwszego procesu oświęcimskiego”

RP KAHL, REŻYSER „DOCHODZENIA”

korzystać przemawia też fakt, że jeszcze na przedostatnim spektaklu doszło do głośnych objawów aprobaty i dezaprobaty, choć przedtem wiele przedstawień przyjętych zostało w milczeniu. (...) Zachowanie się publiczności nie sprostало oczekiwaniom. Z początku publiczność w ogóle wzbraniała się przed przyjściem i obejrzeniem tej sztuki. Kupony abonamentowe bądź odsyłano, bądź leżały niewykorzystane i przepadały. (...) Odnosi się wrażenie, że narodowi próbującemu pozbyć się pewnego określonego i nader złowieszczonego odcinka swej przeszłości grozi to, że stanie się narodem bez historii. Odmawiając konfrontacji z ową przeszłością, omija on jej narzucające się konsekwencje, a mianowicie: wyciągnięcie nauki z przeszłości.

Wystawienie »Dochodzenia« było w tym wypadku stosowną zaporą. Jednakże rezonans wśród widzów i słuchaczy środków masowego przekazu był tak wielki, że świadomość każdego z nich została wyraźnie naprowadzona na Auschwitz, na źródła jego powstania i na jego skutki. Również ataki na Weissa i jego sztukę, zarówno przygotowane, jak i wywołane wściekłością, świadczą tylko o jej potrzebie i o jej funkcji w ramach naszego społeczeństwa, nastawionego przede wszystkim na sprawę materialną”.

Piscator odnotował także fakt, że widzowie opuszczali teatr w trakcie przedstawienia. Ich liczbę oszacował na 20-81 w ciągu wieczoru (teatr miał 1047 miejsc). „Poprosiliśmy widzów, żeby zechcieli nam podać przyczyny, które skłoniły ich do opuszczenia sali. Połowa zapytywanych podawała, że nie mogła znieść treści zeznań i dlatego wyszła. Zaobserwowaliśmy, że przeważnie starsze panie nie były skłonne wytrzymać trzech godzin »Dochodzenia«. Przeszło 25 proc. miało zastrzeżenia co do teatralizacji procesu oświęcimskiego w ogóle. Stosunkowo znikoma była liczba tych,

którzy się nudzili: 15 proc. opuszczających salę w trakcie spektaklu”.

Reżyser przyznał też, że teatr otrzymywał obelżywe listy w związku z „Dochodzeniem”. Autorzy niektórych z nich grozili mu pobiciem, a jeden list zawierał nawet groźbę wysadzenia teatru w powietrze.

Sztuka Weissa stała się najczęściej wystawianą i najbardziej kontrowersyjną sztuką w ówczesnej Republice Federalnej Niemiec. Wystawiano ją nie tylko na scenach teatralnych, ale i w kościołach, siedzibach władz miejskich, urzędach, dawnych więzieniach i miejscach pamięci o Holokauście. Także np. w Norymberdze, na terenach zjazdów partyjnych.

W Polsce sztukę Weissa w tłumaczeniu Andrzeja Wirtha w lipcu 1966 roku Erwin Axer wystawił w warszawskim Teatrze Współczesnym. Kluczową rolę sędziego grał Mieczysław Pawlikowski, w obsadzie znaleźli się wybitni polscy aktorzy: Zbigniew Zapasiewicz, Tadeusz Łomnicki, Zofia Mrozowska, Henryk Borowski, Tadeusz Fijewski, Józef Nalberczak i wielu innych.

„Sądzę, że szczególnie w Polsce i w Warszawie przedstawienie to powinien zobaczyć każdy myślący człowiek. Nie będzie to dla niego rozrywką. (...) To przedstawienie boli, ale czyż nie jest zadaniem sztuki rozdrapywanie ran, by nie zarosły błoną podłości? – pisał w 1966 roku recenzent Roman Szydlowski.

FILM

„W 2017 roku, według badań Fundacji Körbera, czterech na dziesięciu [niemieckich] uczniów nie wiedziało, że Auschwitz był obozem zagłady. W 2024 roku AfD dociera do młodych ludzi za pośrednictwem mediów społecznościowych bardziej niż jakakolwiek

inna partia demokratyczna (...). Nie jest więc złym pomysłem ponowne wyciągnięcie z szafy »Dochodzenia« Petera Weissa” – napisała Barbara Burckhardt w lipcowym wydaniu miesięcznika „Theater heute”, tego samego, w którym w 1965 roku po raz pierwszy ukazała się drukiem sztuka Weissa.

Film niemieckiego reżysera RP Kahla oparty na sztuce Weissa miał mieć prapremierę na tegorocznym Berlinie. Jednak został odrzucony jako nie dość nowatorski i za długi. Adresowany do dyrektora artystycznego Carlo Chatriana list w sprawie „Dochodzenia” podpisało kilkadziesiąt przedstawicieli świata kultury: „W obliczu kielkującego antysemityzmu w Niemczech ten film może nie być bardziej aktualny i ważniejszy niż obecnie”.

Zbiegło się to z faktem, że na galę otwarcia festiwalu zaproszono posłów AfD do berlińskiego Landtagu. Wzburzyło to filmowców – ponad 200 osób podpisało list protestacyjny, który odniósł skutek. Tydzień przed inauguracją szefowie Berli-nale Mariëtte Rissenbeek i Carlo Chatrian oficjalnie zakomunikowali, że zaproszenie dla przedstawicieli AfD zostało wycofane.

Prapremierę „Dochodzenie” miało ostatecznie na początku lipca podczas festiwalu filmowego w Monachium, a oficjalną, uroczystą premierę zorganizowano 25 lipca w Berlinie. Wyraźnie wzruszony reżyser (rocznik 1970) podczas berlińskiej premiery mówił: „Byłoby lepiej, gdybyśmy nie musieli nakręcić tego filmu, gdyby Peter Weiss nie musiał napisać tej wspaniałej sztuki, bo wcześniej nie oglądałby pierwszego procesu oświęcimskiego”.

Niemieccy recenzenci, opisując popremierowe wrażenia, koncentrowali się na przejmującej treści i znakomitej grze aktorskiej.

Recenzent „Der Spiegel” Lars-Olav Beier napisał: „Jest wiele produkcji filmowych, które opowiadają o Holokauście w udratyzowany sposób. Ekranizacja »Dochodzenia« robi to inaczej: obrazy grozy powstają tylko w głowach widzów”.

Joachim Kurz, recenzent filmowy portalu Kino-Zeit.de, zauważył, że niedługo nie będzie już wśród żywych żadnego naocznego świadka okropności, do jakich dochodziło w obozach zagłady. Tymczasem „rewizjonizm historyczny, który istniał od zakończenia II wojny światowej, przez długi czas na szczególnie głównie podprogowy nurt w niemieckim życiu intelektualnym, podnosi głowę – napędzany sukcesem prawicowych sił populistycznych w Niemczech i innych krajach – i coraz bardziej wychodzi z ukrycia. Przeciwwstawia się temu nie tylko społeczeństwo obywatelskie, ale także artyści. (...) Jednym z ostatnich filmów, który z pewnością jest tego przykładem, jest »Strefa interesów« Jonathan Glazera. W jaki sposób i za pomocą jakich form estetycznych można zbliżyć się do potworności Holokaustu, pojąć ją i uczynić zrozumiałą?”.

Salę sądową, w której toczy się akcja, wybudowano w hali, w której na co dzień powstają rozrywkowe widowiska telewizyjne. Grę 60 aktorów, którzy mieli za sobą trzy tygodnie prób, przez pięć dni zdjęć non stop filmowało osiem kamer wyposażonych w najnowsze obiektywy. Film trwa 240 minut. Jest też wersja krótsza, 184-minutowa.

RP Kahl: „Moim zdaniem to ważne, żeby w nowoczesny i współczesny sposób stale przypominać, że Auschwitz istniało, a my musimy stale o tym pamiętać. To najmniejsza rzecz, jaką możemy zrobić dla ofiar”. ●

Korzystałam m.in. z książek: „Wina kara i polityka. Rozliczenia ze zbrodniami II wojny światowej” Pawła Machcewicza i Andrzeja Paczkowskiego, „Pamięć – brzemię i uwolnienie. Niemcy wobec nazistowskiej przeszłości (1945-2010)” Anny Wolff-Powęskiej i „Die Bedeutung des Surkamp Verlags für das Werk von Peter Weiss” Rainara Gerlacha, materiałów ze strony Encyklopediateatru.pl oraz artykułów: „Auschwitz-Prozess 1963: als Leugnen nicht mehr möglich war” Urilike Bosse, NDR Info; „Wo der Sohn den Vater ertränken muss” Gerharda Mauza, „Der Spiegel” 29/1964.



• Król Ludwik XIII w wieku 21 lat.
Obraz Petera Paula Rubensa
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kary cielesne następcy tronu wymierzano często.
Czasem podczas bicia kopał i drapał guwernantkę.
Gdy podrósł, król wyznaczył kilku mężczyzn,
którzy trzymali go w czasie bicia.

Aleksandra Skrzypietz

L

Latem 1601 roku na francuskim dworze z nadzieją i niepokojem oczekiwano rozwiązania Marii Medycejskiej. Wszyscy pragnęli dziedzica tronu, gdyż król Henryk IV już wcześniej doczekał się kilku synów poza małżeństwem.

Ku uldze monarchy 27 września syn się urodził. Poród trwał ponad 22 godziny, królowa dostała kolki, a lekarze spierali się, jak ją opanować. Ostatecznie posłuchali rady akuszerki, która podała położnicy medykament uśmierzający ból.

Po narodzinach Henryk IV z dumą obwieścił dworowi, że to chłopiec. Ponad dwieście osób tłoczyło się przed komnatą rodzącej, pragnąc zobaczyć malca, i wszystkim na to zezwolono. Poprzedni raz do tak doniosłego wydarzenia doszło w 1544 roku, gdy świat powitał przyszły Franciszek II.

Francja z radością przyjęła narodziny delfina. Niemowlę natarto oliwą zmieszaną z winem, a kilka jego kropeł wpuszczono mu w usta, co miało dać malcowi zdrowie i siłę.

IMIĘ DLA DELFINA

Jak wyglądało dzieciństwo następcy tronu, wiemy dzięki medykowi Jeanowi Héroardowi, który dbał o jego zdrowie. Przez 27 lat prowadził on dziennik, w którym opisywał codzienność księcia, a potem króla Ludwika XIII. Poczynając od narodzin, dzień za dniem relacjonował jego rozwój, opisywał stan zdrowia, sposób żywienia, edukację, a nawet emocje podopiecznego. Dziennika Héroarda nie da się porównać z niczym w piśmiennictwie europejskim, to jedyny tak szczegółowy obraz życia królewskiego dziecka i młodego władcy.

Chłopiec dostał własny dwór, otoczenie, które miało o niego dbać. Początkowo najważniejsze były mamki, niania i guwernantka oraz medyk. Zgodnie z francuską tradycją chłopiec zamieszkał w pałacu Saint-Germain-en-Laye nieopodal Paryża. Rodzice często go odwiedzali, skrupulatnie nadzorując wszystko, co się wokół niego działo.



mały KSIĄŻĘ



Książę nie był jedynym dzieckiem w pałacu, mieszkało tam jego liczne rodzeństwo: dzieci Henryka IV, zarówno zrodzone z Marii Medycejskiej, jak i kilku innych kobiet, z którymi był związany. Jeden z braci delfina, Henryk Gaston, był młodszy od niego równo miesiąc. Każde z dzieci miało własne apartamenty, mamki i opiekunki nadzorowane przez jedną guwernantkę.

Pałac był siedzibą wygodną i wspaniałe urządzone, otoczoną rozległymi ogrodami. Następca tronu miał wszystko poza... imieniem. Po urodzeniu został ochrzczony z wody, ale uroczystą ceremonię zorganizowano dopiero w 1606 roku. Do ołtarza szedł sam, własnoręcznie rozpiął kaftan, a guwernantka pomogła mu obnażyć ramiona, by biskup mógł go namaścić, po czym chłopiec odmówił modlitwy przewidziane ceremoniałem.

Spotkało go wielkie rozczarowanie, gdyż chciał nazywać się Henryk, jak uwielbiały ojciec, ale monarcha zdecydował, że będzie nosił imię Ludwik, po Ludwiku IX Świętym. Młody książę pogodził się z tym wyborem dopiero pod wpływem opowieści o wielkich czynach odległego przodka.

MAŁY, ZAZDROSNY OKRUTNIK

Następcę tronu od początku uczono, że jedyną osobą, która stoi w hierarchii wyżej od niego, jest król, a większość rodzeństwa to dzieci ojca, ale tylko niektóre jak on są dziećmi królowej. Monarcha podkreślał szczególną pozycję delfina, ale nalegał, by syn nazywał rodzeństwo siostrami i braćmi, co od początku budziło niezadowolenie niezmiernie zazdrosnego chłopca.

Pewnego razu skazał guwernantkę na areszt obok łóżka, gdyż zobaczył, jak całowała Henryka Gastona. Innym razem przytuliła rodzoną siostrę delfina, Krystynę, a delfin nie tylko kazał jej odłożyć niemowlę, ale dokładnie umyć ręce, twarz i szyję. Kobieta usłuchała. Gdy jednemu z braci przyrodnych delfin miał podać rękę do ucałowania – wszyscy okazywali szacunek, całując jego dłoń, a on demonstrował swą przychylność, laskawie ją podając – uczynił to, a potem z obrzydzeniem wytarł rękę w szatę.

Mając trzy-cztery lata, często pod wpływem emocji, wymierzał rodzeństwu kukuksańce, i choć czasem go za to rugano, dopiero czas zmienił jego podejście. Początkowo nie chciał się dzielić niczym, nawet jedzeniem, ale dzieci rzadko jadły wspólnie. Mając niespełna cztery lata, nie chciał dać gruszki rok młodszej rodzonej siostrze Elżbiecie, a gdy go upomniano, odpowiedział: „Będę ją trzymał o chlebie i wodzie”. Oburzył się, gdy zobaczył, że siostra dostała identyczną sukienkę jak on (małych chłopców ubierano przez pierwsze lata jak dziewczynki).

Jednak później Ludwik i Elżbieta uwielbiali razem gotować, piec maślane ciasteczka i spacerować. Mieli też wspólną pasję: psy, zwłaszcza spaniele. Pięcioletni Ludwik opowiadał o tym, jak pewnego dnia będzie polował ze swoimi psami, ale Elżbiecie, która zapytała, czy zabierze ze sobą jej ulubienca Amadisa, odmówił i z troską tłumaczył, że to mały piesek i mógłby uciec, bo polowanie jest niebezpieczne.

Gdy trzynastoletnia księżniczka opuszczała Francję, by poślubić hiszpańskiego księcia, ona i Ludwik rzewnie płakali przy rozstaniu.

SYNECZEK TATUSIA

Król Henryk IV był bardzo przejęty rolą ojca. Często przychodził do komnaty syna, przypatrywał się, jak nianie go kołyszą. Oglądał jego ciałko i porównywał stópki ze swoimi. Całował dziecko, ale nie brał na ręce, odkąd pewnego dnia omal nie upuścił delfina. Uratowała go przytomność mamki, która przytrzymała dziecko.



• **Ludwik XIII w wieku 11 lat. Portret autorstwa Fransa Pourbusa Młodszego** FOT. DOMENA PUBLICZNA

Delfina uczono, jak i komu ma podawać dłoń do ucałowania. Bardzo tego nie lubił.

Gdy pewnego razu podał ją jednemu z braci przyrodnych, potem z obrzydzeniem wytarł rękę w szatę

Później, gdy syn nieco podrośł, król przy każdym spotkaniu brał go w ramiona i całował, a malec odwzajemniał te pieszczoty. Przytulał się do ojca zawsze, gdy go spotkał: na korytarzu, podczas spaceru w ogrodzie, witając go i żegnając. Na widok ojca, choćby z daleka, maleńki książę krzyczał, by zwrócić jego uwagę, a król czasem prowokował syna i udawał, że go nie dostrzega. Gdy delfin podrośł, biegł na spotkanie monarchy, a kiedy ten odjeżdżał, książę płakał lub prosił, by mógł towarzyszyć ojcu.

Z czasem delfin uczył się jednak powstrzymać łzy lub uciekał, by je ukryć. W 1605 roku pytany, czy nie chciałby jechać do Italii, oświadczył, że woli zostać z papą. Tak nazywał ojca jako małe dziecko, ale gdy skończył osiem lat, musiał zwracać się do niego jak wszyscy: *Votre Majesté*. (Wasza Królewska Mość).

Król bawił się z maluchem, chowając się w pościeli lub za plecami obecnych, a syn go szukał. Po raz pierwszy delfin wpadł w gniew – co mu się potem często zdarzało – gdy zachęcany, by szukał ojca, nie umiał go znaleźć. Uspokoił się dopiero na jego widok i został wówczas na noc w królewskiej sypialni.

Odtąd często sypiali razem, a baraszkowaniu nie było końca. Pewnego razu na łóżko

monarchy przyniesiono także księżniczkę Elżbietę, która paplała po swojemu, a delfin, który częściej z nią przebywał, tłumaczył ojcu, o czym siostra mówi. Chłopcu wciąż powtarzano, że jest ulubieńcem króla; gdy miał czternaście miesięcy, pytany, gdzie jest pieszczoch papy, radośnie klepał swój brzusek.

Przy stole ojca książę poznawał smaki nowych potraw: zupy, galarety, owoców, marcepanu, kompotu, a nawet wina zmieszanego z dużą ilością wody. Czasem żądał go, gdy jadł sam i denerwował się, gdy mu odmawiano. Najwspanialszy okazał się smak chleba, zwłaszcza czarnego. Czasem król osobiście smarował pajdę masłem, a potem podawał synowi i ruszali na spacer korytarzami pałacowymi lub ogrodowymi alejkami.

Wspólne przechadzki były ulubioną rozrywką ojca i syna. Pewnego razu chodzili galerią pałacową, trzymając się za ręce, a u końca drogi, bez słowa odwracali się, zmieniając przy tym ręce. Czynili to w ciszy, gdyż u boku króla siedział sekretarz stanu, czytając raporty. Delfin wędrował z ojcem nad kanałami w parku i podziwiał pstrągi, karpie, kaczki, łabędzie, bażanty i strusia. Długo potrafił stać przy wolierze i karmić ptactwo, a na dziedzińcu pałacowym obserwował borsuka.

NA AUDIENCJI U TRZYŁATKA

Księcia od początku przyzwyczajano do przestrzegania etykiety: on siedział, gdy wszyscy inni musieli stać; uczono go, komu podaje dłoń do ucałowania, a kogo powinien ucałować (w usta, ewentualnie policzek), czego podobnie jak jego matka, Maria Medycejska, nie lubił.

Jako trzylatek zaczął przyjmować gości, także ambasadorów obcych państw. Guwernantka stała wówczas za jego krzesłem i podpowiadała, co powinien mówić. Nie zawsze jednak chciał grzecznie powtarzać za nią.

Od wczesnego dzieciństwa chłopiec poddany był treningowi, który miał przyzwyczaić go do uczestniczenia w uroczystościach, których wymiar i znaczenie przekraczały jego percepcję, ale uczył się bardzo szybko. Potrafił wykazać się przy tym powagą, ale i dowcipem. Mając dwa lata i dwa miesiące uczestniczył w audencji, której ojciec udzielił przedstawicielom Normandii. Siedział na krześle obok króla, który zapewnił, że ma poddanych w swej opiece, a po nim przejmie te obowiązki jego syn i tu wskazał na chłopca, na co ten z powagą wyseplenil: „Ga meci (grand merci), papa [Kuje badzo, tato]”.

Pół roku później przyjmował wysłannika księcia lotaryńskiego i miał zapytać o zdrowie tego władcy. Gdy jednak guwernantka przypomniała mu, co powinien powiedzieć, trzylatek wysyczał przez zęby, że tego nie robi i jedynie poda rękę. Zapytany, dlaczego tak postąpił, odpowiedział: „Bo jestem za mały”.

Ale następnego dnia, gdy przyjmował sługę Małgorzaty de Valois, za którą przepadał, bez żadnej zachęty zapytał o jej zdrowie i kazał przekazać, że jest jej sługą, co w owym czasie było oznaką szacunku. Tym razem „za mały” nie był.

CZAPKI Z GŁÓW

Ważną sprawą było nauczanie maleńkiego księcia, że może zawsze mieć nakrycie głowy, a ściągać je musi jedynie w obecności króla. Uczyli go tego wszyscy, łącznie z Henrykiem IV, ale malec nie zawsze o tym pamiętał. Gdy wchodził do komnaty ojca, przypomniano mu, by zdjął czapeczkę, a jeżeli tego nie zrobił, sam monarcha mu ją zdejmował.

Zdarzyło się jednak, że chłopiec postanowił zamanifestować sprzeciw. Miał dwa lata i była to jedyna tak przykra scena pomiędzy nim a ojcem. Książę wszedł do pokoju rodziców z nakrytą głową, maszerując i bijąc w bębenek, co uwielbiał robić. Król zwrócił mu uwagę na uchybienie, a gdy syn nie zareagował, zabrał jego czapkę i sam ją założył.

Zdenerwowany chłopiec zażądał jej zwrotu, ale ojciec odebrał mu zabawkę i wtedy delfin zaczął wrzeszczeć. Zdenerwowany król złapał go za ręce i uniósł wysoko, więc Ludwik zaczął krzyczeć z bólu.

Maria Medycejska oddała synowi zabawkę i czapkę, po czym guwernantka i mędyk zabrali go z komnaty rodziców. Jeszcze długo płakał ze złości i bólu, potem zjadł nieco zupy chlebowej, trąc oczy i okazując senność. Wieczorem dostał gorączki, nie mógł zasnąć, a potem spał niespokojnie. Następnego dnia bolały go ramiona. Niemal tydzień był nieswój, a z ojcem spotykał się niechętnie i zawsze pelen obaw, jednak ich relacje wkrótce się poprawiły.

OBITY TYŁEK JEGO WYSOKOŚCI

Wielu nakazom książę ulegał jedynie dlatego, że pochodziły od ojca, jedynego autorytetu, jaki uznawał. Był dzieckiem trudnym, skłonnym do gniewu i uporu. Ze względu na obyczaje epoki miłość Henryka IV nakazywała mu karać syna. Guwernantka mogła bić chłopca, gdy na to zasłużył.

W tamtym czasie dzieci, a nawet dorosłych podlegających władzy pana domu, także żonę, można było karać fizycznie. Należało jedynie pilnować, by nikogo trwale nie uszkodzić.

Dzieci bito także w szkole, gdzie różga bądź kij były stałym elementem wyposażenia. Każdy odpowiedzialny wychowawca, a zwłaszcza kochający ojciec powinien je stosować.

Pierwszy raz karę cielesną wymierzono, gdy delfin skończył dwa lata.

Gdy mając dwa-trzy lata, delfin budził się w złym humorze i natychmiast wszczynał awantury, był bity. Kary wymierzano mu za różne wykroczenia, jak pominięcie słowa „proszę” i niezastosowanie go mimo napomnień. Z czasem podczas bicia delfin zaczął atakować guwernantkę, drapał ją i kopał. Był coraz silniejszy, więc w 1607 roku król wyznaczył kilku mężczyzn z dworu i straży pałacowej, którzy mieli trzymać chłopca podczas bicia. Czasem dla odmiany zapewniał, że już nie jest uparty i prosił, by go nie bić.

Opiekunowie starali się powstrzymać wybuchy księcia nie tylko różgą. Słyszac, jak delfin ze złością żąda marcepanu, medyk wziął go przed lustro i poprosił, by powiedział to gniwnie, a potem grzecznie. Chłopiec zobaczył swoją minę i zaczął się śmiać, po czym spokojnie poprosił o podwieczorek, a humor mu się poprawił.

Gdy dwuletni delfin nie chciał założyć sukienki, zawołano pracza, który zapowiedział, że zabierze szatę do prania, a chłopiec spędzi dzień w łóżku – podziało natychmiast.

Zgodnie z dawnymi zasadami dziecko straszono: murarz służący w pałacu miał jadać uparte dzieci na śniadanie. Wystarczyło zatem powiedzieć, że przyjdzie i zabierze buty, których delfin nie chciał założyć, by chłopiec zmienił zdanie. Wizytą murarza grożono, gdy książę nie chciał, by go czesano lub wrzeszczał w kaplicy.

Straszyli go nie tylko opiekunowie. Gdy jako trzylatek przypatrywał się pracy ślusarza i zapytał, do czego służą pręty, usłyszał, że przebija się nimi uparciuchów. Natychmiast więc zapewnił, że on już uparty nie jest.

ZABAWY W WOJNĘ

Ważną częścią świata delfina były zabawy w wojsko. Największą przyjemnością niespełna trzyletniego chłopca było bicie w bębenek. Miał też liczne ceramiczne zabawki, w tym figurki żołnierzy. Najlepszym prezentem dla Ludwika były elementy uzbrojenia. Od ojca otrzymał naramiennik, a z czasem zgromadził całą kolekcję broni drewnianej i metalowej, którą z dumą pokazywał całemu dworowi. Pewnego razu o poranku rozłożył broń na łożu i bawił

się nią, śpiewając, a gdy pomylił słowa, roześmiał się; nie chciał odłożyć broni na czas posiłku, więc leżała na stole.

W kolekcji jego uzbrojenia był hełm, pełna zbroja, wysokie buty z ostrogami i ryngraf. Czasem chciał, by założono mu w zbroję i maszerował po pałacu, prezentując się napotkanym osobom w oczekiwaniu pochwał, a potem jadł podwieczorek wraz z gwardzistami w kordegradzie.

Przepadał, gdy zakładano mu wysokie buty do konnej jazdy i dopinano ostrogi. Z zachwytem przypatrywał się gwardii oddającej strzały. Rozkazywał, żeby powtórzyli salwę, i zapewniał, że nie boi się huku.

Bawił się z przyrodnimi braćmi, formując z nich oddziały; każdy dostawał jakąś część jego uzbrojenia i tak maszerowali po dziedzińcu pałacowym. Gdy bracia bawili się w wojnę i odbywali naradę, księżniczka Elżbieta musiała odejść, wszak kobiety nie biorą udziału w męskich sprawach.

Delfin miał też poważne obowiązki – mając dwa lata, musiał podawać hasło kapitanowi straży. Po raz pierwszy wypowiedział je na głos, a upomniany, że wymaga to dyskrecji, powtórzył to samo słowo do ucha kapitana.

MUZYKA, TANIEC I WYSOKIE WYMAGANIA

Książę obdarzony był talentami artystycznymi. Muzyka towarzyszyła mu codziennie, zwłaszcza przy posiłkach. Miał własnych muzyków, którzy grali dla niego oraz uczyli go gry na wioli, lutni i skrzypcach. Grał dla rodziców i znakomitych gości, a także na weselu swej niani, stojąc w jednym szeregu z muzykami. Lubił muzykę wojskową, na jego rozkaz straż wygrywała sygnały.

Delfin z upodobaniem nucił i śpiewał, potarzał piosenki zasłyszane od niani i służby. Śpiewem usypiano go i zdarzało się, że rozdrażniony prosił, by niania, nucąc, pomogła mu zasnąć.

Również taniec był ważnym elementem życia dworu, książę od najmłodszych lat tańczył przed rodzicami i gośćmi, a potem pytał, czy jego występ im się podobał.

Życie małego księcia nie było pasmem szczęścia i przyjemności. Jak inne dzieci epoki narażony był na ograniczenia, a wymagano od niego także umiejętności bardzo trudnych i z pozoru przekraczających możliwości jego wieku.

Udziałem przyszłego Ludwika XIII było jednak coś, co nie wszystkim dzieciom tej epoki było dane – bliska relacja z ojcem. Ale z drugiej strony dramat związany z jego tragiczną śmiercią. Henryk IV został skrytobójczo zamordowany, zanim jego syn ukończył dziewiąty rok życia. ●



• Król Henryk IV i Maria Medycejska z dziećmi. Na dole od lewej: Ludwik, Elżbieta i Maria Krystyna. Obraz datowany na 1607 rok, przypisywany François Pourbusowi Młodszemu

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Natęcz

Tomasz Natęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Historia krzepi

Polacy jak lawa

Czas, w którym „społeczeństwo kolejki” przepoczwarzyło się w „społeczeństwo targowiska”.



Prawie niezauważona przez polityków mija 35. rocznica wielkiego przełomu, który przyniósł krach komunistycznej dyktatury i umożliwił odbudowę Polski suwerennej, demokratycznej i rozwijającej się gospodarczo zgodnie z regułami wolnego rynku. Takie milczenie razi, tym bardziej że krajem rządzi koalicja, w naturalny sposób kontynuująca dzieło tamtego przełomu.

Było zrozumiałe, że na zapomnienie skazywał to wydarzenie PiS. Partia Kaczyńskiego fundowała nam nową wersję autorytaryzmu, więc od wolnościowego zwrotu stroniła niczym diabeł od święconej wody. Jeśli wspominała rok 1989, to w ciemnych barwach, zakłamując odrzucenie komunizmu przez społeczeństwo i widząc w nim wyłącznie efekt spisku komunistycznych służb specjalnych.

Aż prosiło się, by po politycznym zwrocie z 15 października 2023 przywrócić autentyczne wymiary narracji historycznej o 1989 roku. Najdobitniej można to było uczynić, określając ustawowo 4 czerwca dniem wolnym od pracy. Koalicja 15 października nie zdobyła się na ten ruch, manifestując także na polu historii impotencję, coraz bardziej doskwierającą jej wyborcom.

Z braku głównego dania pozostaje nam kontentować się innymi elementami utrwalającymi pamięć o przełomie 1989 roku. Jednym z najciekawszych jest niedawno wydana książka Michała Przeperskiego. W odróżnieniu od bogatej już literatury naukowej poświęconej transformacji nie koncentruje się ona na kwestiach politycznych. Uwzględnia je o tyle, na ile jest to niezbędne przy opisie stanu ducha i zachowań społeczeństwa, będącego głównym bohaterem narracji.

Nie jest to pierwsza praca, która przedmiotem zainteresowania czyni społeczeństwo i zachodzące w nim procesy. Wyróżnia się ona jednak sposobem opowieści. Przeperski bardzo ją uczłowieczył, chętniej niż po dane statystyczne sięgając po indywidualne opowieści. Część z nich sam zainspirował, co bardzo solidnej od strony warsztatowej rozprawie przydało lekkości, cechującej reportaże historyczne.

Niepamiętający tamtych czasów, bo urodzony w 1986 roku Przeperski stara się zrozumieć i opisać największy fenomen tamtej epoki, jakim była rewolucyjna przemiana, która w ciągu kilku lat gruntownie przeorała i od-

mieniła polskie społeczeństwo przełomu lat 80. i 90. XX wieku. Autor zaczyna swą opowieść w momencie najgłębszego załamania nastrojów wywołanego polityką ekipy Jaruzelskiego, rozpoczętą represjami stanu wojennego. Powszechne wtedy kolejki, w których ludzie stali po wszystko, celnie uznane zostały za znak czasu, utrwalający postawę biernego wyczekiwania, odpowiadającą władzy.

Była to jednak cisza przed burzą. Katakлизm wywołała coraz większa nieudolność systemu komunistycznego, zwłaszcza w sferze gospodarki, napędzająca społeczne niezadowolenie, oraz determinacja demokratycznej opozycji, na czele z zepchniętą do podziemia „Solidarnością”, rozważnie kierowaną przez Lecha Wałęsę.

Żywiol rozszalał się dzięki umowie Okrągłego Stołu zawartej przez ekipę Jaruzelskiego z ekipą Wałęsy. W wyborach z 4 czerwca 1989 roku, choć tylko częściowo wolnych, Polacy tak zdecydowanie odrzucili komunizm, że nie był już w stanie podnieść się po tym nokaucie.

O ile jednak „stare” upadło łatwo i szybko, to budowa „nowego” okazała się procesem o wiele bardziej skomplikowanym. Nie tyle zresztą od strony politycznej, co właśnie gospodarczej i społecznej, przede wszystkim relacjonowanej przez książkę. Część Polaków szybko odnalazła się w nowej rzeczywistości. Jak celnie pisze Przeperski, „społeczeństwo kolejki” przepoczwarzyło się w „społeczeństwo targowiska”.

Były jednak wielkie grupy społeczne mocno okaleczone przez ten proces. Rewolucja pożerała własne dzieci. W nowych, wolnorynkowych warunkach bankrutowały wielkie, państwowe zakłady, załogi, których były bastionami „Solidarności”. Dla Przeperskiego ówczesna Polska to Dziśki Wschód, z regułami analogicznymi do amerykańskiego XIX-wiecznego Dzikiemu Zachodu.

Idąc tym tropem, łatwo utożsamić losy amerykańskich Indian i wielkoprzemysłowych polskich robotników.

Jednak jeśli chodzi o istotę polskiej transformacji, lepiej od powyższego porównania pozwala ją zrozumieć znany cytat Adama Mickiewicza. Polacy raz jeszcze upodobnili się do lawy, która przebiła komunistyczną skorupę i okrzepła w pożądane przez społeczeństwo własne, suwerenne, demokratyczne i sprawne gospodarstwo państwo. ●

Michał Przeperski



Dziśki Wschód. Transformacja po polsku

Wydawnictwo Literackie 2024

JAK PRZETRZWALIŚMY WOJNĘ I ROZŁĄKĘ

Po wrześniu 1939 r. wiele rodzin zostało rozdzielonych na lata. Małżeństwo Dowoyny-Sylwestrowiczów przetrwało rozłąkę. Zostawiło po niej przejmującą relację.

Andrzej Brzeziecki

On – pasjonat lotnictwa, konstruktor i pilot, ona – matematyczka i biologka pracująca w Centrali Spółek Rolniczych. Lotnictwo było wówczas symbolem nowoczesności, a lotnicy zajmowali miejsce kawalerzystów. Wykształcona i pracująca kobieta uosabiała przemiany społeczne.

Zanim wybuchła wojna, Hanka i Witek (w książce są te zdrobnienia, co i mnie uprawnia do ich używania) byli młodym szczęśliwym małżeństwem – takim, jakie znamy z przedwojennych folderów reklamujących zdrowy i nowoczesny styl życia.

Atak Hitlera, a potem Stalina na Polskę rozdzielił Witolda i Hannę na siedem lat. Ona została w okupowanej Warszawie, on znalazł się na Łotwie, we Francji, a potem w Wielkiej Brytanii.

Swoją dziennik wojenny Witek pisał w formie listów do żony, ona zaś swoją relację złożyła dopiero wiele lat później. Oba świadectwa opracował i zgrabnie złączył w całość Bohdan W. Oppenheim, siostrzeniec Hanny, który stał się niejako trzecim autorem tego wielce ciekawego wydawnictwa.

ŚWIŃSTWA, IDIOTYZMY, BAŁAGAN

Dzienniki i wspomnienia Dowoyny-Sylwestrowiczów dają nam wgląd w codzienność polskiego żołnierza na Zachodzie oraz koszmar niemieckiej okupacji nad Wisłą. Niby podobnych wspomnień i relacji jest bardzo dużo – każda jednak wnosi coś oryginalnego do wiedzy o II wojnie światowej i losach Polaków.

Wojenne przygody – jeśli można użyć tego słowa – Hanka i Witka oraz ich stosunek do otaczającej rzeczywistości dowodzą także tego, jak wielką siłą mogą być miłość i nadzieja – siłą, która napędza do działania.

Szczegółne wrażenie, i dość przygnębiające niestety, robią fragmenty z września 1939 roku. Hanka opisuje nie zawsze przyjemne zachowania warszawiaków, natomiast jej mąż indolencję starszych oficerów, którzy „dbali przede wszystkim o własną skórę” i uniemożliwiali przez swą nieporadność zwykłemu żołnierzo- wi walkę.

Zresztą potem, już w Wielkiej Brytanii, niewiele się zmieniło. Gdy zwykli żołnierze dawali z siebie wszystko, na tyłach dominowały „świństwa, idiotyzmy i bałagan jak za dawnych dobrych czasów. Zupełna roz-



• Witold Dowoyno-Sylwestrowicz jako pilot RAF FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

pacz, ci ludzie niczego się nie nauczyli, aż strach pomyśleć”. Dowoyna-Sylwestrowicz oceniał, że w polskim lotnictwie od majora wżwyż przeważają same łobuzy.

W Warszawie dość szybko, jeszcze przed wejściem Niemców, życie stało się ciężkie. Miasto bardzo ucierpiało w czasie nalotów, brakowało jedzenia. Pod datą 17 września czytamy, że Hanka na ulicy dostała ładny kawałek świeżo zabitego konia. Musiała go zanieść do domu bez żadnego opakowania, w gołych rękach.

Tymczasem jej mąż znalazł się wraz z kolegami z lotnictwa na Łotwie, internowany w obozie. Próbowali uciekać, a planowanie tej akcji i jej przebieg momentami dorównują „Wielkiej ucieczce”. Niestety, uciekinierzy zostali wyłapani. Łotysze jednak zezwolili wszystkim opuścić ich kraj, który sam znalazł się w morderczym uścisku III Rzeczy i Związku Radzieckiego.

RYZIKO NA WŁASNYCH WARUNKACH

Relacje Witka Dowoyny-Sylwestrowicza są obszerniejsze i bardziej dynamiczne, co nie może dziwić – były pisane na gorąco, jego wojenne przygody były barwne. A obserwowany świat stałe się zmieniał. Witek borykał się z wojskową biurokracją, wieloma kłopo-

tami, starał się z technika przeobrazić w pilota, by móc naprawdę walczyć z Niemcami. Nie było to łatwe, bo dyskwalifikował go słaby wzrok. W końcu został nawigatorem.

Latając nad Niemcy, oczywiście ryzykował życie, ale na własnych warunkach. Opisy samolotów, życia lotników, relacje z lotów – to niebywała gratka dla miłośników historii lotnictwa. Witek odnotowuje sukcesy, ale także śmierć lotników.

GINĘLI oni jednak w walce, a on zawsze mógł liczyć na szczere rozmowy z przyjaciółmi, spacer po okolicy, wieczorki kulturalne, kino, potańcówki czy piwo w lokalnym pubie. Kupił nawet samochód.

Ciekawe są obserwacje Witka dotyczące Francuzów, za którymi nie przepadał, oraz Brytyjczyków, którzy początkowo mu bardzo imponowali swą solidnością i praktycznością, ale z czasem trochę rozczarowali, bo i oni okazывали się chamowaci i leniwi. Niezmiennie jednak najbardziej rozczarowywali go rodacy – chciwi, małostkowi, cyniczni i kłótlivi.

PODCZAS OKUPACJI SZCZĘŚCIU TRZEBA BYŁO POMÓC

Rzeczywistość, w jakiej funkcjonowała jego żona Hanka, była bardziej ponura, monotonna, a jeśli się zmieniała, to na gorsze. Tu nikt nie mógł działać na własnych warunkach.

Najbliżsi, jak jej ojciec Tadeusz Urbanowicz, ginęli albo w Palmirach, albo byli wysyłani do obozów. Do drzwu pukały żydowskie dzieci z prośbą o pomoc. Potem powstało getto, zaczęły się też łapanki, wywózki i publiczne egzekucje. Głód był stałym gościem w warszawskich domach.

Hanka niejednokrotnie miała szczęście, któremu też umiała pomóc. W kwietniu 1941 r. Niemcy zatrzymali tramwaj. Wszyscy pasażerowie ścisnęli się w głąb pojazdu – jedna tylko Hanka wyszła esesmanom na przeciw i wskazując na zegarek, zirytowana mówiła po niemiecku, że się spóźniła. Została wypuszczona. Los innych pasażerów tramwaju z pewnością był tragiczny.

Innym razem, już po klęsce powstania warszawskiego, Niemcy przeszukiwali budynek, w którym mieszkała. W jej mieszkaniu znalazło azyl aż 20 osób, w tym pani Loevenstein. Gdy oficer SS, czytając listę

obecných, której zażądał, natknął się na to nazwisko, zapytał: „Jude?”, Hanka odparła: „Nein, Deutsche”, Niemiec uspokojony wyjaśnieniem wrócił do czytania listy.

Po latach Hanka wspominała: „Nie do wiary! Gdyby się zastanowił, wiedziałby, że przecież nie dajemy schronienia Niemcom (a Niemcy nie potrzebowali naszej pomocy). Gdyby zorientował się, jak jest, obie z panią Loevenstein zostałybyśmy rozstrzelane na miejscu”. Innym razem, już w podwarszawskim Brwinowie, Hance i ukrywającym się przed Niemcami byłym już powstańcom życie uratowały króliki. Klatki z tymi miłymi zwierzątkami przykrywały wejście do kryjówki, gdzie schowało się mniej więcej 10 osób. Gdy patrol niemiecki przeszukiwał domostwo, pies zaczął szczekać właśnie przy kłatkach. Niemiec tylko skarcił psa: „Ty idioto, królików nie umiesz odróżnić od ludzi?”.

WIELKIE UCIECZKI

Ostatnim wielkim szczęściem, już po wojnie, była ucieczka z Polski do Wielkiej Brytanii. Niepozabawiona dramatyzmu. Hanka podejmowała próby. Raz nawet to Witek w marcu 1946 roku przyplłynął do Gdyni na pokładzie brytyjskiego statku i w brytyjskim mundurze. Był w zmwowie z kapitanem.

Swoimi kanałami zdołał przekazać żonie, że mają się zjawić w porcie w Gdyni. Wprowadził ją i jej przyjaciółkę na pokład jako zupełnie obce osoby pod pretekstem pokazania statku. Po chwili były już w jego kabinie, niemal bezpieczne. W pewnym momencie kapitan dostał jednak informację, że ktoś doniósł o wejściu dwóch kobiet na statek, a konsul brytyjski bał się awantury.

Hanka z przyjaciółką musiały zejść ze statku. „To był najcięższy moment w moim życiu – wspominała Hanka – ale nie płakałam. Już się wówczas nie płakało, ale w nocy leżałam sztywno w łóżku. Rano pociągami wróciłyśmy do Warszawy”.

Za drugim razem, gdy znów wszystko było umówione, statek zmienił kurs i zamiast do Gdyni dobił do Szczecina. Hance udało się uciec z Polski dopiero latem 1946 roku.

Szczęśliwie więc Witek i Hanka przeżyli wojnę i nawet udało im się połączyć, by prowadzić potem bardzo udane życie rodzinne i zawodowe.

EPOPEJA UZUPEŁNIONA

A my po latach dzięki świetnej redakcyjnej robocie Bohdana W. Oppenheima możemy śledzić tę epopeję. Co prawda, już pod koniec lat 80. XX wieku Jerzy Giedroyc wydał dzienniki Witka w Instytucie Literackim, ale były wtedy z woli autora pozbawione osobistych i emocjonalnych wątków. Uważał on, że nie ma co epatować prywatnymi sprawami czytelnika.

Teraz Oppenheim postanowił przywrócić im pełny kształt, uznając zupełnie słusznie, że uczucia ludzi rozdzielonych przez wojnę są także częścią historii Polski.

Bohdan W. Oppenheim, „Dzienniki polskiego lotnika Witka Dowoyny-Sylwestrowicza i jego żony Hanka 1939-1946. Niezwykłe losy niezwykłych ludzi”, Warszawa 2022



• Hanna i Witold po wojnie. Ich rozstanie trwało 7 lat FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Okruchy historii

PAN. Koniec historii?

Ministerstwo Nauki zamierza poddać Polską Akademię Nauk politycznemu nadzorowi, o jakim Czarnek mógł tylko marzyć.

Motyka

Osiem lat rządów PiS było dla Polskiej Akademii Nauk i jej instytutów czasem walki o przeżycie i chronicznego niedoinwestowania. Minister Przemysław Czarnek w końcówce swoich rządów wprost odmawiał wsparcia finansowego najbardziej nie lubianym instytutom wydziału nauk humanistycznych i społecznych. Z tym większą przykrością przyjąłem ogłoszony przez ministerstwo nauki projekt zmiany ustawy o PAN, który poddaje tą zasłużoną dla nauki instytucję politycznemu nadzorowi, o jakim Czarnek tylko marzył.

Oczywiście, ministerstwo przedstawia projekt jako „pomoc”, „ratowanie” i „wychodzenie na przeciw”, tłumacząc w ten sposób objęcie PAN bezpośrednim nadzorem. Lektura proponowanych zmian nie pozostawia jednak złudzeń – naukowcy mogą się pożegnać z wolnością opinii. Po 1989 roku podniesiono status instytutów Akademii, szef takiej placówki – mówiąc obrazowo – stał się kimś w rodzaju rektora uczelni. Po zmianie będzie on uzależniony od Ministra w takim samym stopniu jak dyrektorzy resortowych muzeów czy teatrów od ministra kultury. Ofiarą takiego rozwiązania w pierwszej kolejności padnie społeczna aktywność Instytutów i rad naukowych. Łatwo sobie wyobrazić, zwłaszcza po doświadczeniach ostatnich lat, iż każda krytyka rządzących może spotkać się z retorsją Ministerstwa wyrażoną choćby w okrojeniu budżetu. Przykład z jesieni 2023 r., kiedy Ministerstwo w odpowiedzi na krytykę rządu wychodzącą z Wydziału I nie przydzieliło środków finansowych instytutom nauk humanistycznym i społecznych dobitnie pokazuje, iż nie są to bynajmniej obawy wyolbrzymione, czy tym bardziej bezpodstawne. Co więcej, przyjęcie takiego rozwiązania przełoży się w dłuższej perspektywie na wyniki naukowe Instytutów. Skoro w sposób oczywisty sytuacja finansowa Instytutu będzie uzależniona od dyrektora odpowiedniego departamentu, to działalność naukowa będzie układana pod punkt widzenia ministerstwa. Dobre wyniki osiągane w międzynarodowych rankingach z czasem będą coraz mniej istotne, waga uzyskania pozytywnej opinii kierownictwa resortu natomiast nieuchronnie będzie rosnąć.

W planowanej strukturze dyrektor takiego przyszłego departamentu będzie miał w praktyce

większą władzę nad naukowcami, niż dziś ją ma prezes PAN! A nowy lepszy prezes będzie pełnił faktycznie rolę dekoracyjną, czy jak kto woli honorową. Podkreśla to jeszcze fakt, iż wraz z uchwaleniem nowej ustawy prezes i władze PAN zostaną odwołane, ten sam los spotka dbające o jakość badań komitety naukowe. Wszystkie te ciała niedawno wybrano w wolnych i demokratycznych wyborach, zgodnie z procedurami, pomimo to ich kadencje zostaną brutalnie przerwane. Jak rozumiem, z szacunku dla nauki, Ministerstwo postanowiło potraktować PAN tak jak władze TVP Kurskiego! Choć to właśnie z PAN i jej instytutów niejednokrotnie wychodziła krytyka nieetycznego postępowania poprzedniej władzy. Czy minister Czarnek miałby do PAN pretensje, gdyby było inaczej?

Osoby próbujące mimo wszystko zrozumieć sens tego ministerialnego projektu wskazują na trzeci filar projektowanej zmiany, którym jest przejęcie przez Ministerstwo potężnego majątku PAN. To setki nieruchomości w całym kraju, nierządki w drogich lokalizacjach (Świnoujście, Hel, Mazury). Stanowią łakomy kąsek, a ich przejęcie z powodu chronicznego niedoinwestowania PAN łatwo przedstawić jako „uratowanie” przez Ministerstwo. Po korytarzach PAN już krąży plotka: program „willa plus” nowy minister zastępuje projektem „zespół pałacowo-parkowy plus”. To nie są tylko tanie złośliwości, w projektowanych rozwiązaniach brak jakiegokolwiek zabezpieczenia transparentności procesu przejmowania nieruchomości, co musi trwożyć każdego, komu na sercu leży dobro publicznego majątku.

Ministerialny projekt, niczego nie reformuje i nie poprawia w sytuacji PAN. Wprost odwrotnie, drastycznie ogranicza autonomię i wolność naukową PAN i jej Instytutów, a zarazem przejmując w nieprzejrzysty sposób potężny publiczny majątek. Ta ustawa uderza wprost w wartości, które są szczególnie cenne dla ludzi tak entuzjastycznie popierających zmiany zapoczątkowane w wyborach 15 października. Mam nadzieję, że to dostateczne powody, by premier Donald Tusk nie dopuścił do uznania go za projekt rządowy. Tak, naukowcy to nieliczna grupa wyborców, ale niekiedy trzepot skrzydeł motyla może wywołać tajfun. ●

Maciejewska

Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

Wczoraj, czyli dziś

Takie rzeczy tylko w kinie

Ze wszystkich miast współczesnej Polski Wrocław najszybciej poznał magię X muzy. Był poniedziałek, 7 września 1896 r, gdy bracia Lumière zorganizowali tu pokaz ruchomych obrazów.

Kilka miesięcy wcześniej ich wysłannicy próbowali zorganizować projekcje, a potem założyć filię firmy w Warszawie, ale nie byli w stanie dogadać się z lokalnymi urzędnikami, więc pojechali dalej, do Petersburga, szukać nowych rynków. Za to we Wrocławiu, wówczas niemieckim Breslau, show udało się nadzwyczajnie.

Aparat braci Lumière sprowadziła do Wrocławia firma Deutsche Automaten-Gesellschaft. Właściciel, Ludwig Stollwerck, obejrzał pokaz w Londynie i z zachwytem opisał go w liście do braci: „Obrazy: nadjeżdżający pociąg, wyjście z fabryki i wiele innych rzeczy, były tak ładujące, że publiczność wybuchła największymi brawami. Wcześniej był wspaniały balet 200 baletmistrzyń, które wystąpiły w cudownych kostiumach, jednak aplauz był zdecydowanie nie tak duży, jak po tej nowej rzeczy”.

Wrocławianie też byli zachwyceni. Obejrżeli m.in. „runięcie muru w tumanach kurzu”, fale morskie rozbijające się o skały, ruch uliczny w Berlinie i Dreźnie, orszak koronacyjny w Moskwie i kawalerię w galopie – w sumie dwanaście minutowych filmów. Co więcej, zobaczyli na ekranie również swoje miasto, bo operator firmy Lumière François-Constant Girel, trzy dni wcześniej sfilmował wizytę w Breslau cesarza Niemiec Wilhelma II oraz cara Rosji Mikołaja II.

Pierwsze stałe wrocławskie kino, o powabnej nazwie Fata-Morgana, zostało otwarte prawdopodobnie w 1906 r., w domu towarowym Victoria, a właścicielką „elektrycznego, specjalistycznego kinematografu” była kobieta, Sara Kayser. Kino mogło pomieścić ok. 100 osób i oprócz ruchomych obrazów oferowało także piwo. Bo widzowie – jak pisał dziennikarz „Der Kinematograph” – wzdrali się oglądać na sucho. Filmy plus piwo były duetem tak doskonałym, że pierwsze niemieckie kina nazywano kintoppami, od słów „Kinematograph” i „Topp” czyli kufel o pojemności 0,4 litra.

Duchy X muzy i piwowarów nie opuścili miasta również po przesunięciu granic. W zrujnowanym, wyszabrowanym i prowincjonalnym Wrocławiu utworzono w 1952 r. Wytwórnę Filmów Fabularnych. Branża filmowa chciała wrócić do stolicy, gdzie od 1949 r. działała już Wytwórnia Filmów Dokumentalnych, ale głosami Aleksandra Forda i Wandy Jakubowskiej przevorsowano Wrocław, wybierając na siedzibę Pawilon Czterech Kopuł autorstwa wybitnego architekta Hansa Poelziga.

W marcu 1952 r. rząd przyznał pieniądze na przebudowę hal, ok. 21 mln zł (koszt produkcji 2-3 filmów pełnometrażowych) i wszystko zaczęło się kręcić. „Powstają atelier, sale projekcyjne, sale prób, kabiny operatorów dźwięku, pokoje reżyserów i artystów, stolówka i bar” – pisała prasa 19 lipca 1953 r.

Bar był ważny. Kazimierz Kutza, który zaczynał pracę reżyserską, jako asystent Andrzeja Wajdy przy filmie „Pokolenie” (1954 r.), wspominał, że wszyscy mieszkali w jednym hotelu i właściwie nie wychodzili na miasto.

Zarabiało się znakomicie, Ryszard Kotys wspominał, że jako absolwent szkoły aktorskiej za dzień zdjęciowy do „Pokolenia”, dostawał 300 zł. Roman Polański był bez dyplomu, więc inkasował tylko 240 zł, a Tadeusz Łomnicki miał gwiazdorską gażę – 600 zł za dzień zdjęciowy. Średnia pensja wynosiła 975 zł.

We Wrocławiu kręcono takie hity jak: „Popiół i diament”, „Jak być kochaną”, „Rękopis znaleziony w Saragossie”, „Lalka”, „Zaduszki”, „Baza ludzi umarłych”, „Stawka większa niż życie”, „Czterej pancerni i pies” oraz wiele innych. Przyjeżdżali tu najwybitniejsi reżyserzy i największe gwiazdy polskiego kina.

Życie towarzyskie bujne kwitło, a film podlewano nie tylko piwem, więc anegdota o tygrysie sprowadzonym na plan „Czterech pancernych”, zapisana przez znanego dziennikarza Władysława Bielowicza, brzmi prawdopodobnie. Tygrys przyjechał z NRD, był grzeczny i w zasadzie lubił ludzi. Dlatego dwaj podochoceni panowie (niech pozostaną anonimowi) założyli się, kto wejdzie do klatki z pręgowanym aktorem. Człowiek wszedł, tygrys wyszedł. I akcja potoczyła się jak w filmie.

Tygrys wędrował po całej wytwórni, aż trafił do sali, gdzie malarz – znany abstynent – stał na drabinie i tworzył. Gdy zobaczył tygrysa, zemdlął i zwałił się z drabiny. Wezwano pogotowie, lekarz ocucił nieszczęśliwca, który zaczął opowiadać o tygrysie.

– Urwanie głowy z tymi pijakami. Jedni widzą białe myszki, a ten już dojrzał do tygrysa – irtował się doktor, który futrzaka szczęśliwie nie zobaczył, bo ten powędrował w kierunku swojej klatki. Niestety, nie mógł do niej wejść, bo w środku siedzieli zamknięci amatorzy zakładów. Trzeba było ściągnąć tresera, żeby zamienili się z tygrysem miejscami. Takie rzeczy tylko w kinie. ●

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN



Nic tak nie ożywia gazety jak nieboszczyk«, czy »dobra wiadomość, to zła wiadomość« – to żelazne kanony dziennikarstwa. Jednak to właśnie żurnaliści do spółki z artystami i pisarzami postanowili udowodnić, że tak wcale być nie musi” – pisała w olsztyńskim dodatku do „Gazety Wyborczej” Magdalena Spiczak-Brzezińska we wrześniu 2010 roku. To było niemal 10 lat po tym, jak w mieszkaniu pod pewnym znanym stołecznym adresem, w lokalu numer 2 przy ulicy Saskiej 101, powołano do życia pewne wyjątkowe święto.

Na Saskiej spotykali się ludzie kultury, sztuki, nauki. Intelktualna elita dyskutowała o filozofii, religii, teatrze, kinie, literaturze, poezji. Pierwsze spotkanie tzw. Salonu 101 odbyło się w 1987 roku, a przez ćwierć wieku przez Salon przewinęły się setki osób. Do stałych bywalców należeli m.in. Ernest Bryll, Mirosław Czyżykiewicz, Adam Hanuszkiewicz, Feliks Falk, Michał Urbaniak, Tadeusz Sobolewski czy Tadeusz Rolke, a gościli tam Garri Kasparow, Paco Rabanne, Jostein Gaarder.

I właśnie przy Saskiej 101 ci wszyscy mądrzy ludzie uznali, że w zalewie wiadomości złych, tragicznych, relacjonujących katastrofy, tragedie i historie pełne przemocy warto byłoby mieć choć jeden dzień, w którym serwowane będą wiadomości dobre. Jeden dzień oddechu od tych wszystkich straszności.

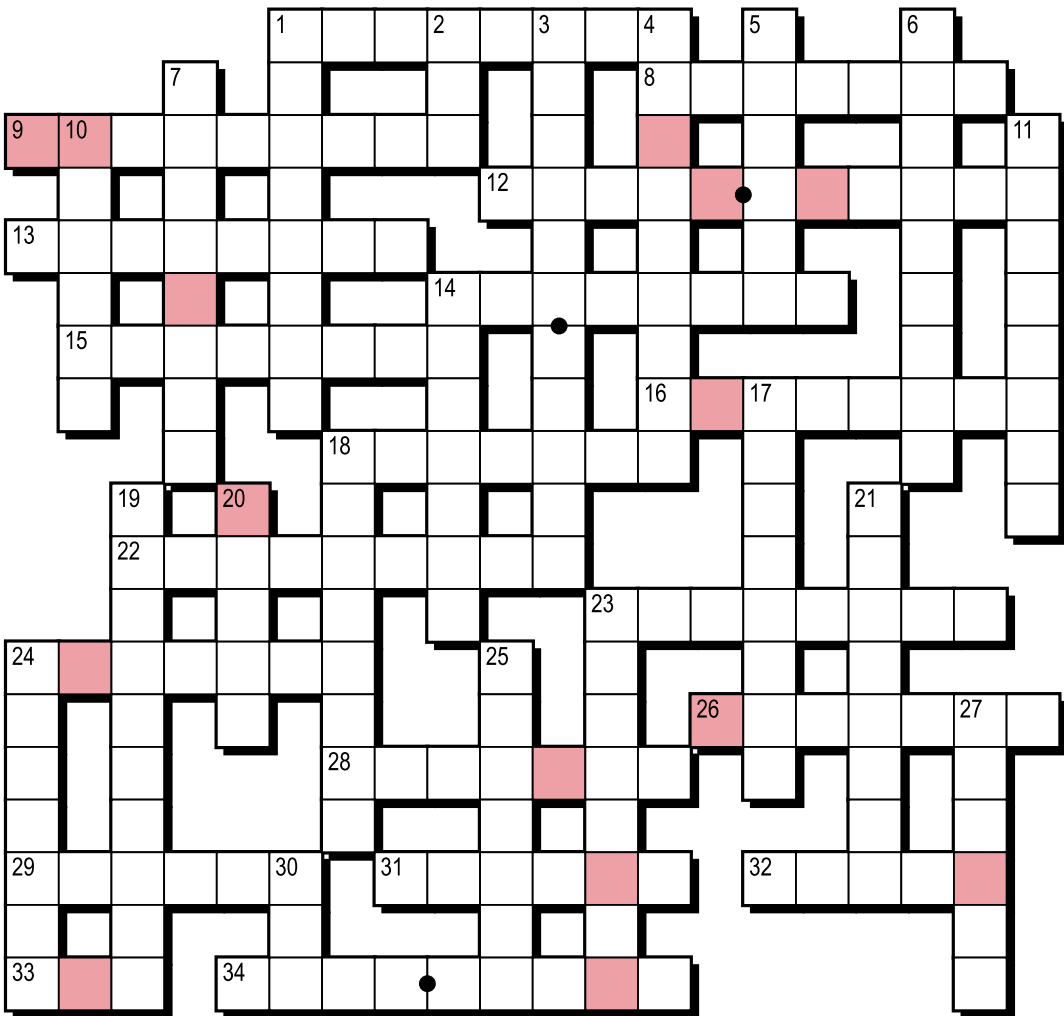
„Jesteśmy cywilizacją informacji. Często gu-bimy się w ich natłoku. Wybieramy to, co wyra-ziste a to, co wyraziście oznacza często to, co dra-styczne. Przyzwyczailiśmy się, że dobra wiado-mość nie jest żadną wiadomością, że dobra wiado-mość to brak wiadomości. Nie twierdzimy, że złych, trudnych wiadomości nie ma. Pragniemy jednak szukać dobrych wiadomości” – można było przeczytać w apelu podpisanym przez Ur-szulę Dudziak, Wojciecha Eichelbergera, Marka Nowickiego, Artura Partykę i Jacka Żakowskie-go oraz rzecz jasna Małgorzatę Bocheńską, twór-czynię Salonu 101, która zasiadła w Kapitulie Dnia Dobrej Wiadomości.

Sygnatariuszom zależało, by w mediach poja-wiało się więcej artykułów, programów czy audy-cji głoszących dobre wiadomości właśnie, a jed-nocześnie stworzyć obraz Polaków jako ludzi życzliwych, pozytywnych, a przy okazji kreatyw-nych i twórczych. I takich, którzy potrafią się ze sobą dogadać.

Dzień Dobrych Wiadomości proklamowano 8 września 2001 roku, a jego kluczowym projek-tem była tzw. Księga Dobrych Wiadomości, peł-na wpisów, przemyśleń, wskazówek od czoło-wych osobistości świata – do książki wpisali się m.in. Dalajlama, Brigitte Bardot, Szewach Weiss, Szymon Peres.

Z tymi dobrymi wiadomościami to bywa róż-nie, ale w przeddzień Dnia Dobrej Wiadomości i sobie i Państwu życzę ich jak najwięcej. Nie tyl-ko 8 września. I zapraszam do optymistycznej „Weekendówki”.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 118 z 31.08:

Poziomo: 4) koncesja, 7) Teoria, spisku, 10) rachunek, 12) Zawiałow, 13) element, 15) Robert, De, Niro, 16) centrala, 18) Łona, 21) ulica, 23) pasażerowie, 25) komedia, 26) Wielki, Szu, 29) Baby, 31) Marsylia, 32) Jovovich, 35) Andrzej, 36) Indie, 37) Vanessa, 38) dorożkarz.

Pionowo: 1) Dekalog, 2) Cruise, 3) zapłata, 4) kurs, 5) noc, 6) Joe le taxi, 8) powieść, 9) Stanisław, 11) Halina, 14) trasa, 16) cab, 17) Dwa Plus Jeden, 19) nawigacja, 20) serial, 21) Uber, 22) Chapin, 24) Nowy Jork, 27) znak, 28) samochód, 30) licznik, 33) skecz, 34) Zeus.

HASŁO:
KORPORACJA

OPTYMISTYCZNIE

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1) odrobina optymizmu, nadziei
8) nazwisko reżysera filmu „Słodkie życie”
9) już widać ... w tunelu (będzie dobrze!)
12) optymista dostrzega przede wszystkim ... wydarzeń
13) Kasia, nagrała piosenkę „Coś optymistycznego”
14) użalenie się, narzekanie na coś (optymistom obce)
15) „Wielkie ...”, powieść Karola Dickensa.
16) Sergiusz, autor wiersza „Moje szczęście głupiutkie”
18) Agnieszka, autorka słów piosenki „Zielono mi”
22) dziewczynka z powieści Eleanor H. Porter, która mimo licznych przeciwności losu nigdy nie traci optymizmu

- 23) ... Optymizmu Konsumentów (WOK)
24) Barbara, aktorka, zadebiutowała rolę w filmie „Kłosze szczęścia”
26) różowe, do pozytywnego patrzenia na świat
28) dobra ..., czyli pozytywne wibracje
29) ... w brzuchu (gdy jest się zakochanym, odczuwa euforię)
31) niezbyt optymistyczny wiersz Edwarda Stachury („Na przedmieściu dziś wieczorem jest zabawa...”)
32) „optymizm” w słowniku języka polskiego
33) „Nadziei iskra błysnie w nas i zgaśnie w nas jak niepotrzebna ...”, w piosence Krzysztofa Krawczyka
34) imię i nazwisko autora wiersza „Miejmy nadzieję”

Pionowo:

- 1) autor komedii „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”
2) „Jesteś lekiem na całe ... i nadzieją na przyszły rok”
3) piosenka Hanny Banaszk („Bo mnie na uśmiech zawsze stać, nie lubię życia brać zbyt serio”)
4) uznawanie, aprobowanie pozytywnych wartości czegoś (... życia)
5) ... i cienie życia (wolimy te pierwsze)
6) nazywane hormonami szczęścia
7) jej przeprowadnie nie napawały Trojan optymizmem
10) czas nadziei, budzenia się przyrody do życia
11) pozytywne ... (koncentrowanie się na plusach)
14) Roberto, włoski aktor i reżyser („Życie jest piękne”)
17) zdaniem optymisty jest do połowy pełna

- 18) „... Piszczyk”, kontynuacja filmu „Zezowate szczęście”
19) jak zawsze wierzy, że wszystkołoży się po jej myśli
20) pozytywwy, dodatnie strony spraw
21) postać z „Kandyda” Woltera; nieuleczalny optymista, któremu los zysła same nieszczęścia
23) optymistyczny i pesymistyczny, oba opracowane przez taktyka
24) imię aktora, odtwórcy głównej roli w filmach z określenia 18 pionowo
25) nazwisko kompozytora walców „Odgłosy wiosny”, „Wino, kobieta i śpiew”
27) „Wielka ...”, debiutancka płyta Elektrycznych Gitar
30) happy ..., czyli szczęśliwe zakończenie, pomyślny obrót spraw

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiąż gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

Kraj/34310976